

Kurt Vonnegut

Matka noc

Tłumaczył Lech Jęczmyk



**Zysk i S-ka
Wydawnicwo**

Tytuł oryginału
MOTHER NIGHT

Copyright © 1961, 1966 by Kurt Vonnegut
Published by arrangement with Delacorte Press,
an imprint of The Bantam Dell Publishing Group,
a division of Random House, Inc.

All rights reserved

Copyright © 2004 for the Polish translation by Zysk i S-ka
Wydawnictwo s.j., Poznań

Książka niniejsza jest fikcją literacką. Nazwiska, postaci, miejsca i zdarzenia albo są produktem wyobraźni autora, albo wykorzystane są fikcyjnie. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych osób - żyjących lub zmarłych - zdarzeń czy miejsc jest zupełnie przypadkowe.

Wydanie I w tej edycji
ISBN 83-7298-675-4

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. (0-61) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26
Dział handlowy, tel./fax (0-61) 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wydanie elektroniczne:
lille, 2010
*Plik bez szczegółowego
sprawdzania błędów (tylko w OCR)*

Od redaktora

Przygotowując niniejsze amerykańskie wydanie wyznań Howarda W. Campbella, jr., miałem do czynienia z czymś więcej niż z tekstem mającym informować lub wprowadzać w błąd. Campbell był nie tylko człowiekiem oskarżonym o wyjątkowo ciężkie przestępstwa, lecz także pisarzem, dość znanym autorem sztuk. Powiedzieć, że był pisarzem, to znaczy przyznać, że same wymogi sztuki mogły go skłonić do kłamstwa, i to bez poczucia winy. Powiedzieć, że był dramaturgiem, to znaczy wystosować jeszcze wyraźniejsze ostrzeżenie pod adresem czytelnika, bo nikt nie jest lepszym kłamcą niż człowiek, który ugniatał życie i cierpienie w coś równie groteskowego jak dramat sceniczny.

A teraz, kiedy już wypowiedziałem się na temat kłamstwa, zaryzykuję pogląd, że kłamstwa wypowiedane z myślą o efekcie artystycznym - w teatrze na przykład i może też w wyznaniach Campbella - bywają w wyższym sensie najbardziej ludzącymi formami prawdy.

Nie chcę sprzeczać się na ten temat. Obowiązkiem moim jako redaktora nie jest polemika, tylko przekazanie w sposób możliwie zadowalający wyznań Campbella.

Moje ingerencje w tekst były nieliczne. Poprawiłem w pewnych miejscach ortografię, usunąłem wykrzykniki, itd.

W kilku przypadkach zmieniłem nazwiska, aby zaoszczędzić co najmniej zażenowania niewinnym osobom nadal żyjącym. Nazwiska: Bernarda B. O'Hare, Harolda J. Sparrowa i doktora Abrahama Epsteina, na przykład, są fikcyjne, o ile chodzi o tę książkę. Fikcyjny jest również wojskowy numer Sparrowa i nazwa, jaką nadałem posterunkowi Legionu Amerykańskiego; w Brooklynie nie ma posterunku Legionu Amerykańskiego imienia Francisa X. Donovana.

Jest jedno miejsce, w którym można mieć zastrzeżenia bardziej do mojej dokładności niż do dokładności Howarda W. Campbella, jr. Mam na myśli rozdział dwudziesty drugi, w którym Campbell cytuje trzy swoje wiersze w wersji angielskiej i niemieckiej. W jego rękopisie wersje anglojęzyczne są w pełni zrozumiałe. Natomiast wersje niemieckie, zapisane z pamięci, są tak poszatowane i pokreślone poprawkami, że często stały się nieczytelne. Campbell był dumny z tego, co pisał w języku niemieckim, i nie przywiązywał wagi do tego, co pisał po angielsku. Chcąc uzasadnić dumę ze swojej niemczyzny, nieustannie poprawiał niemieckie wersje swoich wierszy i widocznie nigdy nie był w pełni usatysfakcjonowany.

Tak więc, aby dać jakieś wyobrażenie o tym, jak wyglądały jego niemieckie wiersze,

należało dokonać delikatnych zabiegów odtwarzających. Osoba, która wykonała tę pracę, która - że tak powiem - skleiła wazę z odłamków, była pani Rowley z Cotuit, w stanie Massachusetts, znakomita lingwistka i ceniona poetka.

Istotnych cięć dokonałem tylko w dwóch miejscach. W rozdziale trzydziestym dziewiątym opuściłem fragment na żądanie radcy prawnego wydawcy. W oryginale Campbell każe jednemu z członków Żelaznej Gwardii Białych Synów Amerykańskiej Konstytucji krzyknąć do agenta FBI: Jestem lepszym Amerykaninem niż ty! Mój ojciec wymyślił Dzień „Jestem Amerykaninem-!” Świadkowie potwierdzają, że takie słowa zostały wypowiedziane, ale, jak się okazuje, bezpodstawnie. Prawnik uważał, że zamieszczenie tych słów w książce oznaczałoby oczernianie osób, które faktycznie wymyśliły Dzień Jestem Amerykaninem”.

W tym samym rozdziale, nawiasem mówiąc, Campbell osiąga według świadków największą wierność faktom. Wszyscy potwierdzają, że przedśmiertną wypowiedź Resi Noth przytacza Campbell dosłownie.

Jedynych cięć poza tym dokonałem w rozdziale dwudziestym trzecim, który w oryginale ma charakter pornograficzny. Uważałbym się za zobowiązanego do zaprezentowania go w pełnej wersji, gdyby nie zawarte w tymże tekście żądanie samego Campbella, żeby jakiś redaktor dokonał zabiegu kastracji.

Tytuł książki pochodzi od Campbella. Został on zaczerpnięty z monologu Mefistofelesa w *Fauście* Goethego. Brzmi on następująco:

*Jam częścią części, która ongiś wszystkim była,
Jam częścią tej ciemności, co światło zrodziła,
To dumne światło, które matce nocy
Dziś miejsca przeczy, znaczenia i mocy
Lecz bezustannie, choć o to zabiega,
Niby zakłete, wciąż do ciał przylega,
Ciała upiększa, z ciał na powrót płynie,
Ciało wstrzymuje je w rozpędzie,
A więc, jak ufam, niebawem to będzie,
Że wraz z ciałami samo zginie*.*

Dedykacja książki również pochodzi od Campbella. O tej dedykacji Campbell tak pisał w rozdziale, z którego następnie zrezygnował:

* J.W. Goethe, Faust, przeł. W. Kościelski, PIW, Warszawa 1967, s. 79 (przyp. tłum.).

„Zanim jeszcze zobaczyłem, jaka będzie ta moja książka, napisałem dedykację: »Dla Maty Harki«. Ona też się kurwiła w interesie szpiegostwa.

Teraz, kiedy już widzę część książki, wolałbym zadedykować ją komuś mniej egzotycznemu, mniej fantastycznemu, bardziej współczesnemu - komuś, kto byłby mniej z niemego kina.

Wolałbym zadedykować ją jakiejś znajomej osobie, mężczyźnie lub kobiecie, znanej z tego, że czyniła zło, mówiąc sobie w duchu: »Moje dobre ja, prawdziwe ja, ja stworzone przez Boga, jest we mnie głęboko ukryte«.

Przychodzi mi do głowy wiele przykładów, mógłbym nimi sypać jak z rękawa, ale nie ma jakiejś jednej osoby, której należałoby zadedykować tę książkę. Chyba, że byłbym to ja sam.

Pozwolę więc sobie uhonorować w ten sposób samego siebie.

Książkę tę dedykuję ponownie Howardowi W. Campbellowi, jr. człowiekowi, który służył złu zbyt otwarcie i dobru zbyt skrycie, co było zbrodnią jego czasów”.

Kurt Vonnegut

Przedmowa do wydania polskiego

Jest zwykłym przypadkiem, że dzień, w którym piszę trzecie już słowo wstępne do mojej powieści *Matka noc*, jest zarazem Dniem Bastylli w Orwellovskim 1984 roku. Pierwszą przedmowę napisałem do pierwszego amerykańskiego wydania, a celem jej było udokumentowanie mojego twierdzenia, że w czasie drugiej wojny światowej rzeczywiście istniał amerykański zdrajca, niejaki Howard W. Campbell, jr., mimo że była to postać całkowicie zmyślona przeze mnie. Następna przedmowa przeznaczona była dla drugiego amerykańskiego wydania tej powieści. Obecna, trzecią z kolei, piszę do polskiego wydania. Jedyny znany mi pisarz, który w ten sposób „gromadził” przedmowy do swoich dzieł - to Polak Joseph Conrad.

Jedynym człowiekiem, którego widziałem powieszzonego z wyroku sądu, był również Polak. Przywieziono mnie właśnie do Drezna jako prostego amerykańskiego piechura wziętego do niewoli już pod koniec wojny. Pewnego poranka, wraz z setką innych Amerykanów, prowadzono nas do miasta na roboty. I wtedy na jakimś niewielkim skwerku zobaczyliśmy wisielca, którego martwe ciało poruszało się na szubienicznym sznurze. Nasi strażnicy wiedzieli, jakiej był narodowości i za co go stracono.

„To był Polak” - powiedzieli i zaraz dodali, że został skazany zgodnie z prawem za próbę uwiedzenia Niemki. Nie było to w żadnym wypadku usiłowanie gwałtu. Ten Polak został zamordowany tylko dlatego, że chciał skazać czystość rasy germańskiej - notabene mojej rasy.

Był on więc niejako symbolem zupełnie bezbronnego człowieka, którego prawnie uśmiercono za to, że postąpił zgodnie z naturą ludzką. Obraz powieszzonego pozostał żywy w mojej pamięci po dziś dzień.

Pamiętam także nasze marzenia o lepszym, sprawiedliwszym i bardziej ludzkim świecie, jaki dla tak wielu z nas cudzoziemców w tamtym Dreźnie - jeńców wojennych czy też deportowanych do przymusowej pracy - wydawał się całkowicie realny.

I pamiętam, co my, jeńcy amerykańscy, odpowiadaliśmy Niemcom, gdy tuż przed końcem wojny mówili nam: „Teraz będziecie wojować z Rosjanami?”. Nasza odpowiedź brzmiała: „Nie! Ameryka zbliży się do socjalizmu, a Rosja - do kapitalizmu. Będziemy mogli stać się wtedy przyjaciółmi, a przynajmniej nie będziemy wrogami. Ani my, ani oni nie

chcemy się bić. My nie jesteśmy jak wy - hitlerowskie sukinsyny, którzy kochacie wojnę”.

Mam nadzieję, że ta powieść ma wiele elementów humorystycznych. Aby osiągnąć sukces, powieść musi być przede wszystkim dziełem sztuki. W trakcie powstawania sama zaczyna stawiać żądania, które są w pełni poddane wymogom sztuki i nie mają nic wspólnego z polityką bądź jakimś specjalnym posłannictwem. Jeśli te żądania nie będą spełnione, to powieść okaże się fiaskiem. Dlaczego tak się dzieje - nie potrafię wytłumaczyć, ale jest to chyba naturalne prawo tworzenia.

Realizm socjalistyczny nie zdaje egzaminu, ponieważ - jak sędzę - wymaga od pisarza, aby podporządkował swoją twórczość doraźnym politycznym celom, podczas gdy on, żeby powiedzieć to, co ma do powiedzenia w formie najlepszej i najpełniejszej, powinien dostosować się wyłącznie do wymagań dzieła sztuki. Tak więc ta powieść nie ma żadnych oczywistych intencji politycznych. Mam nadzieję, że jest ona po prostu sobą.

A jednak - jakże często ujawniają się w tak właśnie napisanej powieści polityczne przekonania jej autora. Jasne jest dla mnie, że należałem wtedy, tak jak i teraz, do grupy ludzi występujących przeciw partiom politycznym, których członkowie, w imię utrzymania jedności partyjnej, lekceważą fakty, odtrącają dobro i zdrowy rozsądek.

I znów staje mi przed oczami widok powieszzonego w Dreźnie Polaka.

W mojej drugiej przedmowie wyciągnąłem morał filozoficzny. W trzeciej - przedstawiam morał polityczny, który brzmi: Wcześniej czy później jedność partyjna może zniszczyć wszystkich.

Kurt Vonnegut

Manhattan Island, 14 lipca 1984

Wyznania
Howarda W. Campbella, jr.

Dla Maty Hari

*Czy jest gdzieś człowiek o duszy jak skała,
Któremu nigdy myśl nie zaświtała:
„To moja ziemia, to moja ojczyzna!”
W którego sercu nie pękłaby blizna,
Kiedy do domu wraca ojczystego
Z długiej wędrówki gdzieś po obcych brzegach?*

Sir Walter Scott

1

Tiglatpilesar III...

Nazywam się Howard W. Campbell, jr.

Jestem Amerykaninem z urodzenia, nazistą z reputacji i bezpaństwowcem z przekonania.

Piszę tę książkę w roku 1961.

Adresuję ją do pana Tuvii Friedmanna, dyrektora Instytutu Dokumentacji Zbrodni Wojennych w Hajfie, i do innych zainteresowanych.

Dlaczego ta książka miałaby interesować pana Friedmanna?

Ponieważ pisze ją człowiek podejrzany o to, że jest zbrodniarzem wojennym. Pan Friedmann jest specjalistą od takich ludzi. Wyraził chęć uzyskania wszelkich dokumentów mogących uzupełnić jego archiwum zbrodni hitlerowskich. Jest tak chętny, że zapewnił mi maszynę do pisania, obsługę stenograficzną gratis oraz asystentów, którzy sprawdzą wszelkie fakty potrzebne, żeby moja relacja była pełna i dokładna.

Przebywam za kratami. Przebywam za kratami w przyjemnym nowym więzieniu w starej Jerozolimie.

Mam być bezstronnie osądzony za moje zbrodnie wojenne przez Republikę Izraela.

Maszyna do pisania, którą otrzymałem od pana Friedmanna, jest dziwna, choć jak najbardziej odpowiednia. Została wyraźnie wyprodukowana w Niemczech podczas wojny. Po czym to poznaję? Po prostu po tym, że podsuwa pod palce symbol, który nie był stosowany w maszynach do pisania przed Trzecią Rzeszą i nigdy już nie będzie używany.

Ten symbol to dwie błyskawice, używane na oznaczenie budzącej grozę SS, Schutzstaffeln, najbardziej fanatycznego skrzydła nazizmu.

Używałem takiej maszyny w Niemczech przez całą wojnę. Ilekroć miałem okazję pisać o Schutzstaffeln, co robiłem często i z entuzjazmem, nigdy nie używałem skrótu SS, ale zawsze uderzałem w klawisz z o wiele bardziej groźnym i magicznym znakiem dwóch

błyskawic.

Starożytna historia.

Żyję w otoczeniu starożytnej historii. Chociaż więzienie, w którym gniję, jest nowe, niektóre z jego kamieni zostały podobno wyłamane w czasach króla Salomona.

Czasami, kiedy patrzę z okna mojej celi na wesołą i dziarską młodzież młodej Republiki Izraela, wydaje mi się, że ja i moje zbrodnie wojenne są równie stare, jak starożytne i szare kamienie Salomona.

Jak dawno temu była ta druga wojna światowa! Jak dawno temu popełniono te zbrodnie!

Jakie to prawie zapomniane czasy, nawet przez Żydów - to znaczy przez młodych Żydów.

Jeden z tych, którzy mnie pilnują, nie wie nic o tamtej wojnie. Nie interesuje go to. Nazywa się Arnold Max. Jest bardzo rudy. Ma zaledwie osiemnaście lat, co znaczy, że miał trzy lata, kiedy Hitler umarł, i nie było go na świecie, kiedy zaczynałem swoją karierę zbrodniarza wojennego.

Pilnuje mnie od szóstej rano do południa.

Arnold urodził się w Izraelu i nigdy nie był za granicą.

Jego rodzice wyjechali z Niemiec na początku lat trzydziestych. Jego dziadek został odznaczony Krzyżem Żelaznym w pierwszej wojnie światowej.

Arnold studiuje prawo. Pasją Arnolda i jego ojca, rusznikarza, jest archeologia. Ojciec i syn spędzają większość wolnego czasu na odkopywaniu ruin Hazoru. Pracują pod kierunkiem Yigaela Yadina, który był szefem sztabu armii izraelskiej podczas wojny z państwami arabskimi.

Może być i tak.

Hazor, jak powiada Arnold, było miastem w Kanaan na północy Palestyny, co najmniej na tysiąc dziewięćset lat przed Chrystusem. Jakieś tysiąc czterysta lat przed Chrystusem, mówi Arnold, wojska izraelskie zdobyły Hazor, wycięły w pień czterdzieści tysięcy mieszkańców i spaliły miasto.

- Salomon odbudował miasto - powiedział Arnold - ale w roku 732 przed Chrystusem Tiglatpilesar III spalił je ponownie.

- Kto? - spytałem.

- Tiglatpilesar III. Asyryjczyk - dodał, żeby wspomóc moją pamięć.

- Aha - powiedziałem. - Ten Tiglatpilesar.

- Mówi pan tak, jakby nigdy o nim nie słyszał.

- Nigdy o nim nie słyszałem - przyznałem pokornie. - To pewnie okropne.

- Cóż - powiedział Arnold z miną belfra - sędzę, że jest to ktoś, o kim każdy powinien wiedzieć. Był prawdopodobnie najwybitniejszym człowiekiem, jakiego wydała Asyria.

- Ach tak - mruknąłem.

- Przyniosę panu, o nim książkę, jeśli pan chce - powiedział Arnold.

- To bardzo miło z pańskiej strony - odparłem. - Może później zajmę się wybitnymi Asyryjczykami, teraz jednak mój umysł jest całkowicie zajęty wybitnymi Niemcami.

- Którymi? - spytał.

- Dużo ostatnio myślałem o moim byłym szefie Paulu Goebbelsie - powiedziałem.

Arnold spojrzał na mnie pustym wzrokiem.

- Kto to był? - spytał.

Poczułem, jak pył Ziemi Świętej sunie, żeby mnie przysypać, zrozumiałem, pod jak grubą warstwą pyłu i ruin znajdę się kiedyś. Zobaczyłem nad sobą trzydzieści albo i czterdzieści stóp zburzonych miast, a pod sobą jakieś pierwotne śmietniska, ze dwie świątynie... a dalej...

Tiglatpilesar III.

2

Oddział specjalny...

Strażnik, który zmienia Arnolda Maxa codziennie w południe, ma prawie tyle lat co ja, to znaczy czterdzieści osiem. Pamięta wojnę, choć wolałby nie pamiętać.

Nazywa się Andor Gutman. Andor jest ospałym, niezbyt rozgarniętym Żydem z Estonii. Przeżył dwa lata w obozie śmierci w Auschwitz. Według jego własnej niechętej relacji niewiele brakowało, żeby wywędrował stamtąd przez komin krematorium.

- Akurat kiedy zostałem wyznaczony do Sonderkommando, przyszedł rozkaz Himmlera, żeby wyłączyć piece.

Sonderkommando znaczy oddział specjalny. W Auschwitz był to faktycznie oddział bardzo specjalny - złożony z więźniów, którzy mieli wpędzać przeznaczonych na śmierć do komór gazowych, a następnie wynosić ich ciała. Co jakiś czas członkowie Sonderkommando sami byli gazowani. Pierwszym obowiązkiem ich następców było wyniesienie ciał poprzedników.

Gutman powiedział mi, że wielu ludzi zgłaszało się do Sonderkommando na ochotnika.

Spytałem go dlaczego.

- Gdyby pan napisał o tym książkę - powiedział - i dał odpowiedź na to „dlaczego?”, byłaby to bardzo wielka książka.

- A pan ją zna? - spytałem.

- Nie. I dlatego zapłaciłbym dużo pieniędzy za książkę, w której znalazłaby się ta odpowiedź.

- A nie domyśla się pan?

- Nie - odpowiedział, patrząc mi prosto w oczy - chociaż byłem jednym z tych, którzy się zgłosili.

Oddalił się na chwilę po tym wyznaniu. I myślał o Auschwitz, o czymś, o czym

bardzo nie lubił myśleć. A potem wrócił do mnie i powiedział:

- W całym obozie były głośniki, które prawie nigdy nie milkły. Puszczano przez nie dużo muzyki. Ludzie muzykalni mówili, że była to często dobra muzyka, czasami najlepsza.

- To ciekawe - zauważyłem.

- Nie grano kompozytorów żydowskich - powiedział.

- To było zabronione.

- Jasne - zauważyłem.

- I zawsze muzykę przerywano w połowie i nadawano komunikat. Przez cały dzień muzyka i komunikaty.

- Bardzo nowocześnie - zauważyłem.

Przymknął oczy, pograżając się we wspomnieniach.

- Jeden komunikat zawsze wygłaszano śpiewnie, jak wierszyk dla dzieci. Nadawano go wielokrotnie w ciągu dnia. Było to wezwanie dla Sonderkommando.

- Naprawdę? - powiedziałem.

- *Leichentrager zu Wache* - zaintonował, nie otwierając oczu.

Tłumaczenie: „Tragarze trupów na wartownię”. W instytucji, która miała na celu zabijanie ludzi milionami, było to - rzecz jasna - wezwanie dość pospolite.

- Po dwóch latach słuchania przez głośniki tego wezwania na zmianę z muzyką - powiedział mi Gutman - posada tragarza trupów zaczynała się wydawać bardzo dobrym zajęciem.

- Mogę to zrozumieć.

- Może pan? - Gutman potrząsnął głową. - Bo ja nie - powiedział. - Zawsze będę się tego wstydził. Zgłosić się na ochotnika do Sonderkommando to wielki wstyd.

- Ja tak nie uważam - oznajmiłem.

- A ja tak - odparł. - Hańba. Nie chcę już nigdy o tym mówić.

3

Brykiety...

O szóstej wieczorem Andora Gutmana zmienia Arpad Kovaacs. Arpad to człowiek-fajerwerk, hałaśliwy i wesoły.

Kiedy Arpad objął służbę wczoraj o szóstej, zażądał, żebym mu pokazał, co napisałem. Dałem mu te kilka stron i Arpad chodząc po korytarzu i wymachując kartkami, chwalił je z przesadnym zachwytem.

Nie przeczytał ich. Chwalił je za to, co jak sądził, zawierają.

- Dobrze tak tym skomlącym skurwielom! - wykrzykiwał zeszłego wieczoru. - Przywał pan tym zarozumiałym brykietom!

Brykietami nazywał ludzi, którzy nie robili nic, żeby ratować siebie albo innych, kiedy hitlerowcy doszli do władzy, ludzi, którzy gotowi byli pokornie iść do komór gazowych, jeżeli hitlerowcy sobie tego zażyczyli. Oczywiście słowo „brykiet” oznacza sprasowaną kostkę pyłu węglowego, rzecz ogromnie ułatwiającą transport, magazynowanie i spalanie.

Arpad postawiony wobec faktu, że był Żydem na Węgrzech w czasach faszyzmu, nie przystał na rolę brykieta. Wprost przeciwnie, wyrobił sobie fałszywe papiery i wstąpił do węgierskiego SS.

Z tego faktu wynika jego sympatia do mnie.

- Powiedz im pan, co człowiek robi, żeby przeżyć! Nie widzę nic wzniosłego w tym, że się zostaje brykietem - powiedział zeszłego wieczoru.

- Czy słuchał pan kiedyś mojej audycji? - spytałem go. Moje zbrodnie wojenne polegały na występach w radiu. Byłem hitlerowskim propagandystą radiowym, przebiegłym i odrażającym antysemitą.

Arpad powiedział, że nie.

Wtedy pokazałem mu zapis audycji, dostarczony mi przez Instytut w Hajfie.

- Niech pan sobie przeczyta - powiedziałem.

- Nie ma potrzeby - odparł. - Wszyscy wtedy mówili w kółko to samo.

- A jednak niech pan to zrobi dla mnie i przeczyta.

Zaczął więc czytać i twarz coraz bardziej mu się wydłużała.

- Jestem rozczarowany - powiedział.

- Tak?

- To słabizna. Nie ma w tym siły, papryki, biglu! Sądziłem, że był pan mistrzem inwektywy rasowej!

- A nie byłem?

- Gdyby ktoś z mojego plutonu SS wyrażał się tak przyjaźnie o Żydach - powiedział Arpad - kazałbym go rozstrzelać za zdradę! Goebbels powinien wylać pana i zatrudnić mnie jako radiowego prześladowcę Żydów! Cały świat byłby poruszony!

- Pan już robił swoje w SS.

Arpad rozpromienił się na wspomnienie swojej służby w SS.

- Ach, jaki był ze mnie Aryjczyk! - powiedział.

- Nikt pana nie podejrzewał?

- A kto by śmiał? Byłem takim czystym, stuprocentowym i przerażającym Aryjczykiem, że przydzielili mnie do oddziału specjalnego. Mieliśmy stwierdzić, skąd Żydzi zawsze wiedzieli o planach SS. Był gdzieś przeciek i mieliśmy go zlikwidować. - Na samą myśl jego twarz przybrała wyraz oburzenia, mimo że to on sam był tym przeciekiem.

- Czy wasz oddział wykonał swoje zadanie?

- Z radością mogę stwierdzić, że na skutek naszego doniesienia rozstrzelano czternastu esesmanów. Sam Adolf Eichmann nam gratulował.

- Poznał go pan osobiście?

- Tak. Szkoda, że wtedy nie wiedziałem, kim on jest.

- Dlaczego?

- Zabiłbym go - powiedział Arpad.

4

Skórzane paski...

Bernard Mengel, polski Żyd, który pilnuje mnie od północy do szóstej rano, jest także moim rówieśnikiem. Uratował sobie życie podczas wojny, tak dobrze udając nieboszczyka, że żołnierz niemiecki wyrwał mu trzy zęby i nic nie zauważył.

Żołnierz miał ochotę na trzy złote koronki Mengla.

I wziął je sobie.

Mengel mówi mi, że sypiam bardzo niespokojnie tu w więzieniu, że stale rzucam się i mówię przez sen.

- Jest pan jedynym znanym mi człowiekiem - powiedział Mengel tego ranka - który ma wyrzuty sumienia z powodu tego, co robił podczas wojny. Wszyscy inni niezależnie od tego, po której byli stronie i co robili, są przekonani, że uczciwy człowiek nie mógł postępować inaczej.

- Dlaczego pan uważa, że mam wyrzuty sumienia? - spytałem.

- Widzę, jak pan śpi, jakie pan ma sny. Nawet Hoess tak się nie rzucał. Do końca sypiał jak anioł.

Mengel mówił o Rudolffie Hoessie, komendancie obozu śmierci w Auschwitz. Pod jego troskliwą opieką zagazowano dosłownie miliony Żydów. Mengel wiedział co nieco o Hoessie. Przed wyjazdem do Izraela w roku 1947 Mengel miał swój udział w powieszeniu go.

I to nie za pomocą zeznań. Zrobił to swoimi wielkimi rękami.

- Kiedy wieszano Hoessa - powiedział mi - związałem mu paskiem nogi w kostkach.

- Czy odczuł pan z tego powodu jakąś satysfakcję?

- Nie. Byłem taki jak prawie wszyscy, którzy przeszli przez tę wojnę.

- To znaczy jaki?

- Przestałem cokolwiek odczuwać - powiedział Mengel. - Robota to robota, nie ma ani lepszej, ani gorszej. Jak skończyliśmy wieszać Hoessa, spakowałem swoje rzeczy, żeby

jechać do domu. Walizka miała zepsuty zamek, więc ściągnąłem ją skórzanym paskiem. Dwukrotnie w ciągu godziny wykonałem tę samą pracę - raz przy Hoessie i raz przy walizce. Nie czułem żadnej różnicy.

5

„Najwyższy dowód poświęcenia”...

Ja też spotkałem się z Rudolfem Hoessem, komendantem obozu w Auschwitz. Poznałem go na przyjęciu sylwestrowym w Warszawie na początku roku 1944.

Hoess dowiedziawszy się, że jestem pisarzem, wziął mnie na stronę i wyraził żal, że nie potrafi pisać.

- Zazdroszczę wam, ludziom twórczym - powiedział. - Talent jest darem niebios.

Hoess mówił mi, że ma cudowne historie do opowiedzenia. Powiedział, że wszystkie są prawdziwe, ale ludzie nie mogliby w nie uwierzyć.

Hoess twierdził, że nie może mi opowiedzieć tych historii, dopóki nie wygramy wojny. Po wojnie, jak mówił, moglibyśmy nawiązać współpracę.

- Mogę o tym mówić, ale nie mogę pisać. - Spojrzał na mnie w oczekiwaniu współczucia. - Kiedy siadam do biurka, cały drętwieję.

Co robiłem w Warszawie?

Wysłał mnie tam mój przełożony, Reichsleiter, doktor Paul Joseph Goebbels, szef niemieckiego Ministerstwa Oświecenia Publicznego i Propagandy. Miałem pewne zdolności jako dramaturg i doktor Goebbels chciał, żebym je wykorzystał. Chciał, żebym stworzył widowisko na cześć niemieckich żołnierzy, którzy dali najwyższy dowód poświęcenia - czyli inaczej mówiąc, zginęli - przy tłumieniu powstania Żydów w getcie warszawskim.

Doktorowi Goebbelsowi marzyło się coroczne wystawianie tego widowiska w Warszawie po wojnie i pozostawienie ruin getta po wieczne czasy jako dekoracji.

- Czy w widowisku będą występować Żydzi? - spytałem go.

- Oczywiście - odpowiedział. - Tysiące Żydów.

- Czy mogę spytać, skąd się pan spodziewa wziąć Żydów po wojnie?

Doktor Goebbels dostrzegł zabawną stronę zagadnienia.

- Bardzo dobre pytanie - powiedział ze śmiechem. - Będziemy musieli pójść z nim do

Hoessa.

- Kto to jest? - spytałem. Byłem po raz pierwszy w Warszawie i nie znałem Hoessa.

- Prowadzi mały ośrodek wypoczynkowy dla Żydów w Polsce - powiedział Goebbels.

- Musimy go poprosić, żeby nam ich trochę zostawił.

Czy opracowanie tego odrażającego widowiska powiększa listę moich zbrodni wojennych? Bogu dzięki, nie. Nigdy nie wyszło poza tytuł roboczy, który brzmiał: „Najwyższy dowód poświęcenia”.

Gotów jestem jednak przyznać, że pewnie bym je napisał, gdybym miał dosyć czasu i gdyby moi przełożeni wywarli na mnie odpowiednią presję.

Prawdę mówiąc, gotów jestem przyznać prawie wszystko.

To widowisko miało jeden dość szczególny skutek. Zwróciło uwagę Goebbelsa, a później samego Hitlera na tzw. adres gettysburski Abrahama Lincolna.

Goebbels spytał mnie, skąd wzięłem tytuł roboczy, więc przetłumaczyłem dla niego cały adres gettysburski.

Odczytał je, poruszając wargami.

- Wie pan co? - zwrócił się do mnie. - To jest kawał znakomitej propagandy. Nigdy nie jesteśmy tak nowoczesni ani tak dalecy od przeszłości, jak sobie lubimy wyobrażać.

- W moim kraju jest to bardzo znane przemówienie - powiedziałem. - Każde dziecko w szkole musi się go uczyć na pamięć.

- Czy tęskni pan za Ameryką? - spytał.

- Tęsknię za górami, rzekami, równinami i lasami - odparłem. - Ale nie potrafiłbym godzić się z tym, że wszystkim rządzą Żydzi.

- We właściwym czasie to się załatwi - powiedział.

- Czekam na ten dzień z utęsknieniem. Oboje z żoną czekamy na ten dzień.

- Jak się ma pańska żona? - spytał.

- Kwitnąco, dziękuję.

- Piękna kobieta - powiedział.

- Powtórzę jej pańskie słowa. Sprawí jej to ogromną przyjemność.

- A wracając do tego przemówienia Abrahama Lincolna... Są w nim zdania, które mogłyby znakomicie przydać się na uroczystościach otwarcia niemieckich cmentarzy wojskowych. Szczerze mówiąc, nie jestem zachwycony większością naszej retoryki pogrzebowej. A to ma jakby ten dodatkowy wymiar, którego zawsze poszukiwałem. Bardzo bym chciał posłać to Hitlerowi.

- Jak pan sobie życzy - powiedziałem.

- Lincoln nie był Żydem, prawda?
- Z całą pewnością nie.
- Byłoby to dla mnie wielce kompromitujące, gdyby się okazało, że jednak był.
- Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś wysuwał takie przypuszczenia.
- To imię Abraham jest co najmniej bardzo podejrzane - zauważył Goebbels.
- Jestem pewien, że jego rodzice nie zdawali sobie sprawy, że to żydowskie imię.

Prawdopodobnie spodobało im się jego brzmienie. Byli prostymi osadnikami z pogranicza. Gdyby wiedzieli, że to żydowskie imię, jestem pewien, że nazwaliby go jakoś bardziej po amerykańsku: George, Stanley albo Fred.

Dwa tygodnie później adres gettysburski wrócił do mnie od Hitlera. Była do niego przypięta notatka samego Fuhrera. „Niektóre fragmenty czytałem ze łzami w oczach - napisał. - Wszyscy Nordycy żywią gorące uczucia dla żołnierzy. Jest to może coś, co nas najbardziej łączy”.

To dziwne, ale nigdy nie śnią mi się ani Hitler, ani Goebbels, ani Hoess, ani Goering, ani żadna inna z koszmarnych postaci tej wojny światowej noszącej numer drugi. Zamiast nich śnią mi się kobiety.

Zapytałem Bernarda Mengla, strażnika, który pilnuje mnie, kiedy śpię tu w Jerozolimie, czy potrafi coś powiedzieć na temat tego, co mi się śni.

- Ostatniej nocy? - spytał.
- Wszystko jedno.
- Ostatniej nocy były kobiety - powiedział. - Dwa imiona w kółko.
- Jakie?
- Jedno to Helga.
- Moja żona.
- A drugie Resi.
- Młodsza siostra żony. Tylko imiona i to wszystko?
- Powiedział pan: „Żegnaj”.
- Żegnaj - powtórzyłem. To było nawet logiczne, we śnie czy na jawie. I Helga, i Resi odeszły na zawsze.

- I opowiadał pan o Nowym Jorku - dodał Mengel. - Mamrotał pan, mamrotał, potem powiedział: „Nowy Jork” i znów mamrotał.

To też było logiczne, jak większość moich snów. Mieszkałem długo w Nowym Jorku, zanim przyjechałem do Izraela.

- W Nowym Jorku musiało być jak w raju - powiedział Mengel.

- Może pan czułby się tam jak w raju. Dla mnie to było piekło... albo coś jeszcze gorszego.

- Co może być gorszego niż piekło? - spytał.

- Czyściec - powiedziałem.

6

Czyściec...

O tym moim czyścicu w Nowym Jorku: spędziłem w nim piętnaście lat.

Zniknąłem z Niemiec, kiedy skończyła się druga wojna światowa. Pojawiłem się nie rozpoznany w dzielnicy Greenwich Village. Wynająłem tu przygnębiające mieszkanie na poddaszu, w którym za ścianami piszczały i skrobały szczury. Mieszkałem w nim do czasu, kiedy zostałem wywieziony do Izraela na proces.

Ten mój zaszczerzony strych miał jedną dobrą rzecz: tylne okno wychodziło na mały prywatny park, miniaturowy Eden złożony z dwóch podwórek. Ten park, ten Eden, ze wszystkich stron oddzielały od ulic domy.

Był wystarczająco duży, żeby dzieci mogły się w nim bawić w chowanego.

Często dobiegały mnie z tego małego Edenu dziecięce krzyki, na których dźwięk zawsze przystawałem, nasłuchując. Były to słodko-smutne żałobne nawoływania oznaczające, że zabawa w chowanego dobiegła końca i ci, którzy się jeszcze chowają, mają wyjść z ukrycia, bo czas iść do domu.

To zawołanie brzmiało: „Zbite szklanki!”

Ja też, ukrywając się przed wieloma ludźmi, którzy chcieli zrobić mi coś złego albo mnie zabić, często pragnąłem, żeby ktoś zawołał tak na mnie, kończąc moją nie kończącą się zabawę w chowanego słodkim i żalobnym...

„Zbite szklanki!”

7

Autobiografia...

Ja, Howard W. Campbell, jr., urodziłem się w Schenectady, w stanie Nowy Jork, 16 lutego 1912 roku. Ojciec mój, syn baptystycznego pastora z Tennessee, pracował jako inżynier w wydziale serwisu technicznego General Electric Company.

Zadaniem wydziału serwisu technicznego było instalowanie, obsługa i remont ciężkiego sprzętu produkcji General Electric sprzedawanego na całym świecie. Ojciec, który początkowo pracował tylko na terenie Stanów, był w domu rzadkim gościem. Jego praca wymagała tak różnorodnych form technicznej pomysłowości, że nie starczało mu już czasu ani wyobraźni na nic innego. Praca była dla niego wszystkim.

Jedyna nietechniczna książka, jaką widziałem w jego ręku, to ilustrowana historia pierwszej wojny światowej. Była to wielka księga z obrazkami na stopę wysokimi i na półtorej stopy szerokimi. Książka zdawała się nigdy ojca nie nudzić, mimo że sam nie był na wojnie.

Nigdy mi nie zdradził, czym była dla niego ta książka, i ja nigdy go o to nie spytałem. Powiedział mi jedynie, że to nie jest książka dla dzieci i że nie wolno mi jej oglądać.

Oczywiście więc oglądałem ją, ilekroć zostałem sam w domu. Obrazki przedstawiały ludzi zwisających z drutów kolczastych, zmasakrowane kobiety, ciała ułożone jak bale drewna - całe normalne umeblowanie wojen światowych.

Moją matką była Virginia z domu Crocker, córka fotografa portretowego z Indianapolis, gospodyni domowa i wiolonczelistka amatorka. Grywała na wiolonczeli w Orkiestrze Symfonicznej Schenectady i marzyła, że ja też zostanę wiolonczelistą.

Marzenie się nie spełniło, ponieważ podobnie jak ojciec miałem drewniane ucho.

Nie posiadałem rodzeństwa, a że ojciec rzadko bywał w domu, matka przebywała głównie w moim towarzystwie. Była piękna, utalentowana i miała w sobie coś chorobliwego. Podejrzewam, że przeważnie była pijana. Pamiętam, jak pewnego razu naląła na spodeczek

mieszaniny spirytusu i soli kuchennej, zgasła wszystkie światła i kazała mi usiąść po przeciwnej stronie stołu.

A potem przyłożyła do spodeczka zapaloną zapałkę. Zapłonął żółty sodowy płomień, w którym ona wyglądała jak trup i ja dla niej też.

- Proszę - powiedziała - tak będziemy wyglądać po śmierci.

To dziwaczne doświadczenie przstraszyło nie tylko mnie, ale i ją. Matkę napawało lękiem jej własne dziwactwo i od tamtej chwili przestałem być jej kolegą. Od tamtej chwili prawie przestała się do mnie odzywać, przestała mnie zauważać, ze strachu, niewątpliwie, że zrobi lub powie coś jeszcze bardziej zwariowanego.

Wszystko to działo się w Schenectady, zanim ukończyłem dziesięć lat.

W roku 1923, kiedy miałem lat jedenaście, ojciec został delegowany do przedstawicielstwa General Electric w Berlinie. Od tego czasu byłem wychowywany po niemiecku, wszyscy moi koledzy byli Niemcami i niemiecki stał się dla mnie pierwszym językiem.

W końcu zostałem dramaturgiem w języku niemieckim i ożeniłem się z Niemką, aktorką Helgą Noth. Helga Noth była starszą z dwóch córek Wernera Notha, szefa berlińskiej policji.

Rodzice wyjechali z Niemiec w roku 1939, kiedy wybuchła wojna.

Żona i ja zostaliśmy.

Do końca wojny zarabiałem na utrzymanie jako autor i lektor nazistowskiej propagandy radiowej w języku angielskim. Byłem głównym ekspertem od spraw amerykańskich w Ministerstwie Oświecenia Publicznego i Propagandy.

Pod koniec wojny plasowałem się wysoko na liście przestępców wojennych, głównie dlatego, że moja działalność była tak nieprzyzwoicie publiczna.

Zostałem schwytany przez niejakiego porucznika Bernarda B. O'Hare z amerykańskiej Trzeciej Armii 12 kwietnia 1945 roku w pobliżu Hersfeld. Jechałem motocyklem, nie uzbrojony. Choć miałem prawo do munduru, granatowo-żółtego, byłem po cywilnemu, w lekkim garniturze i nadjedzonym przez mole płaszczu z futrzanym kołnierzem.

Tak się złożyło, że dwa dni wcześniej Trzecia Armia wkroczyła do Ohrdruf, gdzie Amerykanie zobaczyli po raz pierwszy obóz śmierci. Zabrano mnie tam i zmuszono do oglądania wszystkiego: dołów z wapnem, szubienic, miejsc chłosty oraz stosów wychudzonych, pokrytych strupieszalą skórą szkieletów z wytrzeszczonymi oczami.

Chodziło o to, żeby mi pokazać konsekwencje tego, co zrobiłem.

Szubienica w Ohrdruf była sześćoosobowa. Kiedy ją oglądałem, na końcu każdej

linki wisiał obozowy strażnik.

Spodziewano się, że ja też wkrótce zawisnę.

Ja też tak myślałem i zwróciłem uwagę na spokój sześciu strażników zwisających ze sznurów.

Umarli szybką śmiercią.

Zrobiono mi zdjęcie, jak patrzę na szubienicę. Obok mnie stał porucznik O'Hare, szczupły jak młody wilk i pełen nienawiści jak grzechotnik.

Zdjęcie ukazało się na okładce „Life'u” i niewiele brakowało, żeby zdobyło nagrodę Pulitzera.

8

Auf wiedersehen...

Nie zawisłem.

Byłem winny zdrady, zbrodni przeciwko ludzkości i przeciwko mojemu własnemu sumieniu, i aż do dzisiaj nie poniosłem kary.

Nie poniosłem kary, bo całą wojnę byłem amerykańskim agentem. Moje audycje zawierały zaszyfrowane informacje.

Szyfr polegał na manieryzmach, pauzach, zmianach akcentowania, kasznięciach i pozorowanych zająknięciach w pewnych kluczowych zdaniach. Otrzymywałem instrukcje od nie znanych mi osób, informujących mnie, w jakich zdaniach audycji miały się te sygnały znaleźć. Do dzisiaj nie wiem, jakie informacje przeze mnie przekazywano. Z prostoty moich instrukcji wnioskuję, że zwykle przysyłałem odpowiedzi „tak - nie” na pytania postawione aparatowi szpiegowskiemu. Bardzo rzadko, jak na przykład podczas przygotowań do inwazji w Normandii, otrzymywałem bardziej skomplikowane instrukcje i wówczas miałem dykcję jak w ostatnim stadium obustronnego zapalenia płuc.

Taki był zakres mojej użyteczności dla sprawy Sprzymierzonych.

I ta użyteczność uratowała mnie od stryczka.

Zapewniono mi ochronę. Nigdy nie przyznano, że byłem amerykańskim agentem, ale oskarżenie o zdradę zostało podważone. Uwolniono mnie na podstawie jakichś nie istniejących szczegółów technicznych dotyczących mojego obywatelstwa i ułatwiono mi zniknięcie.

Przyjechałem do Nowego Jorku pod zmienionym nazwiskiem. Rozpocząłem, można powiedzieć, nowe życie na swoim zaszczurzonym poddaszu z widokiem na tajny park.

Zostawiono mnie w spokoju. Do tego stopnia, że mogłem wrócić do swojego nazwiska i prawie nikt nie zastanawiał się, czy jestem tym Howardem W. Campbell, jr.

Czasami tylko spotykałem swoje nazwisko w gazecie lub czasopiśmie, nigdy jako

kogoś ważnego, po prostu jako jedno z nazwisk na długiej liście zbrodniarzy wojennych, którzy zniknęli bez śladu. Były pogłoski o mnie z Iranu, Argentyny, Irlandii... Mówiono, że agenci Izraela szukają mnie po całym świecie.

Może i tak, ale żaden agent nie zapukał do moich drzwi. Nikt nie zapukał do moich drzwi, mimo że na skrzynce do listów stało jak wół: Howard W. Campbell, jr.

Aż do samego końca mojego czyścica w Greenwich Village nigdy nie byłem tak bliski zdemaskowania mojej haniebnej przeszłości, jak podczas wizyty u lekarza Żyda w tym samym domu. Miałem zainfekowany kciuk.

Doktor nazywał się Abraham Epstein. Mieszkał z matką na pierwszym piętrze. Dopiero co wprowadzili się.

Moje nazwisko nic nie mówiło doktorowi, natomiast mówiło coś jego matce. Epstein był młody, świeżo po studiach. Jego matka była stara: ciężka, powolna, pomarszczona, smutnie i gorzko czujna.

- To bardzo znane nazwisko - powiedziała. - Chyba pan o tym wie?

- Proszę? - spytałem.

- Nie zna pan nikogo innego o nazwisku Howard W. Campbell, jr.?

- Pewnie są jeszcze jacyś inni - rzuciłem.

- Ile pan ma lat?

Powiedziałem jej.

- Więc powinien pan pamiętać wojnę.

- Dajmy spokój wojnie - przerwał jej z czułością, ale zdecydowanie syn, bandażując mój kciuk.

- Nigdy nie słyszał pan o Howardzie W. Campbellu, jr., przemawiającym z Berlina? - pytała.

- Tak, teraz sobie coś przypominam - powiedziałem.

. To było tak dawno, że zapomniałem. Nigdy go nie słyszałem, ale pamiętam, że pisano coś w gazetach. Takie rzeczy się zapomina.

- I powinno się zapominać - powiedział młody doktor Epstein. - Należą do okresu zbiorowego szaleństwa, który powinien jak najszybciej zostać zapomniany.

- Auschwitz! - rzuciła jego matka.

- Daj spokój z Auschwitz - powiedział doktor Epstein.

- Czy pan wie, co to było Auschwitz? - spytała mnie jego matka.

- Wiem.

- Spędziłam tam swoje młode lata. A mój syn spędził tam dzieciństwo.

- Nigdy o tym nie myślę - przerwał doktor Epstein. - Proszę, palec powinien się zagoić za parę dni. Niech pan go trzyma w ciepłe i nie moczy. - I popchnął mnie w stronę drzwi.

- *Sprechen Sie Deutsch?*- zawołała za mną jego matka.

- Proszę? - spytałem.

- Pytałam, czy mówi pan po niemiecku.

- Aha. Nie, niestety nie. - Nieśmiało spróbowałem. - *Nein?* To chyba znaczy nie, prawda?

- Bardzo dobrze - powiedziała.

- *Auf wiedersehen.* To do widzenia, prawda?

- Tak, do zobaczenia.

- A zatem, *auf wiedersehen.*

- *Auf wiedersehen.*

9

Do akcji wkracza moja dobra wróżka...

Zostałem zwerbowany jako agent amerykański w roku 1938, na trzy lata przed przystąpieniem Ameryki do wojny. Zostałem zwerbowany pewnego wiosennego dnia w Tiergarten w Berlinie.

Byłem miesiąc po ślubie z Helgą Noth.

Miałem dwadzieścia sześć lat.

Zdobyłem pewne uznanie jako dramaturg w języku, którym władałem najlepiej, to znaczy w niemieckim. Jedną moją sztukę, *Kielich*, wystawiono jednocześnie w Dreźnie i Berlinie. Inną moją sztukę, *Śnieżną Różę*, przygotowywano w Berlinie. Właśnie ukończyłem trzecią, *Siedemdziesiąt razy siedem*. Wszystkie trzy były średniowiecznymi romansami, mającymi z polityką tyle wspólnego, co ciastka z kremem.

Siedziałem tego dnia samotnie w parku, rozmyślając na słońcu o czwartej sztuce, która zaczynała się pisać w mojej głowie. Nadała sobie tytuł *Dos Reich der Zwei*, czyli *Państwo dwojga*.

Miała być o miłości mojej i żony. Miała pokazywać, jak para kochających się ludzi może ocaleć w świecie, który oszalał, dochowując lojalności jedynie państwu złożonemu z nich dwojga.

Na ławce po przeciwnej stronie alejki usiadł starszawy Amerykanin. Wyglądał na gamonia i gadułę. Rozwiązał sznurowadła, żeby ulżyć stopom, i zaczął czytać „Chicago Sunday Tribune” sprzed miesiąca.

Przedelfilowało między nami trzech przystojnych oficerów SS.

Kiedy odeszli, mężczyzna odłożył gazetę i przemówił do mnie nosową angielszczyzną z Chicago.

- Przyjemni mężczyźni - powiedział.

- Niewątpliwie.

- Pan mówi po angielsku? - spytał.

- Tak.

- Bogu dzięki, że nareszcie ktoś mówi po angielsku. Myślałem, że oszaleję, próbując znaleźć kogoś, z kim mógłbym porozmawiać.

- Rzeczywiście? - bąknąłem.

- Co pan myśli o tym wszystkim... - spytał. - A może nie wypada zadawać takich pytań?

- O czym wszystkim?

- O tym, co się dzieje w Niemczech. Hitler, Żydzi i to wszystko.

- Nie mam na to żadnego wpływu - powiedziałem - więc nie myślę o tym.

Kiwnął głową.

- Nie pańskiej babci zakichany interes, co?

- Słucham?

- To znaczy nie pańska sprawa.

- Otóż to.

- Pan się zdziwił, kiedy powiedziałem o tym babci interesie?

- To jakieś popularne powiedzonko, prawda?

- W Ameryce tak. Czy mogę się przysiąc, żebyśmy nie musieli do siebie krzyżeć?

- Będzie mi miło.

- Będzie mi miło - powtórzył, podchodząc do mojej ławki. - To zabrzmiało bardzo z angielska.

- Jestem Amerykaninem - powiedziałem.

- Rzeczywiście? - zdziwił się. - Próbowałem zgadywać, kim pan jest, ale tego bym się nie domyślił.

- Dziękuję.

- Czy uznał pan to za komplement? Czy dlatego powiedział pan „dziękuję”?

- Ani komplement, ani powód do wstydu. Sprawy narodowości nie są dla mnie tak ważne, jak może powinny.

To go jakby zaskoczyło.

- Może to nie jest mojej babci zakichany interes, ale jaki jest pański zawód?

- Pisarz - powiedziałem.

- Rzeczywiście? Co za zbieg okoliczności. Właśnie siedziałem i żałowałem, że nie potrafię pisać, bo przysłała mi do głowy całkiem niezła, jak sądzę, szpiegowska historia.

- Co pan powie?

- Mogę ją właściwie panu oddać, bo sam tego nigdy nie napiszę.

- Nie nadażam z wykorzystywaniem własnych pomysłów.

- Ale któregoś dnia mogą się panu skończyć i wtedy będzie pan mógł wykorzystać tę moją historię. Otóż jest młody Amerykanin, który tak długo mieszkał w Niemczech, że stał się prawie Niemcem. Pisze sztuki w języku niemieckim, jest żonaty z piękną niemiecką aktorką i zna masę ważnych nazistów, którzy lubią się obracać wśród ludzi teatru.

Tu sypnął nazwiskami ważnych i mniej ważnych hitlerowców, którzy byli dobrymi znajomymi Helgi i moimi.

Co wcale nie znaczy, że byliśmy z Helgą jakoś szczególnie oczarowani nazistami. Z drugiej strony, nie mogę powiedzieć, że ich nienawidziliśmy. Stanowili po prostu znaczną i entuzjastyczną część naszej widowni i odgrywali ważną rolę w społeczeństwie, w którym żyliśmy.

Byli ludźmi.

Jedynie z perspektywy czasu mogę myśleć o nich jako o potworach.

Szczerze mówiąc, nie potrafię tak o nich myśleć nawet teraz. Znałem ich zbyt dobrze jako ludzi, włożyłem zbyt dużo wysiłku w to, żeby zdobyć ich zaufanie i poklask.

Zbyt dużo wysiłku.

Amen.

Zbyt dużo.

- Kim pan jest? - spytałem człowieka z parku.

- Najpierw chciałbym zakończyć swoją historyjkę - powiedział. - Więc ten młody człowiek wie, że zbliża się wojna, i rozumie, że Ameryka i Niemcy będą po przeciwnych stronach. I ten Amerykanin, który dotąd utrzymywał jak najlepsze stosunki z nazistami, postanawia udawać, że sam jest nazistą, zostaje w Niemczech, kiedy wybucha wojna, i jest bardzo użytecznym amerykańskim szpiegiem.

- Pan wie, kim ja jestem? - spytałem.

- Oczywiście - odpowiedział. Wyjął portfel i pokazał mi legitymację Departamentu Wojny Stanów Zjednoczonych na nazwisko majora Franka Wirtanena, jednostka nie wymieniona. - A oto kim ja jestem. Proponuję panu, żeby pan został agentem amerykańskiego wywiadu, panie Campbell.

- O Chryste! - zawołałem. Osunąłem się na ławce. Po chwili wyprostowałem się znowu i powiedziałem: - To śmieszne. Nie, do diabła, nie!

- No cóż... - zaczął. - Nie jestem właściwie zbyt zawiedziony, bo i tak nie dzisiaj ma

mi pan dać ostateczną odpowiedź.

- Jeżeli pan sobie wyobraża, że pójdę do domu, żeby to przemyśleć, myli się pan. Pójdę do domu po to, żeby zjeść smaczną kolację z moją piękną żoną, posłuchać muzyki, kochać się, a potem zasnąć jak kłoda. Nie jestem żołnierzem ani nie interesuję się polityką. Jestem artystą. Jeżeli wybuchnie wojna, ja nie będę w niej uczestniczył, zastanie mnie przy moich pokojowych zajęciach.

Mój rozmówca potrząsnął głową.

- Życzę panu całego szczęścia, jakie jest na świecie, panie Campbell, ale ta wojna nie pozwoli nikomu zostać przy jego pokojowych zajęciach. I muszę stwierdzić z przykrością - dodał - że im dalej będzie się posuwać ta historia z nazizmem, tym gorzej będzie się panu sypiało po nocach.

- Zobaczymy - rzuciłem hardo.

- Otóż to, zobaczymy. Dlatego powiedziałem, że nie oczekuję pańskiej ostatecznej odpowiedzi dzisiaj. Życie zmusi pana do tej odpowiedzi. Jeżeli pan się zdecyduje, będzie pan postępował dalej według własnego uznania, starając się zajść wśród nazistów najwyżej, jak to tylko możliwe.

- Urocze - mruknąłem.

- Cóż, jest w tym pewien urok. Byłby pan prawdziwym bohaterem, może ze sto razy dzielniejszym od zwykłego człowieka.

Przeszli przed nami sztywny generał Wehrmachtu i tłusty cywil z teczką, rozmawiając z tłumionym ożywieniem.

- Howdy do - pozdrowił ich przyjaźnie major Wirtanen.

Prychnęli z pogardą i poszli dalej.

- Od pierwszego dnia wojny zgłosi się pan na ochotnika na śmierć. Nawet jeżeli przeżyje pan wojnę i nie złapią pana, straci pan dobre imię i niełatwo będzie panu znaleźć sobie miejsce w życiu.

- *To brzmi bardzo zachęcająco* - powiedziałem.

- Mam nadzieję, że udało mi się przedstawić to w sposób, który może pana zachęcić. Widziałem sztukę, która jest grana teraz, i czytałem tę, którą mają dopiero wystawić.

- Tak? I czego się pan z nich dowiedział?

Uśmiechnął się.

- Że ceni pan czyste serca i bohaterstwo. Że kocha pan dobro i nienawidzi zła. I że jest pan romantykiem.

Nie wymienił najważniejszego powodu, który pozwalał sądzić, że zgodzę się zostać

szpiegiem. Tego mianowicie, że byłem niewyżytym aktorem. W pracy szpiegowskiej, jaką mi opisał, miałbym szansę na zagranie wielkiej roli. Mógłbym zwieść wszystkich znakomitą interpretacją roli nazisty.

I udało mi się zwieść wszystkich. Zacząłem chodzić z zadartym nosem, jak jakiś zausznik Hitlera, i nikt nie dostrzegł we mnie uczciwego człowieka, którego tak głęboko ukryłem.

Czy potrafię udowodnić, że pracowałem dla Amerykanów? Moja cała śnieżnobiała szyja jest dowodem numer jeden i jest to jedyny dowód, jakim rozporządzam. Ci, których obowiązkiem jest orzec, czy jestem winien zbrodni przeciwko ludzkości, mogą jej się przyjrzeć przez lupę.

Rząd Stanów Zjednoczonych ani nie potwierdza, ani nie zaprzecza, że byłem jego agentem. To już jest coś, że nie wyklucza takiej możliwości.

Władze podważają jednak ten cień dowodu, zaprzeczając, jakoby Frank Wirtanen kiedykolwiek pełnił służbę w jakiegokolwiek agencji rządowej. Nikt oprócz mnie w niego nie wierzy i dlatego będę o nim często mówił jako o mojej dobrej wróżce.

Jedną z wielu rzeczy, jakich nauczyła mnie moja dobra wróżka, było hasło i odzew, po których miałem rozpoznawać się z członkami mojej siatki szpiegowskiej, jeżeli wybuchnie wojna.

Hasło brzmiało: „Nową przyjaźń czas rozwieje”.

Odzew: „Stara miłość nie rdzewieje”.

Moim adwokatem tutaj, moim uczonym obrońcą jest pan Alvin Dobrowitz. Pan Dobrowitz w przeciwieństwie do mnie wychował się w Stanach i powiedział mi, że to hasło i odzew pochodzą z piosenki pewnej idealistycznej amerykańskiej organizacji dziewczęcej.

Cały wierszyk brzmiał:

Nową przyjaźń czas rozwieje,

Stara miłość nie rdzewieje.

10

Romantyczna Historia...

Żona nigdy nie wiedziała, że jestem szpiegiem.

Nic bym nie stracił, gdybym jej powiedział. Nie kochałaby mnie ani odrobinę mniej. Nie stanowiłoby to dla mnie żadnego zagrożenia. Po prostu sprawiłoby, że świat mojej boskiej Helgi, który już i tak był niełatwy, przyćmiłby Księgę Apokalipsy.

Wystarczyła sama wojna, bez tego.

Moja Helga wierzyła, że mówię na serio te głupoty przez radio i na przyjęciach. Stale chodziliśmy na jakieś przyjęcia.

Byliśmy lubianą parą, wesołą i patriotyczną. Ludzie mówili nam, że podnosimy ich na duchu, dajemy im zachętę do życia. I Helga wcale nie przeżyła tej wojny jedynie jako ozdoba przyjęć. Dawała występy dla żołnierzy, nierzadko tam, gdzie dobiegał głos nieprzyjacielskich armat.

Nieprzyjacielskich? No, w każdym razie jakichś armat.

W ten sposób ją straciłem. Występowała dla żołnierzy na Krymie i Rosjanie odbili Krym. Moja Helga została uznana za zaginioną.

Po wojnie zapłaciłem niemało pieniędzy prywatnej agencji detektywistycznej w Berlinie Zachodnim za znalezienie choćby najmniejszego jej śladu. Rezultaty zerowe. Moją stałą ofertą w agencji była nagroda dziesięciu tysięcy dolarów (po którą nikt się nie zgłosił) za przekonywający dowód, że Helga żyje lub zginęła.

Hej ho!

Moja Helga wierzyła, że mówię serio to, co mówiłem o rasach ludzi i machinie historii, i byłem jej za to wdzięczny. Niezależnie od tego, kim naprawdę byłem, niezależnie od tego, w co naprawdę wierzyłem, potrzebowałem bezkrytycznej miłości, i moja Helga była tym aniołem, który mi ją dawał.

Obficie.

Nie ma na ziemi młodej osoby, która byłaby tak doskonała pod każdym względem, żeby nie potrzebowała bezkrytycznej miłości. Wielki Boże, kiedy młodzi ludzie odgrywają swoje role w politycznych tragediach z miliardową obsadą, bezkrytyczna miłość jest jedynym prawdziwym skarbem, na jaki mogą liczyć.

Das Reich der Zwei, nasze państwo dwojga, miało swoje terytorium, którego zazdrośnie broniliśmy, a które sięgało niewiele poza granice naszego wielkiego małżeńskiego łoża.

Płaski, miękki, sprężysty mały kraik z Helgą i mną jako górami.

A ponieważ w moim życiu miłość miała jakiś sens, jakimż ja byłem zapalonym geografem! Jaką mapę mógłbym narysować dla turysty wysokości jednego mikrona, dla mikroskopijnego *Wandervogla* przemierzającego na rowerze przestrzeń między pieprzykiem a kręconym złotym włoskiem po przeciwnych stronach pępka mojej Helgi! Jeżeli ten obraz jest w złym guście, niech Bóg ma mnie w swojej opiece. Każdy powinien wynajdywać sobie jakieś zabawy dla higieny psychicznej i ja po prostu opisałem naszą grę.

Jak my wczepialiśmy się w siebie, moja Helga i ja, z jakim zaślepieniem wczepialiśmy się w siebie!

Nie słuchaliśmy swoich słów. Słuchaliśmy jedynie melodii w swoich głosach. To, co mówiliśmy, nie było mądrzejsze od pomruków i miauknięć wielkich kotów.

Gdybyśmy chcieli usłyszeć coś więcej, gdybyśmy pomyśleli o tym, co usłyszeliśmy, zrobiłoby się nam pewno niedobrze. Natomiast poza suwerennym terytorium naszego dwuosobowego państwa gadaliśmy jak wszyscy patriotyczni szaleńcy wokół nas.

Ale to się nie liczyło.

Liczyło się tylko jedno...

Dwuosobowe państwo.

A kiedy to państwo przestało istnieć, stałem się tym, kim jestem teraz i kim na zawsze zostanę - bezpaństwowcem.

Nie mogę powiedzieć, że nie byłem ostrzeżony. Człowiek, który mnie zwerbował owego wiosennego dnia w Tiergarten, tak dziś odległego, ten człowiek przepowiedział moją przyszłość dość dokładnie.

- Żeby dobrze wykonać swoje zadanie - powiedziała mi moja dobra wróżka - będzie pan musiał zostać zdrajcą i wysługiwać się wrogowi. Nie zostanie to panu nigdy wybaczone, bo prawo nie przewiduje takiej możliwości. Maksimum tego, co będzie można dla pana zrobić, to uratować pana od stryczka. Ale nigdy nie nastąpi magiczna chwila, w której zostanie pan oczyszczony z zarzutów i Ameryka wywoła pana z ukrycia radosnym

okrzykiem: „Zbite szklanki!”

11

Demobil...

Moja matka i ojciec zmarli. Niektórzy mówią, że pękły im serca. Oboje byli po sześćdziesiątce, kiedy, prawdę mówiąc, serca łatwo pękają.

Nie dożyli końca wojny i nie dane im było ujrzeć swojego popularnego syna. Nie wydziedziczyli mnie, choć niewątpliwie z goryczą rozważali taką możliwość. Pozostawili Howardowi W. Campbellowi, jr., notorycznemu antysemitom, zdrajcy i gwiazdzie programów radiowych akcje, nieruchomości, gotówkę i rzeczy osobiste przedstawiające w czasie zatwierdzenia testamentu, czyli w roku 1945, wartość czterdziestu ośmiu tysięcy dolarów. Cały ten kram dzięki wzrostowi cen i inflacji wart jest obecnie cztery razy tyle, zapewniając mi dochód siedmiu tysięcy dolarów, na który nie zapracowałem.

Można o mnie różnie myśleć, ale nigdy nie naruszyłem kapitału.

Spędzając moje powojenne lata jako dziwak i odludek w Greenwich Village, wydawałem około czterech dolarów dziennie, z mieszkaniem włącznie, i nawet miałem telewizor.

Wszystkie moje nowe meble i sprzęty pochodziły, podobnie jak ja sam, z demobilu: wąskie żelazne łóżko, szarozielone koce ze stemplem „USA”, składane płócienne krzesła, menażki do gotowania i jedzenia. Nawet moja biblioteka pochodziła głównie z demobilu, składając się z książek przeznaczonych dla żołnierzy na froncie.

A ponieważ w skład tych niewykorzystanych zestawów oświatowo-rozrywkowych wchodziły płyty, zdobyłem także z demobilu wodoszczelny gramofon z gwarancją działania w każdym klimacie od Cieśniny Beringa do Morza Arafura. Kupując te zaplombowane zestawy niczym koty w worku, stałem się posiadaczem dwudziestu sześciu nagrań *Białego Bożego Narodzenia* Binga Crosby'ego.

Mój płaszcz, peleryna, kurtka, skarpety i bielizna również pochodziły z demobilu.

Kupując po dolarze pakiety opatrunkowe z demobilu, wszedłem też w posiadanie

pewnej ilości morfiny. Sępy od demobilizacyjnego biznesu tak były obżarte ścierwem, że przeoczyły sprawę.

Kusiło mnie, żeby zażyć morfinę. Gdybym poczuł się od tego szczęśliwszy, miałem dość pieniędzy, żeby podtrzymywać ewentualny nałóg. Zdałem sobie jednak sprawę, że i tak jestem pod wpływem narkozy.

Nie odczuwałem bólu.

Moim narkotykiem było to, co pozwoliło mi przetrwać wojnę - fakt, że jedyne, co mogło mnie poruszyć, to miłość do Helgi. Ta koncentracja wszystkich moich uczuć na tak małej przestrzeni zaczęła się jako szczęśliwe złudzenie zakochanego młodzieńca, rozwinęła się w technikę, która pozwoliła mi nie oszaleć podczas wojny, aż wreszcie stała się trwałą osią, wokół której krążyły wszystkie moje myśli.

W ten sposób, skoro Helga została uznana za zmarłą, stałem się czcicielem śmierci, równie zadowolonym jak każdy inny fanatyk religijny. Zawsze samotny, przepijałem do niej, mówiłem jej dzień dobry i dobranoc, nastawiałem dla niej muzykę i cała reszta świata mogła dla mnie nie istnieć.

Aż pewnego dnia w 1958 roku, po trzynastu latach takiego życia, kupiłem sobie z demobilu zestaw do rzeźbienia w drewnie. Nie był to demobil z drugiej wojny światowej, a z wojny koreańskiej. Zapłaciłem trzy dolary.

Wróciłem do domu i zacząłem, ot tak sobie, nacinać kij od szczotki. I wtedy nagle przyszło mi do głowy, żeby wyrzeźbić komplet figur szachowych.

I wtedy poczułem jeszcze jeden dziwny impuls.

Musiałem pokazać komuś, komuś żywemu, swoje wspaniałe dzieło. I w ten sposób, podniecony zarówno twórczą weną, jak i alkoholem, zszedłem piętro niżej i zapukałem do sąsiada, nie mając pojęcia, kto to jest.

Tym sąsiadem okazał się chytry staruszek nazwiskiem George Kraft. Było to tylko jedno z jego nazwisk. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało pułkownik Iona Potapow. Ten wiekowy sukinsyn był rosyjskim agentem i działał w Ameryce nieprzerwanie od 1935 roku.

Nie wiedziałem o tym.

On też początkowo nie wiedział nic o mnie.

Zetknął nas ślepy los. Nie było w tym żadnego spisku. To ja zapukałem do jego drzwi, naruszyłem jego spokój. Nigdy byśmy się nie spotkali, gdybym nie wyrzeźbił figur szachowych.

Kraft, tak go będę dalej nazywać, ponieważ tak o nim myślę, miał na drzwiach wejściowych trzy albo i cztery zamki.

Skłoniłem go do otwarcia wszystkich pytań, czy gra w szachy. I znów ślepy traf. Nic innego nie skłoniłoby go do otwarcia drzwi.

Nawiasem mówiąc, ludzie, którzy pomagali mi później zbierać materiały, poinformowali mnie, że nazwisko Iona Potapow było znane w europejskich turniejach szachowych na początku lat trzydziestych. W roku 1931 w Rotterdamie wygrał on nawet z arcymistrzem Tartakowerem.

Kiedy mi otworzył, zobaczyłem, że jest malarzem. Na środku pokoju stały sztalugi ze świeżym płótnem, a na wszystkich ścianach wisiały jego uderzające obrazy.

Czuję się znacznie pewniej, kiedy mówię o Krafcie vel Potapowie, niż kiedy mówię o Wirtaneniu vel diabli wiedzą co. Wirtanen pozostawił po sobie nie więcej śladów niż mucha, która przeszła po stole bilardowym, podczas gdy dowodów na istnienie Krafta jest wszędzie pełno. Na przykład mówią mi, że jego obrazy osiągają teraz w Nowym Jorku po dziesięć tysięcy dolarów za sztukę.

Mam pod ręką wycinek z nowojorskiej „Herald Tribune” z 3 marca, mniej więcej sprzed dwóch tygodni, w którym krytyk pisze o Krafcie jako o malarzu:

Oto mamy nareszcie utalentowanego i wdzięcznego spadkobiercę malarskiej tradycji fantastycznej wynalazczości i eksperymentatorstwa ostatnich stu lat. Mówi się, że Arystoteles był ostatnim człowiekiem, który rozumiał całość swojej kultury. George Kraft jest niewątpliwie pierwszym człowiekiem, który rozumie całość nowoczesnego malarstwa, ma to zrozumienie we krwi i w kościach.

Z niewiarygodnym wdziękiem i pewnością łączy w sobie wizje rozlicznych szkół malarskich, współczesnych i minionych. Jego harmonia zachwyca i zmusza do pokory, jakby mówiła: Jeżeli chcecie nowego Renesansu, oto jak będą wyglądały obrazy wyrażające jego ducha”.

George Kraft alias Iona Potapow ma możliwość kontynuowania swojej niezwyklej kariery artystycznej w więzieniu federalnym w Fort Leavenworth. Wszyscy, w tym także niewątpliwie sam Kraft-Potapow, możemy się zastanowić, jak wyglądałaby ta kariera, gdyby był więźniem w swojej ojczystej Rosji.

Otóż, kiedy Kraft otworzył mi drzwi, od razu wiedziałem, że jego obrazy są dobre. Nie wiedziałem, że są aż tak dobre. Podejrzewam, że powyższą recenzję pisał jakiś pedzio zdrowo napompowany koniakiem.

- Nie wiedziałem, że pode mną mieszka malarz - powiedziałem wtedy do Krafta.

- Jaki tam malarz - zaprotestował.

- Wspaniale obrazy! Gdzie pan wystawia?

- Nigdy nie wystawiałem.

- Zrobiłby pan majątek.

- To miło, że pan tak mówi, ale zacząłem malować zbyt późno. - I tu opowiedział mi rzekomą historię swojego życia, w której nie było ani słowa prawdy.

Powiedział, że jest wdowcem z Indianapolis. Jako młody człowiek, powiedział, chciał zostać artystą, ale zamiast tego zaczął pracować w farbach i tapetach.

- Dwa lata temu umarła mi żona - powiedział i udało mu się wycisnąć trochę wilgoci z okolicy oczu. Rzeczywiście miał żonę, ale nie na cmentarzu w Indianapolis. Miał bardzo żywą żonę imieniem Tania w Borisoglebsku. Nie widział jej od dwudziestu pięciu lat.

- Kiedy umarła - powiedział mi - stwierdziłem, że mam do wyboru tylko dwie drogi: samobójstwo albo marzenie mojej młodości. Jestem starym głupcem, który pożyczył sobie marzenia od młodego głupca. Kupiłem trochę płótna i farb i przenieśliśmy się do Greenwich Village.

- Nie mieliście dzieci? - spytałem.

- Nie - powiedział ze smutkiem. Naprawdę miał troje dzieci, dziewięcioro wnuków. Jego najstarszy syn, Ilija, jest słynnym specjalistą rakietowym.

- jedynym członkiem mojej rodziny na świecie jest sztuka - powiedział - i jestem najuboższym krewniakiem, jakiego sztuka kiedykolwiek miała. - Nie chodziło mu o to, że nie ma pieniędzy, tylko że jest marnym malarzem. Pieniądzy ma dużo, powiedział, bo bardzo korzystnie sprzedał swój interes w Indianapolis.

- Szachy - powiedział - wspomnieliśmy coś o szachach?

Miałem wystrugane przez siebie figury w pudełku po butach. Pokazałem mu je.

- Właśnie je zrobiłem i teraz strasznie mnie ciągnie, żeby nimi zagrać.

- Uważa się pan pewnie za dobrego gracza? - spytał.

- Dawno nie grałem.

Grywałem w szachy prawie wyłącznie z Wernerem Nothem, moim teściem i szefem berlińskiej policji. Wygrywałem z nim dość systematycznie w niedzielne popołudnia, kiedy odwiedzaliśmy go z Helgą. Jedynym turniejem, w jakim uczestniczyłem, był wewnętrzny turniej niemieckiego Ministerstwa Oświecenia Publicznego i Propagandy. Zająłem jedenaste miejsce wśród sześćdziesięciu pięciu uczestników.

Znacznie lepiej radziłem sobie w ping-pongu. W ping-pongu miałem mistrzostwo ministerstwa przez cztery kolejne lata, w singlu i deblu. Moim partnerem deblowym był Hans

Schildknecht, specjalista od propagandy na Australię i Nową Zelandię. Pewnego razu Hans i ja wygraliśmy z deblem złożonym z Reichsleiters Goebbelsa i Oberdiensleiters Karla Hedericha. Roznieśliśmy ich 21:2, 21:1, 21:0.

Historia często chadza pod rękę ze sportem.

Kraft miał szachownicę. Ustawiliśmy na niej moje figury i zaczęliśmy grę.

I gruby, szczeciniasty, oliwkowoszary kokon, jaki sobie zbudowałem, przetaił się nieco, osłabił i zaczął przepuszczać trochę bladego światła.

Gra sprawiała mi przyjemność, potrafiłem zrobić tyle intuicyjnie interesujących ruchów, że mojemu nowemu znajomemu zwycięstwo nade mną dało satysfakcję.

Od tego czasu Kraft i ja rozgrywaliśmy przynajmniej po trzy partie dziennie przez okrągły rok. Zbudowaliśmy sobie rodzaj żalosnej zażyłości, której potrzebę obaj odczuwaliśmy. Zaczęliśmy na nowo znajdować smak jedzenia, dokonywać małych odkryć w sklepach spożywczych i dzielić się nimi w domu. Pamiętam, że kiedy pojawiły się pierwsze truskawki, Kraft i ja rzuciliśmy się na nie, jakbyśmy złapali Pana Boga za nogi.

Szczególnie wzruszającą rzeczą między nami była sprawa wina. Kraft znał się na winach znacznie lepiej ode mnie i często przynosił do posiłku jakieś omszałe rarytasy. Jednak chociaż zawsze miał przed sobą napełniony kieliszek, kiedy zasiadaliśmy do jedzenia, wino było wyłącznie dla mnie. Kraft był alkoholikiem i jeden łyk wina mógł się dla niego skończyć całomiesięcznym opilstwem.

Jedynie to - z tego, co mi o sobie opowiedział - było prawdą. Był członkiem organizacji Anonimowych Alkoholików od szesnastu lat. Choć wykorzystywał zebrania tej organizacji jako punkty kontaktowe, zaspokajały one także jego autentyczne potrzeby duchowe. Powiedział mi kiedyś z pełnym przekonaniem, że największym wkładem Ameryki w historię świata, wkładem, który będzie pamiętany przez tysiące lat, jest wynalezienie organizacji Anonimowych Alkoholików.

Typowe dla jego szpiegowskiej schizofrenii było to, że organizację, którą otaczał taką czcią, wykorzystywał dla celów szpiegowskich.

Typowe dla jego szpiegowskiej schizofrenii było także to, że będąc moim autentycznym przyjacielem, pomyślał o wykorzystaniu mnie w sposób okrutny dla realizacji rosyjskich celów.

12

Dziwne rzeczy w mojej skrzynce na listy...

Na samym początku okłamywałem Krafta co do tego, kim jestem i co robiłem. Ale nasza przyjaźń pogłębiała się tak bardzo i tak szybko, że wkrótce opowiedziałem mu wszystko.

- Jakie to niesprawiedliwe! - zawołał. - Wstyd mi, że jestem Amerykaninem! Dlaczego niby rząd nie może zabrać głosu i powiedzieć: „Słuchajcie! Ten człowiek, którego opluwacie, jest bohaterem!” Był oburzony i, o ile mogłem sądzić, było to oburzenie szczere.

- Nikt mnie nie opluwa - powiedziałem. - Nikt nawet nie wie, że jeszcze żyję.

Palił się, żeby zobaczyć moje sztuki. Kiedy powiedziałem mu, że nie mam egzemplarzy, kazał je sobie opowiadać scena po scenie, zmuszał mnie, żebym je dla niego odgrywał.

Mówił mi, że są cudowne. Może mówił szczerze. Nie wiem. Mnie moje sztuki wydają się teraz nieciekawe, ale może jemu się podobały.

Podejrzewam, że podniecała go sama idea teatru, a nie to, co ja z nią zrobiłem.

- Sztuka, sztuka, sztuka... - powiedział do mnie któregoś wieczoru. - Nie wiem, dlaczego potrzebowałem tyle czasu na zrozumienie jej wagi. Jako młody człowiek żywiłem dla niej wręcz pogardę. Teraz, ilekroć pomyślę o sztuce, chce mi się paść na kolana i płakać.

Była późna jesień. Zaczął się sezon ostryg i zjadaliśmy po tuzinie każdy. Znałem wtedy Krafta od roku.

- Howard - powiedział mi - przyszłe cywilizacje, lepsze cywilizacje niż ta nasza, będą oceniać wszystkich ludzi wyłącznie jako artystów. Ty i ja, jeżeli jakiś przyszły archeolog odnajdzie nasze prace cudem zachowane w jakimś miejskim śmietnisku, będziemy oceniani na podstawie jakości naszych dzieł. Nic innego nie będzie się liczyć.

- Hmm - powiedziałem.

- Musisz znów zacząć pisać. Tak jak stokrotki kwitną jako stokrotki, a róże jako róże, tak ty musisz kwitnąć jako pisarz, a ja jako malarz. Wszystko inne w nas jest nieinteresujące.

- Nieboszczyki zwykle nie piszą zbyt dobrze - powiedziałem.

- Nie jesteś nieboszczykiem! - zaprotestował. - Jesteś pełen pomysłów. Potrafisz mówić godzinami.

- Głędzić.

- To nie głędzenie! - zareagował z ogniem. - Jedyne, czego ci potrzeba na tym świecie, żeby znów zacząć pisać, i to pisać lepiej niż kiedykolwiek przedtem, to kobieta.

- Co?

- Kobieta - powtórzył.

- Skąd ci przyszedł do głowy ten dziwaczny pomysł? Może to po ostrygach? Jak ty znajdziesz sobie kobietę, to i ja sobie znajdę kobietę - powiedziałem. - Co ty na to?

- Ja jestem za stary, żeby mi to mogło pomóc, ale ty nie. - I znów usiłując oddzielić prawdę od fałszu, muszę stwierdzić, że wierzę w prawdziwość jego słów. On naprawdę szczerze chciał, żebym znów zaczął pisać, i był przekonany, że potrzeba mi do tego kobiety. - Prawie jestem gotów znieść to poniżające doświadczenie i usiłować być mężczyzną dla jakiejś kobiety, żebyś tylko ty znalazł sobie kobietę.

- Mam już jedną - powiedziałem.

- Miałeś - poprawił mnie. - A to jest różnica wielka jak świat.

- Nie chcę o tym rozmawiać - odparłem.

- A ja i tak będę o tym mówić.

- No to mów sobie - powiedziałem, wstając od stołu. - Baw się w swata do woli, a ja zejdem na dół zobaczyć, co mi dziś przyniósł listonosz.

Zdenerwował mnie i zszedłem do skrzynki na listy po to tylko, żeby się uspokoić. Wcale nie byłem ciekaw poczty. Często nie zaglądałem do skrzynki przez tydzień albo i dłużej. Jedyne, co w niej znajdowałem, to czeki z dywidendami, zawiadomienia o zebraniach akcjonariuszy, reklamy adresowane: „Właściciel skrzynki pocztowej” oraz broszurki zalecające książki i przyrządy rzekomo pomocne w pracy dydaktycznej.

Dlaczego otrzymywałem te reklamy materiałów dydaktycznych? Pewnego razu starałem się o pracę nauczyciela niemieckiego w prywatnej szkole w Nowym Jorku. Było to chyba w 1950 roku.

Nie dostałem tej pracy i wcale mi na niej nie zależało. Myślę, że zgłosiłem się po prostu po to, żeby samemu sobie udowodnić, że ktoś taki jak ja naprawdę istnieje.

Ankieta, którą wypełniłem, była z konieczności pełna kłamstw, była taką kombinacją

łgarstw, że szkoła nie zadała sobie nawet trudu, żeby mi przysłać odmowę na piśmie. Tak czy inaczej moje nazwisko trafiło jakoś na listę osób zajmujących się nauczaniem. I odtąd ulotki reklamowe leciały do mnie bez końca.

Otworzyłem skrzynkę z kilkudniową zawartością.

Znalazłem czek od Coca-Coli, zawiadomienie o zebraniu akcjonariuszy General Motors, żądanie Standard Oil z New Jersey, żebym zaaprobował nowy plan gospodarowania akcjami, oraz reklamę ośmiofuntowego ciężarka w kształcie książki.

Ciężarek miał służyć dzieciom do ćwiczeń między lekcjami. Ogłoszenie wskazywało, że stopień usportowienia dzieci amerykańskich jest niższy niż prawie we wszystkich innych krajach świata.

Ale reklama tego dziwaczego ciężarka nie była najdziwniejszą rzeczą w mojej skrzynce na listy. Były tam rzeczy znacznie dziwniejsze.

Jedną był list w dużej kopercie z placówki Amerykańskiego Legionu imienia Francisca X. Donovana w Brooklynie, w stanie Massachusetts.

Drugą była mała, ciasno zwinięta gazetka *nadana* ze stacji Grand Central.

Najpierw rozwinąłem gazetę i stwierdziłem, że jest to „Głos Białego Chrześcijanina”, plugawy, antysemitki, antymurzyński, antykatolicki szmatławiec, wydawany przez wielbego doktora Lionela J.D.Jonesa. „Sąd Najwyższy - głosił największy tytuł - żąda skundlenia Stanów Zjednoczonych”.

Drugi co do wielkości tytuł brzmiał: „Czerwony Krzyż daje białym murzyńską krew!”

Tytuły te nie były dla mnie niczym zaskakującym. Ostatecznie sam żyłem z mówienia podobnych rzeczy w Niemczech. Jeszcze bliższy ducha dawnego Howarda W. Campbella, jr. był tytuł małego artykułu w rogu pierwszej strony: „Międzynarodowe żydostwo jedynym zwycięzcą drugiej wojny światowej”.

Następnie otworzyłem list z posterunku Amerykańskiego Legionu. Brzmiał on tak:

Drogi Howardzie,

ze zdziwieniem i rozczarowaniem, dowiedziałem się, że jeszcze żyjesz. Kiedy pomyślę o wszystkich porządnym ludziach, którzy zginęli w drugiej wojnie światowej, a potem pomyślę, że Ty jeszcze żyjesz i mieszkasz w kraju, który zdradziłeś, chce mi się rzygać. Z przyjemnością dowiesz się, że nasz posterunek postanowił jednogłośnie domagać się, żeby Cię powieszono albo deportowano do Niemiec, kraju, który tak ukochałeś.

Teraz, kiedy wiem, gdzie jesteś, wkrótce Cię odwiedzę. Miło będzie porozmawiać o dawnych czasach.

Mam nadzieję, Ty śmierdzący szczurze, że dziś w nocy przyśni Ci się obóz koncentracyjny w Ohrdruf. Szkoda, że nie wrzuciłem Cię do dołu z wapnem, kiedy miałem okazję.

Bardzo szczerze oddany

Bernard B. O'Hare

Prezes posterunku

Do wiadomości:

J. Edgard Hoover, FBI, Waszyngton, D.C.,

Dyrektor CIA, Waszyngton

Redakcja „Time”, Nowy Jork

Redakcja „Newsweek”, Nowy Jork

Redakcja „Gazeta Piechoty”, Waszyngton

Redakcja „Magazyn Legionu”, Indianapolis

*Przewodniczący Komitetu do badania działalności antyamerykańskiej,
Waszyngton, D.C.*

Redakcja „Głos Białego Chrześcijanina”, 395 Bleecker St., Nowy Jork.

Bernard B. O'Hare był oczywiście tym młodym człowiekiem, który mnie aresztował po wojnie, który kazał mi skakać żabką w obozie Ohrdruf i który stał obok mnie na pamiętym zdjęciu z okładki „Life'u”.

Kiedy znalazłem list od niego w swojej skrzynce w Greenwich Village, zastanawiałem się, skąd on się o mnie dowiedział.

Przeglądając „Głos Białego Chrześcijanina”, odkryłem, że O'Hare nie jest jedyną osobą, która odnalazła Howarda W. Campbella, jr. Na trzeciej stronie pod prostym tytułem: „Tragedia amerykańska!” kryła się następująca krótka notatka:

Howard W. Campbell, jr., wielki pisarz i jeden z najbardziej nieustraszonych patriotów w historii Ameryki, żyje teraz w biedzie i samotności na poddaszu przy ulicy Bethune 27. Taki jest los człowieka myślącego, który miał odwagę powiedzieć prawdę o spisku międzynarodowych żydowskich bankierów i międzynarodowych żydokomunistów, którzy nie spoczną, póki krew każdego Amerykanina nie zostanie beznadziejnie skażona krwią murzyńską i orientalną.

13

Wielebny doktor Lionel Jason David Jones, doktor stomatologii, doktor teologii...

Dzięki materiałom dostarczonym mi przez Instytut Dokumentacji Zbrodni Wojennych w Hajfie mogłem włączyć do tej relacji biografię doktora Jonesa, wydawcy „Głosu Białego Chrześcijanina”.

Jones, chociaż nie podlegał ściganiu jako zbrodniarz wojenny, ma tam bardzo grubą teczkę. Przeglądając tę skarbnicę pamiątek, stwierdziłem, co następuje:

Wielebny Lionel Jason David Jones, doktor stomatologii, doktor teologii, urodził się w Haverhill, w stanie Massachusetts, w roku 1889 i został wychowany jako metodysta.

Był najmłodszym synem dentysty, wnukiem dwóch dentystów, bratem dwóch dentystów i szwagrem trzech dentystów. On też kształcił się na dentystę, ale został usunięty ze stomatologii na Uniwersytecie w Pittsburghu w roku 1910 za coś, co dzisiaj określono by najprawdopodobniej jako paranoję. W roku 1910 usunięto go po prostu za brak postępów.

Objawy tego nie były bynajmniej oczywiste. Jego prace egzaminacyjne były prawdopodobnie najdłuższe w całej historii nauczania stomatologii i prawdopodobnie również najmniej odnosiły się do tematu. Zaczynały się zupełnie rozsądnie, ale później, niezależnie od tematu, Jones przechodził do swojej własnej teorii, że zęby Żydów i Murzynów świadczą ponad wszelką wątpliwość o degeneracji obu tych grup.

Jako dentysta spisywał się bardzo dobrze i rada wydziału miała nadzieję, że z czasem przejdzie mu to polityczne podejście do uzębienia. Jednak jego stan pogarszał się, aż wreszcie jego prace zmieniły się w płomienne odezwy wzywające wszystkich anglosaskich protestantów do jednoczenia się przeciwko żydowsko-murzyńskiej dominacji.

Kiedy Jones zaczął przytaczać dowody degeneracji w uzębieniu katolików i unitarian,

a pod jego materacem znaleziono bagnet i pięć nabitych pistoletów, wreszcie go wylano.

Rodzice go wydziedziczyli, na co moi rodzice nigdy się do końca nie zdecydowali.

Bez grosza przy duszy Jones znalazł pracę jako pomocnik balsamisty w domu pogrzebowym braci Scharff w Pittsburghu. Po dwóch latach został kierownikiem firmy. Rok później poślubił wdowę po właścicielu, Hattie Scharff. Hattie miała wówczas lat pięćdziesiąt osiem, a Jones dwadzieścia cztery. Ludzie badający życie Jonesa, wszyscy prawie wrogo do niego nastawieni, musieli uznać, że Jones naprawdę kochał swoją Hattie. Małżeństwo, które przetrwało aż do jej śmierci w roku 1928, było szczęśliwe.

Co więcej, było tak szczęśliwym, tak harmonijnym, tak samowystarczalnym dwuosobowym państwem, że Jones przez ten czas nie robił prawie nic w kwestii budzenia świadomości Anglosasów. Zadowalał się robieniem przy pewnych nieboszczykach uwag na tematy rasowe, które miały charakter zawodowych żartów i które można usłyszeć w najbardziej tolerancyjnych instytucjach zajmujących się balsamowaniem zwłok. Był to dla niego złoty okres nie tylko pod względem uczuciowym i finansowym, lecz również pod względem twórczym. Wspólnie z doktorem chemii nazwiskiem Lomar Horthy, Jones opatentował Viverinę, płyn do balsamowania, oraz Gingiva-Tru, cudownie naturalną substancję naśladowującą dziąsła, do produkcji sztucznych szczęk.

Po śmierci żony Jones poczuł potrzebę odrodzenia. Odrodził się pod postacią, która w nim cały czas drzemała. Został agitatorom rasowym, takim, o jakich się mówi, że wypełzli spod kamienia. Jones wypełzł spod swojego kamienia w 1928 roku. Sprzedał dom pogrzebowy za osiemdziesiąt cztery tysiące dolarów i założył „Głos Białego Chrześcijanina”.

Zbankrutował wskutek załamania się rynku w 1929 roku. Jego gazeta przestała wychodzić po czternastu numerach. Te czternaście numerów rozesłano gratisowo do wszystkich osób figurujących w *Who is Who*. Jedyne ilustracjami były fotografie i diagramy zębów, a wszystkie artykuły wyjaśniały jakieś wydarzenia współczesne w świetle teorii Jonesa na temat uzębienia i ras.

W przedostatnim numerze Jones mianował się w nagłówku Lionelem J.D. Jonesem, doktorem stomatologii.

Znów bez grosza, tym razem czterdziestoletni Jones odpowiedział na ogłoszenie w zawodowym piśmie branży pogrzebowej. Szkoła Balsamowania w Little Rock, w stanie Arkansas, szukała dyrektora. Ogłoszenie podpisała właścicielka i wdowa po poprzednim dyrektorze.

Jones dostał pracę i wdowę też. Nazywała się Mary Alice Shoup i miała sześćdziesiąt osiem lat, kiedy Jones ją poślubił.

I Jones powtórnie stał się oddanym mężem, szczęśliwym i spokojnym człowiekiem.

Szkoła, na której czele stanął, nazywała się niewymyślnie Szkołą Balsamowania w Little Rock. Przynosiła rocznie osiem tysięcy dolarów strat. Jones wycofał się ze zbyt ambitnej dziedziny kształcenia kadr nowych balsamistów, sprzedał nieruchomości szkoły i przemianował ją na Uniwersytet Biblijny Półkuli Zachodniej. Uniwersytet nie prowadził wykładów, niczego nie uczył i całą działalność prowadził korespondencyjnie. Polegała ona na wydawaniu doktoratów z teologii, w ramach i pod szkłem, po osiemdziesiąt dolarów od łebka.

I wówczas Jones poczęstował się stopniem doktora z otwartego, można powiedzieć, skarbca. Kiedy zmarła jego druga żona, kiedy ponownie wykupił „Głos Białego Chrześcijanina”, wystąpił w nagłówku jako „Wielebny Lionel J.D. Jones, doktor stomatologii, doktor teologii”.

Napisał również i wydał własnym kosztem książkę, która łączyła nie tylko stomatologię i teologię, lecz także sztuki piękne. Tytuł tej książki brzmiał: *Chrystus nie był Żydem*. Dowodził swojej tezy, reprodukując pięćdziesiąt słynnych wyobrażeń Chrystusa. Według Jonesa, żaden z obrazów nie pokazywał żydowskiej szczęki ani zębów.

Pierwsze numery wznowionego „Głosu Białego Chrześcijanina” były równie nie do czytania jak poprzednie. Ale potem zdarzył się cud. „Głos Białego Chrześcijanina” rozrósł się z czterech do ośmiu stron. Wystrój graficzny, druk i papier nabrały blasku i urody. Zamiast diagramów dentystycznych pojawiły się aktualne fotografie i stronice pisma zaroily się nazwiskami i wiadomościami z całego świata.

Wyjaśnienie tego było proste... i oczywiste. Jones został zwerbowany i zaczął być finansowany jako agent propagandowy powstającej wtedy hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy. Wiadomości, zdjęcia, dowcipy rysunkowe i komentarze Jonesa płynęły prosto z młynów nazistowskiej propagandy w Erfurcie.

Nawiasem mówiąc, jest całkiem możliwe, że znaczna część jego najbardziej zionących nienawiścią materiałów wyszła spod mojego pióra.

Jones kontynuował działalność niemieckiego agenta propagandowego nawet wówczas, gdy Stany Zjednoczone przystąpiły już do wojny. Aresztowano go dopiero w czerwcu 1942, kiedy to został skazany wraz z dwudziestoma siedmioma innymi za:

Spisek w celu zniszczenia morale, wiary i zaufania członków sił zbrojnych i ludności Stanów Zjednoczonych do przedstawicieli władz i republikańskiej formy rządu; spisek w celu zawłaszczenia, wykorzystania i nadużycia prawa do wolności słowa i prasy dla

rozpowszechniania wrogich doktryn, oparty na przekonaniu, iż każdy naród gwarantujący swoim obywatelom wolność słowa jest bezsilny wobec swoich wrogów pozujących na patriotów; dążenie do utrudniania, rozkładu i niszczenia właściwego funkcjonowania republikańskiej formy rządów pod pozorem uczciwej krytyki; spisek zmierzający do pozbawienia rządu Stanów Zjednoczonych wiary i zaufania członków sił zbrojnych i narodu i tym samym pozbawienia go zdolności do obrony kraju i narodu przed zbrojnym atakiem z zewnątrz lub zdradą od wewnątrz.

Jones został uznany za winnego. Skazano go na czternaście lat, odsiedział osiem. Kiedy wychodził z Atlanty w 1950 roku, był bogatym człowiekiem. Viverine, jego płyn do balsamowania zwłok, i Gingiva-Tru, substancja imitująca dziąsła do sztucznych szczęk, opanowały rynek w swoich dziedzinach.

W 1955 roku podjął na nowo publikację „Głosu Białego Chrześcijanina”.

Pięć lat później jako siedemdziesięcioletni żwawy starszy polityk, jako pełen życia, nie mający sobie nic do zarzucenia dżentelmen, wielbny Lionel J.D. Jones, doktor stomatologii, doktor teologii, złożył mi wizytę.

Można spytać, dlaczego to uczciłem go przytoczeniem tak obszernej jego biografii?

Aby dla kontrastu z sobą pokazać rasistę ograniczonego i szalonego. Ja nie jestem ani ograniczony, ani szalony.

Ci, których polecenia wykonywałem w Niemczech, byli równie ograniczeni i szaleni jak doktor Jones. Wiedziałem o tym.

Ale, niech mnie Bóg ma w swojej opiece, i tak wykonywałem ich polecenia.

Spojrzenie w głąb klatki schodowej...

Jones złożył mi wizytę tydzień po tym, jak stwierdziłem w swojej skrzynce na listy obecność tego plugastwa. Chciałem go odwiedzić pierwszy. Publikował swoją odrażającą gazetkę zaledwie o kilka przecznic od mojego domu i poszedłem tam prosić go, żeby odwołał artykuł.

Nie zastałem go.

Kiedy wróciłem do domu, znalazłem w skrzynce dużo nowych listów, wszystkie prawie od prenumeratorów „Głosu Białego Chrześcijanina”. Ich wspólnym motywem było to, że nie jestem sam, że mam przyjaciół. Kobieta z Mount Vernon, w stanie Nowy Jork, zawiadamała mnie, że w niebie czeka na mnie tron. Mężczyzna z Norfolk pisał, że jestem nowym Patrickiem Henrym. Kobieta z St. Paul przysłała mi dwa dolary na kontynuację mojego zacnego dzieła. Przepraszała, że to cała gotówka, jaką rozporządza. Jakiś mężczyzna z Bartlesville, w stanie Oklahoma, zapytywał, czemu nie wyjadę z Nowego Jorku i nie zamieszkam w krainie pobożnych.

Nie miałem pojęcia, skąd Jones dowiedział się o mnie.

Kraft również udawał zdziwionego. Tak naprawdę nie był zdziwiony, bo to on napisał do Jonesa jako anonimowy rodak-patriota, przekazując mu radosną nowinę, że żyję. Poprosił również, żeby Jones wysłał gratisowy egzemplarz swojej wspaniałej gazety do Bernarda B. O'Hare do Placówki Legionu Amerykańskiego imienia Francisa X. Donovana.

Kraft miał pewne plany co do mojej osoby.

Jednocześnie malował mój portret, który zawierał więcej intuicyjnej sympatii, niż by to było możliwe, gdyby chodziło tylko o nabranie frajera.

Właśnie pozowałem, kiedy przyszedł Jones. Kraft rozlał butelkę terpentyny. Otworzyłem drzwi, żeby przewietrzyć.

I wtedy z klatki schodowej dobiegło nas bardzo dziwne skandowanie.

Wyszedłem na podest i spojrzałem w dół dębowo-gipsowego ślimaka klatki schodowej. Zobaczyłem jedynie dłonie czterech osób posuwające się po poręczy.

Grupa składała się z Jonesa i czterech osób towarzyszących.

Dziwne skandowanie przeplatało się z ruchem dłoni po poręczy. Dłonie posuwały się kawałek, zatrzymywały się i rozlegało się skandowanie.

Było to zdyszane liczenie do dwudziestu. Dwóch spośród towarzyszy Jonesa, jego goryl i sekretarz, miało bardzo kiepskie serca. Żeby im te stare biedne serca nie pękły, przystawali co kilka stopni i odpoczywali, licząc do dwudziestu.

Gorylem Jonesa był August Krapptauer, były Vice-Bundesfuehrer Związku Niemców Amerykańskich. Krapptauer miał sześćdziesiąt trzy lata, z czego jednaście odsiedział w Atlancie, i był bliski śmierci. Nadal jednak miał wygląd jaskrawo chłopięcy, jakby regularnie odwiedzał kosmetyczkę w domu pogrzebowym. Jego życiowym sukcesem było doprowadzenie do wspólnego wiecu Bundu i Ku-Klux-Klanu w New Jersey w roku 1940. Krapptauer oświadczył na tamtym wiecu, że papież jest Żydem i że Watykan jest zadłużony u Żydów na piętnaście milionów dolarów. Zmiana papieża i jednaście lat w więziennej pralni nie wpłynęły na zmianę jego przekonań.

Sekretarzem Jonesa był pozbawiony święceń ksiądz paulin nazwiskiem Patrick Keeley. „Ojciec Keeley”, jak go nadal nazywał jego pracodawca, miał siedemdziesiąt trzy lata i był pijakiem. Przed drugą wojną światową pełnił obowiązki kapelana klubu strzeleckiego w Detroit, który, jak się później okazało, został zorganizowany przez agentów hitlerowskich Niemiec. Marzeniem klubu było widocznie strzelanie do Żydów. Jedną z modlitw ojca Keeleya na zebraniu klubu zanotował reporter z gazety i następnego dnia wydrukowano ją w całej okazałości. Modlitwa była skierowana do tak okrutnego i rasistowskiego Boga, że zwróciła uwagę samego zdumionego papieża Piusa XI.

Keeley został pozbawiony święceń i papież Pius wystosował do amerykańskiej hierarchii długi list, w którym pisał między innymi: „Żaden prawdziwy katolik nie weźmie udziału w prześladowaniu swoich żydowskich współobywateli. Cios wymierzony w Żydów jest ciosem w nasze wspólne człowieczeństwo”.

Keeley nigdy nie trafił do więzienia, choć znalazło się tam wielu jego najbliższych przyjaciół. Podczas gdy oni korzystali z parowego ogrzewania, czystej pościeli i regularnych posiłków na koszt rządu, Keeley cierpiał chłód, głód, robactwo i zapijał się do ślepoty w zaułkach nędzy całego kraju. Byłby tam do dzisiaj albo leżałby w bezimiennym grobie, gdyby go nie odnaleźli i nie uratowali Jones i Krapptauer.

Słynna modlitwa Keeleya była, nawiasem mówiąc, parafrazą satyrycznego wierszyka, który ułożyłem i wygłosiłem na krótkich falach. I skoro już ustalam fakty dotyczące mojego wkładu w literaturę, to pozwolę sobie wskazać, że twierdzenia Vice-Bundesfuehrera Krapptauera na temat papieża i oddania Watykanu w pacht Żydom były również moim pomysłem.

Oto jacy ludzie szli do mnie po schodach, skandując: „Raz, dwa, trzy, cztery...”

I mimo że posuwali się tak wolno, czwarty członek grupy pozostawał daleko w tyle.

Tą czwartą osobą była kobieta. Widziałem jedynie jej bladą dłoń bez pierścionków.

Dłoń Jonesa posuwała się na czele i lśniła od pierścieni jak dłoń bizantyjskiego księcia. Inwentaryzacja biżuterii na tej dłoni stwierdziłaby dwie obrączki, szafir z gwiazdką wręczony mu przez Stowarzyszenie Matek przy Związku Narodowych Bojowników imienia Paula Revere'a w roku 1940, swastykę z diamentów na czarnym onyksie, którą wręczył mu w roku 1939 baron Manfred Freiherr von Killinger, wówczas niemiecki konsul generalny w San Francisco, oraz amerykańskiego orla z nefrytu oprawionego w srebro, roboty japońskiej, prezentu od Roberta Sterlinga Wilsona. Wilson był „Czarnym Fuehrerem Harlemu”, kolorowym, który poszedł do więzienia w 1942 roku za szpiegostwo na rzecz Japonii.

Upierścieniona dłoń Jonesa oddzieliła się od poręczy. Jones zbiegł po schodach w dół do kobiety i mówił jej coś, czego nie słyszałem. Potem wrócił na górę. Zdziwiająco sprawny siedemdziesięcioletek.

Stanął twarzą w twarz ze mną i uśmiechnął się, ukazując rząd śnieżnobiałych zębów osadzonych w Gingiva-Tru.

- Campbell? - spytał nieco tylko zdyszany.

- Tak.

- Ja jestem doktor Jones. Mam dla pana niespodziankę - powiedział.

- Widziałem już pańską gazetę - odparłem.

- Nie, nie chodzi o gazetę. To większa niespodzianka.

W tym momencie ukazali się ojciec Keeley i Vice-Bundesfuehrer Krapptauer, zasapani, liczący drżącym szeptem do dwudziestu.

- Jeszcze większa? - spytałem, gotów dać mu taką nauczkę, żeby nigdy już nie przyszło mu do głowy uważać mnie za swojego sojusznika.

- Ta kobieta, którą przyprowadziłem...

- Co za kobieta? - przerwałem mu.

- To pańska żona - powiedział. - Skontaktowałem się z nią - mówił Jones - i błagała mnie, żebym panu o niej nie wspominał. Nalegała, żeby to się odbyło właśnie tak, chciała po

prostu przyjść bez uprzedzenia.

- Żebym mogła na własne oczy zobaczyć, czy w twoim życiu jest jeszcze miejsce dla mnie - powiedziała Helga. - Jeżeli nie, zwyczajnie powiem ci do widzenia, odejdę i nigdy więcej nie będę cię niepokoić.

15

Wehikuł czasu...

Jeżeli ta blada dłoń, bez pierścionków, na poręczy należała do Helgi, to musiała to być dłoń kobiety czterdziestopięcioletniej. Dłoń niemłodej kobiety, która spędziła szesnaście lat w niewoli u Rosjan.

Było nie do pomyślenia, żeby moja Helga mogła nadal być młoda i radosna.

Jeżeli Helga przeżyła rosyjski atak na Krym, uniknęła wszystkich pełzających, huczących, świszczących, buczących, czających się, skaczących, terkoczących zabawek wojny, które zabijają szybko, niewątpliwie czekała ją wolniejsza śmierć, która zabija jak trąd. Nie musiałem odgadywać rodzaju tej śmierci. Był dobrze znany, stosowany wobec wszystkich kobiet, które trafiały do niewoli na froncie rosyjskim. Był on częścią upiornej rutyny w całkowicie nowoczesnych, całkowicie naukowych, całkowicie aseksualnych państwach podczas tej całkowicie nowoczesnej wojny.

Jeżeli moja Helga przeżyła bitwę, zwycięzcy bez wątpienia zapędzili ją kolbami do obozu pracy. Bez wątpienia zmienili ją w jeden z tych niezliczonych patrzących spode łba, bezkształtnych, pozbawionych nadziei, zaharowanych strachów na wróble wypełniających matuszkę Rosję. Niewątpliwie kazali mojej Heldze kopać buraki albo kartofle na oszronionych polach, uprzętać powykręcanyimi palcami gruz albo ciągnąć rozklekotane wózki wraz z innymi bezimiennymi i bezpłciowymi istotami.

- Moja żona? - zwróciłem się do Jonesa. - Nie wierzę panu.

- Jeżeli kłamię, będzie mi to bardzo łatwo udowodnić - powiedział bez cienia gniewu.

- Niech pan się sam przekona.

Zszedłem po schodach pewnym, równym krokiem.

I zobaczyłem tę kobietę.

Uśmiechnęła się do mnie i podniosła głowę, żeby otwarcie i wyraźnie pokazać mi swoją twarz.

Włosy miała śnieżnobiałe.

Poza tym była moją Helgą nietkniętą przez czas.

Poza tym była smukła i piękna jak moja Helga w naszą noc poślubną.

16

Dobrze zachowana kobieta...

Płakaliśmy jak dzieci i w zapaśniczym uścisku wtoczyliśmy się po schodach na moje poddasze.

Kiedy mijaliśmy ojca Keeleya i Vice-Bundesfuhrera Krapptauera, zobaczyłem, że Keeley też płacze. Krapptauer stał na baczność, oddając honory idei anglosaskiej rodziny. Jones wyżej na schodach jaśniał radością z cuciu, który sprawił. Raz po raz zacierał swoje upierścienione dłonie.

- Moja... moja żona - powiedziałem do mojego starego przyjaciela Krafta, kiedy znaleźliśmy się z Helgą w moim mieszkaniu.

Kraft, usiłując powstrzymać łzy, przegryzł na pół ustnik swojej kukurydzianej fajki. Nie rozplakał się, ale był bardzo bliski płaczu... autentycznie, jak sędzę.

Jones, Krapptauer i Keeley weszli za nami.

- Jak to się dzieje - spytałem Jonesa - że to właśnie pan zwraca mi żonę?

- Fantastyczny zbieg okoliczności - wyjaśnił Jones. - *Któregoś dnia dowiedziałem się, że pan żyje, Miesiąc później dowiedziałem się, że żyje pańska żona. Czyż to nie palec boży?*

- Nie wiem - odpowiedziałem.

- Moja gazeta ma trochę czytelników w Niemczech Zachodnich - ciągnął Jones. - Jeden z prenumeratorów przeczytał o panu i przysłał mi telegram. Pytał mnie, czy wiem, że pańska żona znalazła się niedawno jako repatriantka w Berlinie Zachodnim.

- Dlaczego nie zatelegrafował do mnie? - spytałem i zwróciłem się do Helgi.

- Kochanie - powiedziałem po niemiecku - dlaczego ty nie zatelegrafowałaś do mnie?

- Nie widzieliśmy się tak długo... tak długo nie było mnie wśród żywych - odparła po angielsku. - Myślałam, że stworzyłeś sobie nowe życie, w którym nie ma miejsca dla mnie. Miałam nadzieję, że tak się stało.

- W moim życiu nie ma nic prócz miejsca dla ciebie - powiedziałem. - Nikt inny nie

mógł go zająć.

- Tyle mamy sobie do powiedzenia, tyle do opowiedzenia - szepnęła, przytulając się do mnie.

Przyjrzałem się jej ze zdziwieniem. Skórę miała gładką i delikatną. Była zdumiewająco dobrze zachowana jak na kobietę czterdziestopięcioletnią.

Stało się to jeszcze bardziej niezwykle, kiedy opowiedziała, jak spędziła ubiegłe piętnaście lat.

Na Krymie, jak powiedziała, wpadła w ręce Rosjan i została zgwałcona. Potem wysłano ją towarowym wagonem na Ukrainę i zapędzono do pracy.

- Byłyśmy ślaniającymi się na nogach łachmaniarkami - mówiła - nie wychodzącymi z błota. Kiedy wojna się skończyła, nikt się nie pofatygował, żeby nas o tym zawiadomić. Nasz los był przypieczętowany. Nigdzie nie byłyśmy zarejestrowane. Wędrowaliśmy bez celu przez zrujnowane wsie. Każdy, kto miał do wykonania bezmyślną pracę fizyczną, mógł na nas kiwnąć i musialiśmy to robić.

Odsunęła się ode mnie, aby móc wspierać swoją opowieść szerszymi gestami. Podeszedłem do frontowego okna, żeby słuchać i patrzeć przez zakurzone szyby na gałęzie drzewa, na którym nie było ani liści, ani ptaków.

W kurzu trzech szyb były narysowane palcem: swastyka, sierp i młot, i sztandar amerykański. Narysowałem te trzy symbole przed kilkoma tygodniami na zakończenie kłótni z Kraftem na temat patriotyzmu. Wzniosłem okrzyki na cześć każdego z tych symboli, demonstrując Kraftowi sens patriotyzmu dla nazisty, komunisty i Amerykanina.

- Hura! hura! hura! - zawołałem.

Helga dalej snuła swoją opowieść, tkając biografię na zwariowanych krosnach najnowszej historii. Po dwóch latach uciekła i dzień później została schwytana przez półdzikich Azjatów z pistoletami maszynowymi i psami policyjnymi.

Spędziła trzy lata w więzieniu, a potem wywieziono ją na Syberię, gdzie była tłumaczką i urzędniczką w wielkim obozie jeńców wojennych. Trzymają tam do dzisiaj osiem tysięcy esesmanów, mimo że wojna dawno się skończyła.

- Żyłam tam osiem lat, na szczęście znieczulona codzienną harówką - mówiła. - Prowadziliśmy znakomite rejestry wszystkich tych jeńców wojennych, wszystkich tych bezsensownych egzystencji za kolczastymi drutami. Ci esesmani, niegdyś tak młodzi, smukli i groźni, posiwiali, rozmiękli i wpadli w prostrację, mężowie bez żon, ojcowie bez dzieci, sklepikarze bez sklepów, rzemieślnicy bez rzemiosła.

Myśląc o ujarzmionych esesmanach, Helga zadawała sobie zagadkę Sfinksa: Jaka

istota chodzi rano na czterech nogach, w południe na dwóch, a wieczorem na trzech?”

- Człowiek - odpowiedziała sobie Helga ochryłym głosem.

Opowiedziała też o swojej, dość szczególnej, repatriacji. Odesłano ją nie do Berlina, ale do Drezna w Niemczech Wschodnich. Skierowano ją do pracy w fabryce papierosów, którą opisała z przygnębiającymi szczegółami.

Pewnego dnia uciekła do Berlina Wschodniego, a stamtąd przeszła do Berlina Zachodniego. Kilka dni później leciała już do mnie.

- Kto zapłacił za twój przelot? - spytałem.

- Ludzie, którzy pana podziwiają - powiedział Jones ciepło. - Proszę nie myśleć, że musi pan dziękować. To oni uważają, że mają wobec pana dług wdzięczności, którego nigdy nie będą w stanie spłacić.

- Za co? - spytałem.

- Za to, że miał pan odwagę mówić w czasie wojny prawdę, kiedy wszyscy kłamali.

17

August Krapptauer przenosi się do Valhali...

Vice-Bundesfuehrer z własnej inicjatywy zszedł na dół po tych wszystkich schodach, żeby przynieść bagaż Helgi z limuzyny Jonesa. Moje spotkanie z Helgą przypominało mu czasy młodości i rycerskości.

Nikt nie wiedział, co się święci, póki nie pojawił się ponownie w drzwiach z walizkami w obu rękach. Jones i Keeley oniemieli, wiedząc o stanie starego zdezelowanego serca Krapptauera.

Vice-Bundesfuehrer miał kolor soku pomidorowego.

- Ty wariacie - odezwał się Jones.

- Nie, nie, czuję się znakomicie - powiedział Krapptauer z uśmiechem.

- Dlaczego nie pozwoliłeś, żeby zrobił to Robert? - spytał Jones. Robert był jego kolorowym szoferem, który siedział w limuzynie na dole. Miał siedemdziesiąt trzy lata i był tym znanym Robertem Sterlingiem Wilsonem, byłym więźniem, japońskim agentem i Czarnym Fuehrerem Harlemu.

- Trzeba było powiedzieć Robertowi, żeby przyniósł te rzeczy. Na Boga, nie wolno ci tak narażać życia - mówił Jones.

- To dla mnie zaszczyt móc narazić życie dla żony człowieka, który służył Adolfowi Hitlerowi tak dobrze, jak Howard Campbell - powiedział Krapptauer.

I padł martwy.

Usiłowaliśmy go ocucić, ale był martwy jak kamień, nagle odrażająco stary z wykrzywionymi ustami.

Zbiegłem na pierwsze piętro, gdzie mieszkał doktor Abraham Epstein z matką. Doktor był w domu. Obchodził się z biednym Krapptauerem dość brutalnie, zmuszając go do zademonstrowania wobec nas, jak bardzo jest martwy.

Epstein był Żydem i myślałem, że Jones albo Keeley zrobią mi jakąś uwagę w związku z tym, jak uderzał i poszturchiwał Krapptauera, ale dwaj starzy faszyci byli po dziecięcemu pełni szacunku i posłuszni.

Jedyne, co Jones powiedział do Epsteina, kiedy ten oświadczył, że Krapptauer jest niewątpliwie nieboszczykiem, było:

- A ja jestem dentystą, panie doktorze.

- Rzeczywiście? - spytał Epstein. Nie okazał zainteresowania i poszedł do swojego mieszkania zadzwonić po karetkę. Jones przykrył Krapptauera moim kocem z demobilu.

- Właśnie kiedy życie zaczęło się znów do niego uśmiechać - powiedział o tej śmierci.

- W jaki sposób? - spytałem.

- Zaczynał znów formować małą organizację. Nic wielkiego, ale lojalną, pewną, oddaną.

- Jak to się nazywało? - spytałem.

- Żelazna Gwardia Białych Synów Amerykańskiej Konstytucji - powiedział Jones. - On miał prawdziwy talent do wykuwania z zupełnie przeciętnych młodych ludzi zdyscyplinowanej i zdecydowanej siły. - Potrząsnął głową ze smutkiem. - Znajdował taki odzew wśród młodzieży.

- Kochał młodzież i młodzież kochała jego - powiedział ojciec Keeley, który wciąż jeszcze płakał.

- To jest epitafium, które należałoby wyryć na jego grobie - rzekł Jones. - Pracował z młodzieżą w mojej piwnicy. Powinien pan zobaczyć, jak ją dla nich urządził... dla zwyczajnych chłopaków z bardzo różnych środowisk.

- Chłopców, o których normalnie nikt by się nie zatroszczył i mogliby wpaść w złe towarzystwo - dodał ojciec Keeley.

- Był jednym z pana najbardziej zagorzałych miłośników - powiedział do mnie Jones.

- Naprawdę?

- Nigdy nie opuścił audycji, kiedy pan przemawiał przez radio. A kiedy poszedł do więzienia, to od razu zaczął sobie budować odbiornik krótkofalowy, żeby móc pana słuchać. Codziennie z entuzjazmem komentował to, co pan powiedział uprzedniego wieczoru.

- Hm - odrzekłem.

- Był pan gwiazdą przewodnią, panie Campbell - powiedział Jones z uniesieniem. - Czy zdaje pan sobie sprawę, że był pan gwiazdą przewodnią w tamtych ponurych latach?

- Nie - odpowiedziałem.

- Krapptauer miał nadzieję, że zostanie pan oficerem wychowawczym Żelaznej

Gwardii.

- Ja jestem kapelanem - wtrącił Keeley.

- Kto... kto pokieruje teraz Żelazną Gwardią? - spytał Jones. - Kto wystąpi i podniesie upuszczoną pochodnię?

Rozległo się głośne, zdecydowane pukanie. Otworzyłem. Przed drzwiami stał kierowca Jonesa, pomarszczony stary Murzyn ze złością w żółtych oczach. Miał na sobie czarny uniform z białym szamerunkiem, wojskowy pas, niklowany gwizdek, czapkę Luftwaffe bez insygniów i czarne skórzane sztyblety.

Nie było nic z poczciwego Wuja Toma w tym bawelnianowłosym Murzynie. Wszedł krokiem nieco artretycznym, ale kciuki miał zatknięte za pas, brodę zadartą i nie zdjął czapki.

- Wszystko tutaj w porządku? - zwrócił się do Jonesa. - Długo was nie było.

- Niezupełnie - odpowiedział Jones. - August Krapptauer umarł.

Czarny Fuehrer Harlemu przyjął tę wiadomość spokojnie.

- Wszyscy umierają, wszyscy umierają - powiedział. - Kto przejmie pochodnię, kiedy wszyscy umrzemy?

- Właśnie zadałem sobie to samo pytanie - powiedział Jones. Przedstawił mnie Robertowi. Robert nie podał mi ręki.

- Słyszałem o panu - powiedział - ale nigdy pana nie słuchałem.

- Cóż - zauważyłem - nie można zadowolić wszystkich.

- Byliśmy po przeciwnych stronach - wyjaśnił Robert.

- Rozumiem - powiedziałem. Nic o nim nie wiedziałem, dla mnie mógł sobie być, po której stronie chciał.

- Ja byłem po stronie kolorowych - uściślił. - Byłem z Japończykami.

- Ach tak - mruknąłem.

- My potrzebowaliśmy was, a wy nas - powiedział, mając na myśli sojusz niemiecko-japoński w drugiej wojnie światowej. - Ale było dużo spraw, co do których nie mogliśmy się pogodzić.

- Chyba tak - powiedziałem.

- Pan podobno mówił, że kolorowi to nic dobrego?

- Dobrze, dobrze - spróbował go udobruchać Jones. - Co dobrego może wynikać ze sprzeczek między nami? Musimy trzymać się razem.

- Chcę mu tylko powiedzieć to, co mówię wam - powiedział Robert. - To samo, co powtarzam temu tu wielebnemu dżentelmenowi co rano i co powiem wam teraz. Przynoszę mu jego gorącą owsiankę i mówię mu: Ludy kolorowe powstaną w słusznym gniewie i

zapanują nad światem. Biali muszą w końcu przegrać!

- Dobrze już, dobrze - powiedział Jones cierpliwie.

- Kolorowi będą mieć własne bomby wodorowe - ciągnął Robert. - Pracują nad nimi już teraz. Wkrótce przyjdzie kolej na Japonię, żeby zrzucić swoją bombę. Reszta kolorowych ludów przyzna im zaszczyt pierwszeństwa.

- I na kogo oni zrzucą tę bombę? - spytałem.

- Najpewniej na Chiny.

- Na inny lud kolorowy? - zdziwiłem się.

Spojrzał na mnie z politowaniem.

- A kto panu powiedział, że Chińczycy to kolorowi? - zapytał.

18

Przepiękny błękitny wazon

Wenera Notha...

Wreszcie Helga i ja zostaliśmy sami.

Byliśmy onieśmieleni.

Jako człowiek niemłody, który tyle lat spędził w celibacie, byłem bardziej niż onieśmielony. Bałem się spróbować swoich sił w roli kochanka. Mój strach potęgowała jeszcze zadziwiająca ilość oznak młodości, jakie w magiczny sposób zachowała moja Helga.

- Oto... oto, *co* się nazywa poznawać się od nowa - powiedziałem. Rozmawialiśmy po niemiecku.

- Tak - zgodziła się. Podeszła do okna i zobaczyła patriotyczne godła, które wyrysowałem na brudnej szybie.

- Kim jesteś teraz, Howardzie? - spytała.

- Nie rozumiem - powiedziałem.

- Sierp i młot, swastyka i flaga amerykańska, co z tego podoba ci się najbardziej?

- Zapytaj mnie o muzykę - powiedziałem.

- Nie rozumiem.

- Zapytaj mnie, co z muzyki podoba mi się teraz najbardziej. Mam pewne poglądy na muzykę, natomiast zupełnie nie mam poglądów politycznych.

- Rozumiem - powiedziała. - Dobrze więc, co z muzyki podoba ci się teraz najbardziej?

- *Białe Boże Narodzenie* - powiedziałem. - W wykonaniu Binga Crosby'ego.

- Słucham? - spytała.

- To mój ulubiony utwór muzyczny - powiedziałem. - Podoba mi się tak bardzo, że mam go w dwudziestu sześciu egzemplarzach.

W jej oczach było pełne niezrozumienie.

- Naprawdę? - spytała.

- To... taki prywatny żart - powiedziałem niepewnie.

- Ach tak.

- Tak długo żyłem w samotności, że wszystko, co mówię, ma sens tylko dla mnie. Jestem zdziwiony, że ktoś w ogóle rozumie choć jedno moje słowo.

- Ja będę rozumieć - powiedziała z czułością. - Daj mi trochę czasu, niedużo, ale trochę, i będę znów rozumieć wszystko, co mówisz. - Wzruszyła ramionami. - Ja też mam swoje żarty, które tylko ja rozumiem.

- Od dzisiaj - powiedziałem - będziemy znów mieć żarty zrozumiałe dla nas dwojga.

- To będzie cudowne.

- Znów dwuosobowe państwo - powiedziałem.

- Tak. Powiedz mi...

- Wszystko, co zechcesz.

- Wiem, jak zginął ojciec, ale nie udało mi się dowiedzieć niczego o matce i Resi.

Słyszałeś coś o nich?

- Ani słowa.

- Kiedy widziałeś ich po raz ostatni? - spytała.

Sięgnąłem pamięcią wstecz i mogłem podać dokładną datę, kiedy po raz ostatni widziałem ojca i matkę Helgi oraz obdarzoną bujną wyobraźnią jej młodszą siostrę Resi.

- To było dwunastego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. - I opowiedziałem jej o tamtym dniu.

Tamten dzień był tak mroźny, że przemarzłem do szpiku kości. Ukradłem motocykl i pojechałem odwiedzić swoich teściów, rodzinę Wernera Notha, szefa berlińskiej policji.

Werner Noth mieszkał na przedmieściu Berlina, daleko poza strefą bombardowań. Mieszkał z żoną i córką w otoczonym murem białym domu, który swoją monolityczną, rzeczową okazałością przywołał na myśl rzymskie grobowce. W ciągu pięciu lat totalnej wojny nie pękła w nim ani jedna szyba. Jego wysokie, głęboko osadzone okna od południa wychodziły na otoczony murem sad. Okna od północy wychodziły na panoramę ruin Berlina.

Byłem w mundurze. Przy pasie miałem malutki pistolet i wielki ozdobny paradny kordzik. Zwykle nie chodziłem w mundurze, ale miałem do niego prawo... do granatowo-złotego munduru majora Ochotniczego Korpusu Amerykańskiego.

Ochotniczy Korpus Amerykański to był złoty sen nazistów, marzenie o jednostce bojowej złożonej z amerykańskich jeńców wojennych. Miała to być organizacja ochotnicza. Miała być używana wyłącznie na froncie rosyjskim. Miała być machiną bojową o wysokim

morale, kierowaną umiłowaniem cywilizacji zachodniej i strachem przed mongolskimi hordami.

Nazywając tę organizację złotym snem nazistów, daję, nawiasem mówiąc, dowód schizofrenii, ponieważ pomysł Ochotniczego Korpusu Amerykańskiego wyszedł ode mnie. To ja zaproponowałem powołanie go, zaprojektowałem dla niego mundury i insygnia, napisałem jego rotę.

Rota zaczynała się tak: „Ja, tak jak moi sławni amerykańscy przodkowie, wierzę w prawdziwą wolność”.

Ochotniczy Korpus Amerykański nie stał się jakimś oszałamiającym sukcesem. Wstąpiło do niego zaledwie trzech amerykańskich jeńców wojennych. Bóg jedyny wie, co się z nimi stało. Przypuszczam, że żaden z nich już nie żył, kiedy pojechałem odwiedzić swoich teściów, że byłem ostatnim żyjącym członkiem Korpusu.

W dniu tej mojej wizyty Rosjanie byli w odległości zaledwie dwudziestu mil od Berlina. Uznałem, że wojna jest prawie skończona, że czas kończyć moją szpiegowską karierę. Włożyłem swój mundur, żeby olśnić Niemców, którzy chcieliby mi uniemożliwić wydostanie się z Berlina. Na bagażniku mojego ukradzionego motocykla miałem paczkę z cywilnym ubraniem.

Moja wizyta u Nothów nie była żadnym posunięciem taktycznym. Naprawdę chciałem się z nimi pożegnać. Martwiłem się o nich, współczułem im... na swój sposób kochałem ich.

Żelazna brama wielkiego białego domu była otwarta. W bramie stał z rękami na biodrach sam Werner Noth. Obserwował pracę grupy polskich i rosyjskich niewolnic. Kobiety przenosiły kufry i meble z domu na trzy czekające konne platformy.

Woźnicami byli jacyś mali, złoci Mongołowie, zdobywczy z początków kampanii rosyjskiej.

Nadzorcą kobiet był gruby, starszy Holender w wyświechtanym garniturze.

Pilnował ich wysoki starzec z jednostrzałowym karabinem z czasów wojny francusko-pruskiej.

Na zapadłej piersi starego strażnika dyndał Krzyż Żelazny.

Jedna z niewolnic wyszła ciężkim krokiem z domu, niosąc piękny błękitny wazon. Miała na nogach drewniaki z zawiasami z pasków brezentu. Była bezimienną, bezpłciową łachmaniarką w nieokreślonym wieku. Oczy miała jak ostrygi, nos odmrożony w białe i wiśniowe plamy.

Sprawiała wrażenie, że w każdej chwili może upuścić ten wazon, że jest tak zamyślona, iż może nawet tego nie zauważyć.

Mój teść zobaczył to i skoczył jak oparzony. Wrzasnął na Pana Boga, żeby choć raz się nad nim zlitował, żeby choć raz coś miało sens, żeby mu pozwolił zobaczyć choć jedną energiczną i inteligentną istotę ludzką.

Wyrwał wazon z rąk osłupiałej kobiety. Bliski nieskrywanych łez zażądał od nas, żebyśmy zachwycili się przepięknym wazonem, który przez lenistwo i tępotę omal nie został stracony dla świata.

Wyświechtany Holender-nadzorca podbiegł teraz do kobiety i powtórzył jej słowo w słowo i krzyk w krzyk to, co przed chwilą powiedział mój teść. Staruszek strażnik też podszedł, żeby reprezentować siłę, która mogłaby zostać użyta przeciwko kobiecie w razie potrzeby.

W końcu spotkała ją dość dziwna kara. Nie uderzono jej.

Została pozbawiona zaszczytu noszenia rzeczy Notha.

Kazano jej stać z boku, podczas gdy innym kobietom nadal powierzano jego skarby. Jej kara polegała na tym, żeby zrobiło jej się głupio. Oto dano jej szansę uczestnictwa w kulturze, a ona to przegapiła.

- Przyjechałem się pożegnać - powiedziałem do Notha.

- Do widzenia - odparł.

- Jadę na front.

- Jest tam. - Wskazał na wschód. - Nie zmęczysz się. Możesz dojść pieszo w jeden dzień i jeszcze zrywać po drodze kwiatki.

- Jest mała szansa, że się jeszcze kiedyś zobaczymy.

- No to co? - zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

- No to nic.

- Właśnie - powiedział. - Nic i nic, i jeszcze raz nic.

- Czy mogę spytać, dokąd się przeprowadzacie?

- Ja tu zostaję - powiedział Noth. - Moja żona i córka jadą do mojego brata pod Kolonię.

- Czy mogę coś dla was zrobić? - spytałem.

- Tak. Możesz zastrzelić psa Resi. On nie zniesie przeprowadzki, a mnie on nie interesuje i nie potrafię zapewnić mu opieki i towarzystwa, do jakiego Resi go przyzwyczyła. Bądź tak dobry i zastrzel go.

- Gdzie on jest?

- Myślę, że znajdziesz go z Resi w saloniku. Ona wie, że ma być zastrzelony. Nie

będziesz miał z nią kłopotów.

- Dobrze - powiedziałem.
- Piękny mundur - zauważył.
- Dziękuję.
- Czy nie będę wścibski, jeżeli zapytam, co to za mundur? - spytał.

Widział go na mnie po raz pierwszy.

Wyjaśniłem mu, skąd ten mundur, i pokazałem rękojęć mojego kordzika. Na orzechowym drewnie był tam srebrny amerykański orzeł, który miał swastykę w prawej łapie i pożerał węża trzymanego w lewej. Wąż miał przedstawiać międzynarodową żydokomunę. Orzeł miał wokół głowy trzynaście gwiazd reprezentujących trzynaście pierwszych kolonii amerykańskich. Wykonałem oryginalny szkic tej odznaki osobiście, ale ponieważ nie mam wprawy w rysowaniu, zrobiłem sześcioramienne gwiazdy Dawida zamiast pięcioramiennych gwiazd USA. Grawer wielkodusznie poprawił mojego orła, ale sześcioramienne gwiazdy odtworzył wiernie.

To one przyciągały uwagę mojego teścia.

- To chyba ma wyobrażać trzynastu Żydów w rządzie Franklina Roosevelta - zauważył.
- To bardzo dowcipne - powiedziałem.
- Wszyscy uważają, że Niemcy są pozbawieni poczucia humoru.
- Niemcy są najbardziej niezrozumianym krajem na świecie.
- Ty jesteś jednym z niewielu cudzoziemców, którzy nas naprawdę rozumieją.
- Mam nadzieję, że jest to komplement zasłużony.
- To komplement, na który długo pracowałeś. Twoje małżeństwo z moją córką odczułem bardzo boleśnie. Chciałem mieć za zięcia niemieckiego żołnierza.
- Bardzo mi przykro.
- Była z tobą szczęśliwa.
- Mam nadzieję.
- Za to nienawidziłem cię jeszcze bardziej. Wojna to nie jest czas na szczęście rodzinne.
- Bardzo mi przykro.
- A ponieważ cię nienawidziłem - ciągnął - uważnie cię obserwowałem. Słuchałem każdego twojego słowa. Nie opuściłem ani jednej twojej audycji.
- Nie wiedziałem.
- Nikt nie wie wszystkiego. Czy wiesz, że prawie do obecnej chwili nic by mi nie

sprawiło większej przyjemności, jak zdemaskowanie cię jako szpiega i przyglądanie się twojej egzekucji?

- Nie - przyznałem.

- A czy wiesz, dlaczego teraz jest mi obojętne, czy byłeś szpiegiem czy nie? Mógłbyś mi teraz powiedzieć, że byłeś szpiegiem, i rozmawialibyśmy dalej spokojnie, jakby nigdy nic. Pozwoliłbym ci odejść tam, dokąd odchodzą szpiegdy po skończonej wojnie. A wiesz dlaczego?

- Nie wiem - powiedziałem.

- Bo niemożliwe, żebyś oddał wrogowi większe przysługi, niż oddałeś nam. Uświadomiłem sobie, że prawie wszystkie moje poglądy, dzięki którym nie wstydzę się niczego, co czułem lub robiłem jako nazista, zawdzięczam nie Hitlerowi, nie Goebbelsowi i nie Himmlerowi, ale tobie. - Wziął mnie za rękę. - Tylko ty powstrzymywałeś mnie przed myślą, że Niemcy oszalały.

Odwrócił się ode mnie gwałtownie i podszedł do kobiety z oczami jak ostrygi, która omal nie upuściła błękitnego wazonu. Stała pod ścianą tak, jak ją postawiono, obojętnie grając rolę ukaranej ofermi.

Werner Noth potrząsnął nią lekko, usiłując obudzić w niej choć atom inteligencji. Pokazał jej inną kobietę, która niosła obrzydliwą chińską figurę psa z dębowego drewna z taką troskliwością, jakby to było niemowlę.

- Widzisz? - Noth zwrócił się do ofermi. Nie chciał wcale znęcać się nad nią, starał się tylko zrobić z niej, mimo jej tępoty, lepszą, bardziej użyteczną istotę ludzką.

- Widzisz? - powtórzył szczerze, życzliwie, prosząco. - Tak trzeba się obchodzić z cennymi przedmiotami.

19

Mała Resi Noth...

Poszedłem do saloniku w pustoszejącym domu Wenera Notha i znalazłem tam Resi z psem.

Mała Resi miała wtedy dziesięć lat. Siedziała skulona w głębokim fotelu przy oknie. Miała widok nie na ruiny Berlina, ale na otoczony murem sad, na śnieżną koronkę, jaką tworzyły szczyty drzew.

W domu było zimno. Resi siedziała opatulona w płaszcz, szalik i grube wełniane pończochy. Obok niej stała walizeczka. Kiedy wozy będą gotowe do odjazdu, ona też będzie gotowa.

Rękawiczki Resi leżały schludnie na poręczy fotela. Zdjęła je, żeby móc głaskać psa siedzącego jej na kolanach. Był to jamnik, który na wojennej diecie stracił całą sierść i prawie nie mógł już chodzić na skutek puchliny wodnej.

Wyglądał jak jakiś wczesny płaz przystosowany do pełzania w błocie. Od pieczęt Resi jego oczy zachodziły mgłą rozkoszy. Każda cząstka jego świadomości obejmowała jak naparstki końce palców głaszczące jego skórę.

Nie znałem Resi zbyt dobrze. Zmroziła mnie kiedyś, jeszcze na początku wojny, kiedy sepleniąc, nazwała mnie amerykańskim szpiegiem. Od tego czasu starałem się spędzać jak najmniej czasu pod jej dziecinnym spojrzeniem. Kiedy wszedłem do saloniku, byłem zaskoczony, jak bardzo zaczęła być podobna do Helgi.

- Resi? - odezwałem się.

Nie spojrzała na mnie.

- Wiem - powiedziała. - Trzeba zabić psa.

- Nie mam na to wielkiej ochoty.

- Czy zrobisz to sam - spytała - czy każesz zrobić komuś innemu?

- Twój ojciec prosił, żebym ja to zrobił.

Odwróciła głowę w moją stronę.

- Jesteś teraz żołnierzem - powiedziała.

- Tak.

- Czy włożyłeś ten mundur tylko po to, żeby zabić psa?

- Idę na front - powiedziałem. - Wpadłem tylko, żeby się pożegnać.

- Na jaki front?

- Na rosyjski.

- Zginiesz.

- Tak mówią. Ale może nie.

- Wszyscy, którzy jeszcze żyją, niedługo będą zabici - powiedziała. Nie wyglądała na szczególnie przejętą.

- Nie wszyscy - powiedziałem.

- Ja tak.

- Mam nadzieję, że nie. Jestem pewien, że nic ci się nie stanie.

- To nie będzie bolało, kiedy mnie zabiją. Po prostu nagle mnie już nie będzie. -

Zepchnęła z kolan psa, który spadł na podłogę bezwładnie jak baleron.

- Zabierz go - powiedziała. - I tak go nigdy nie lubiłam, było mi go tylko żal.

Podniosłem psa z podłogi.

- Lepiej będzie dla niego, jak umrze - oznajmiła.

- Myślę, że masz rację - przyznałem.

- Dla mnie też będzie lepiej, jak umrę.

- W to nigdy nie uwierzę.

- Chcesz, żebym ci coś opowiedziała? - spytała.

- Mów.

- Ponieważ i tak wszyscy niedługo umrą, mogę ci powiedzieć, że cię kocham.

- To bardzo miło.

- Ale ja cię kocham tak prawdziwie. Kiedy Helga żyła i przychodziliście tu, byłam zazdrosna. A kiedy Helga zginęła, zaczęłam marzyć o tym, jak dorosnę i wyjdę za ciebie za mąż, i będę słynną aktorką, a ty będziesz pisał dla mnie sztuki.

- Czuję się zaszczycony - powiedziałem.

- Teraz to nie ma znaczenia. Nic już nie ma znaczenia. Idź teraz i zastrzel tego psa.

Ukloniłem się i wyszedłem z psem. Wyniosłem go do sadu, położyłem na śniegu i wyjąłem swój mały pistolet.

Przyglądały mi się trzy osoby. Pierwszą była Resi, która stała w oknie w saloniku.

Drugą był starszy żołnierz, którego obowiązkiem było pilnowanie Polek i Rosjanek.

Trzecią była moja teściowa Eva Noth, która stała w oknie na piętrze. Eva Noth, podobnie jak pies Resi, spuchła na wojennej diecie. Nieszczęsna kobieta, zmieniona przez niesprzyjające czasy w kielbasę, stała na baczność, uważając widocznie, że egzekucja psa ma w sobie coś z podniosłej ceremonii.

Strzeliłem psu w kark. Rozległ się odgłos cichy, tandetny, jak blaszane splunięcie wiatrówki.

Pies nawet nie drgnął.

Stary żołnierz podszedł, żeby zaspokoić zawodową ciekawość, jaką to ranę może spowodować tak mały pistolecik. Odwrócił nogą ciało i znalazł w śniegu pocisk, mrużąc coś z podziwem, jakbym zrobił rzecz interesującą i pouczającą. Zaczął opowiadać o najprzeróżniejszych ranach, jakie widział lub o jakich słyszał, o najprzeróżniejszych dziurach, jakie można zrobić w żywych istotach.

- Czy pan go zakopie? - spytał.

- Myślę, że trzeba będzie - odparłem.

- Bo jak nie - powiedział - to go zjedzą.

Kobiety wieszają kata Berlina...

Dowiedziałem się niedawno, w roku 1958 albo w 1959, jak umarł mój teść. Wiedziałem, że nie żyje. Agencja detektywistyczna, którą wynająłem, żeby dowiedziała się czegoś o Heldze, tyle mi powiedziała - że Werner Noth nie żyje.

Szczegóły o jego śmierci dotarły do mnie przypadkiem - u fryzjera w Greenwich Village. Przeglądałem czasopismo z rozebranymi dziewczynkami, podziwiając budowę kobiety i czekając swojej kolejki do strzyżenia. Okładka reklamowała artykuł pod tytułem: „Kobiety wieszają kata Berlina”. Nie miałem powodu, żeby przypuszczać, że artykuł dotyczy mojego teścia, bo nie trudnił się wieszaniem. Zajrzałem do artykułu.

Przez dłuższą chwilę przyglądałem się niewyraźnej fotografii Wenera Notha wieszanego na jabłoni, nie podejrzewając, kto jest tym wieszanym. Patrzyłem na twarze ludzi obecnych przy egzekucji. Były to przeważnie kobiety, bezimienne, bezkształtne łachmaniarki.

Zabawiałem się liczeniem, na ile sposobów okładka czasopisma kłamała. Po pierwsze, to nie kobiety wieszały. Robiło to trzech wynędzniałych i obdartych mężczyzn. Po drugie, kobiety na zdjęciu nie były ponętne w przeciwieństwie do kobiet katów na okładce. Kobiety na okładce miały piersi jak melony, biodra jak chomąta, a ich łachmany były kabaretowymi strzępami nocnej bielizny z najlepszego domu mody. Kobiety na fotografii były tak pociągające, jak dorsze zawinięte w stare sienniki.

I wtedy, zanim zacząłem czytać o egzekucji, błysnęło mi coś znajomego w zrujnowanym budynku w tle. Za katem, jak usta pełne połamanych zębów, wznosiło się to, co zostało z domu Wenera Notha, z domu, w którym pożegnałem dziesięcioletnią nihilistkę Resi.

Autorem był Ian Westlake i tekst był bardzo dobry. Westlake, świeżo uwolniony z obozu jenieckiego Anglik, oglądał egzekucję wkrótce po oswobodzeniu go przez Rosjan. On też wykonał zdjęcia.

Według jego relacji Noth został powieszony na własnej jabłoni przez zakwaterowanych w pobliżu cudzoziemskich robotników, głównie Polaków i Rosjan. Westlake nie nazywał swojego teścia „Katem Berlina”.

Westlake zadał sobie niemało trudu, żeby stwierdzić, na czym polegały zbrodnie Notha, i doszedł do wniosku, że nie był ani lepszy, ani gorszy niż szefowie policji innych wielkich miast.

Terror i tortury były domeną innych służb policji niemieckiej - pisał Westlake. - Domenę Wernera Notha stanowiło to, co w każdym wielkim mieście uważa się za utrzymywanie prawa i porządku. Kierowana przez niego organizacja była zaprzysiężonym wrogiem pijaków, złodziei, morderców, gwałcicieli, rabusiów, oszustów, prostytutek oraz innych burzycieli spokoju publicznego i robiła, co mogła, żeby utrzymać porządek w ruchu ulicznym.

Przestępstwo Notha - pisał Westlake - polegało na tym, że przekazywał osoby podejrzane o naruszenie prawa organom sądowym i penitencjarnym, które były zbrodnicze. Noth starał się odróżnić winnych i niewinnych przy zastosowaniu najnowocześniejszych metod policyjnych, ale ci, którym przekazywał aresztowanych, nie uważali, aby to rozróżnienie miało jakieś znaczenie. Sam fakt, że ktoś został aresztowany, stanowił dowód przestępstwa. Wszyscy więźniowie mieli być poniżani, głodzeni i likwidowani.

Westlake stwierdzał dalej, że przymusowi robotnicy, którzy powiesili Notha, nie mieli większego rozeznania, kim on jest, poza tym, że jest to jakaś figura. Powiesili go dla satysfakcji powieszenia kogoś ważnego.

Dom Notha został według Westlake'a zniszczony przez rosyjską artylerię i Noth mieszkał w jedynym nie zniszczonym pokoju od tyłu. Westlake opisał zawartość pokoju i stwierdził, że znajdowało się w nim łóżko, stół i lichterz. Na stole stały w ramach fotografie Helgi, Resi i żony Notha.

Była i książka - niemiecki przekład *Rozmyślań* Marka Aureliusza.

Dlaczego tak nędzne piśmiennictwo zakupiło tak dobry reportaż, nie wiadomo. Niewątpliwie redakcja liczyła na to, że czytelnikom spodoba się sam opis egzekucji.

Mój teść został ustawiony na stołeczku wysokości czterech cali. Założono mu na szyję sznur, który następnie przywiązano do gałęzi kwitnącej jabłoni. Potem wytrącono mu stołek spod nóg. Dusił się, dotykając ziemi czubkami palców jak tancerz.

Dobre?

Osiem razy go ocucono, powieszono go dziewięć razy.

Dopiero za ósmym razem opuściły go resztki odwagi i godności. Dopiero przy ósmym powieszeniu zachował się jak torturowane dziecko.

W nagrodę - pisał Westlake - otrzymał to, czego pragnął najbardziej na świecie. Otrzymał śmierć. Umarł z erekcją i boso.

Odwróciłem stronę czasopisma, żeby zobaczyć, czy jest tam coś więcej. Było coś, ale nie na ten temat. Dalej była całostronicowa fotografia pięknej kobiety z rozłożonymi nogami i wysuniętym językiem.

W tym momencie zawołał mnie fryzjer. Strząsnął włosy mojego poprzednika z prześcieradła, które miał mi zawiązać pod szyją.

- Następny - powiedział.

21

Mój najlepszy przyjaciel...

Napisałem, że ukradłem motocykl, którym przyjechałem po raz ostatni do Wenera Notha. Winien jestem wyjaśnienie.

Właściwie nie ukradłem go, tylko pożyczyłem na wieczność od Heinza Schildknechta, mojego deblowego partnera od ping-ponga, mojego najlepszego przyjaciela w Niemczech.

Popijaliśmy często i gadaliśmy nieraz do późnej nocy, zwłaszcza po tym, jak obaj straciliśmy żony.

- Czuję, że mogę ci powiedzieć wszystko, absolutnie wszystko - mówił mi pewnej nocy pod koniec wojny.

- Ja tak samo, Heinz - odpowiedziałem.

- Wszystko, co moje, jest i twoje.

- I wszystko, co moje, jest twoje, Heinz.

Prawdę mówiąc, nasz wspólny majątek był niewielki. Żaden z nas nie miał domu. Nasze nieruchomości wraz z meblami zostały rozwalone w drobny mak. Ja miałem zegarek, maszynę do pisania i rower, i to było właściwie wszystko. Heinz już dawno przehandlował swój zegarek, maszynę do pisania i nawet obrączkę ślubną za papierosy. Jedyne, co mu pozostało na tym padole leż poza moją przyjaźnią i ubraniami na grzbiecie, to motocykl.

- Gdyby coś się stało z motocyklem - powiedział - jestem nędzarzem. - Rozejrzył się, czy nikt nie podsłuchuje. - Powiem ci coś strasznego - szepnął.

- Jeżeli nie chcesz, to nie musisz.

- Chcę. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę mówić straszne rzeczy. I powiem ci coś naprawdę okropnego.

Miejscem, w którym popijaliśmy i gadaliśmy, był bunkier obok domu noclegowego, gdzie obaj sypialiśmy. Został świeżo zbudowany dla obrony Berlina. Budowali go niewolnicy. Nie było w nim jeszcze załogi ani broni. Rosjanie nie podeszli jeszcze tak blisko.

Heinz i ja siedzieliśmy tam z butelką przy świecy i Heinz zdradził mi swoją straszną tajemnicę. Był pijany.

- Howardzie - powiedział - kocham mój motocykl bardziej, niż kochałem żonę.

- Chcę być twoim przyjacielem, Heinz, i chcę wierzyć w każde twoje słowo, ale w to nie mogę uwierzyć. Zapomnijmy o tym, co mi powiedziałeś, bo to nieprawda.

- Nie - odparł - to jest jeden z tych momentów, tych rzadkich momentów, kiedy się rzeczywiście mówi prawdę. Ludzie prawie nigdy nie mówią prawdy, ale ja teraz mówię prawdę. Jeżeli jesteś przyjacielem, za jakiego cię uważam, zrobisz ten zaszczyt swojemu przyjacielowi, za jakiego się uważam, i uwierzysz mu, kiedy mówi prawdę.

- Zgoda - powiedziałem.

Łzy pociekły mu po policzkach.

- Sprzedałem jej biżuterię, jej ulubione meble, raz nawet jej kartkę na mięso - wszystko na papierosy dla mnie.

- Wszyscy robiliśmy rzeczy, których się wstydzimy - pocieszyłem go.

- Nie rzuciłbym dla niej palenia.

- Wszyscy mamy jakieś nałogi.

- Kiedy bomba trafiła w nasze mieszkanie, zabiła ją i został mi tylko motocykl; na czarnym rynku oferowano mi za niego cztery tysiące papierosów.

- Wiem - powiedziałem. Opowiadał mi tę historię za każdym razem, kiedy się upił.

- I natychmiast rzuciłem palenie, bo tak kocham ten motocykl.

- Wszyscy coś kochamy.

- Nie to, co trzeba - powiedział. - I zaczynamy to kochać za późno. Powiem ci o jedynej rzeczy, w którą wierzę naprawdę, ze wszystkich rzeczy, w które można wierzyć.

- Wal - powiedziałem.

- Wszyscy ludzie to wariaci. W każdej chwili mogą zrobić wszystko i niech Bóg ma w swojej opiece tego, kto by się zastanawia) nad przyczynami ich postępowania.

Co do żony Heinza, to znałem ją bardzo mało, choć widywałem ją dość często. Trudno było ją poznać, bo bez przerwy mówiła i zawsze na ten sam temat: o ludziach, którzy osiągnęli sukcesy, którzy dostrzegali okazję i umieli ją wykorzystać, o ludziach, którzy w odróżnieniu od jej męża mieli stanowiska i pieniądze.

- Młody Kurt Ehrens - mówiła na przykład - ma zaledwie dwadzieścia sześć lat i jest pułkownikiem SS! A jego brat Heinrich, nie może mieć więcej niż trzydzieści cztery lata, ma pod sobą osiemnaście tysięcy zagranicznych robotników, którzy budują zapory przeciwczołgowe. Mówiła, że Heinrich jest największym na świecie ekspertem od zapór

przeciwczołgowych, a ona z nim kiedyś chodziła na tańce.

I tak bez przerwy, podczas gdy biedny Heinz gdzieś w tle palił papierosa za papierosem. Skutek tego był taki, że stałem się głuchy na wszelkie opowieści o karierach. Ci, którzy w jej oczach robili karierę, byli nagradzani jako specjaliści od niewolnictwa, zniszczenia i śmierci. Nie uważam, żeby ludzie pracujący w tych dziedzinach mogli mówić o sukcesie.

Kiedy wojna zbliżała się do końca, nie mogliśmy już z Heinzem popijać w naszym bunkrze. Ustawiono w nim osiemdziesiątkę ósemkę, której obsługę stanowili piętnasto - i szesnastoletni chłopcy. To była dopiero opowieść o karierze dla zmarłej żony Heinza - tacy młodzi chłopcy, a już w dorosłych mundurach i z własną, w pełni uzbrojoną betonową trumną.

Tak więc Heinz i ja musieliśmy popijać i gadać w naszej sypialni, czyli dawnej ujeżdżalni pełnej pozbawionych dachu nad głową urzędników państwowych, śpiących na słomianych siennikach. Ukrywaliśmy naszą butelkę, nie chcąc jej z nikim dzielić.

- Heinz - powiedziałem do niego pewnego wieczoru - zastanawiam się, jak dobrym przyjacielem jesteś naprawdę.

Poczuł się dotknięty.

- Skąd to pytanie? - zapytał.

- Mam do ciebie prośbę, ogromną prośbę, i nie wiem, czy mam ci o tym powiedzieć.

- Żądam, żebyś powiedział!

- Pożycz mi motocykl, żebym mógł odwiedzić teściów.

Nie wahał się, nie kręcił.

- Bierz - powiedział.

I rano wziąłem jego motocykl.

Wyruszyliśmy razem. Heinz na moim rowerze, ja na jego motocyklu.

Kopnąłem starter, włączyłem bieg i zostawiłem mojego najlepszego przyjaciela, uśmiechniętego, w obłoku błękitnych gazów z rury wydechowej.

I popędziłem - wruum, ka-pou, ka-pou, waaaaruuuuum!

I Heinz nigdy już nie zobaczył swojego motocykla ani swego najlepszego przyjaciela.

Zapytałem Instytut Dokumentacji Zbrodni Wojennych w Hajfie, czy mają jakieś wiadomości na temat Heinza, mimo że nie był on żadnym ważnym zbrodniarzem wojennym. Instytut uradował mnie wiadomością, że Heinz mieszka obecnie w Irlandii, gdzie jest nadleśniczym u barona Ulricha Werthera von Schwefelbad. Von Schwefelbad kupił wielką posiadłość w Irlandii po wojnie.

Instytut poinformował mnie też, że Heinz jest ekspertem od śmierci Hitlera, gdyż zabłąkał się do bunkra Hitlera, kiedy jego oblane benzyną zwłoki płonęły, ale były jeszcze rozpoznawalne.

Cześć, Heinz, jeżeli czytasz gdzieś tam te moje słowa.

Naprawdę bardzo cię lubiłem, najbardziej, jak w ogóle potrafię kogoś lubić.

Ucałuj ode mnie Kamień Blarney.

Co robiłeś w tym bunkrze Hitlera, szukałeś swojego motocykla i swojego najlepszego przyjaciela?

Zawartość starego kufra...

- Popatrz - powiedziałem do mojej Helgi w Greenwich Village po tym, kiedy już podzieliłem się z nią moimi skąpymi wiadomościami o jej matce, ojcu i siostrze - ten strych nie nadaje się na gniazdko miłości, nawet na jedną noc. Weźmiemy taksówkę i pojedziemy do jakiegoś hotelu. A jutro wyrzucimy całe to umeblowanie i kupimy wszystko nowe. I zaczniemy rozglądać się za jakimś naprawdę ładnym mieszkaniem.

- Mnie jest bardzo dobrze i tutaj - powiedziała.

- Jutro znajdziemy takie łóżko jak nasze stare - dwie mile długości i trzy szerokości, z wezłowiek jak włoski zachód słońca. Pamiętasz, o Boże! Pamiętasz je?

- Tak - powiedziała.

- Dzisiaj w hotelu, a jutro w takim łóżku.

- Czy zaraz wyjeżdżamy? - spytała.

- Jak sobie życzysz.

- Czy mogę ci pokazać przedtem moje prezenty?

- Jakie prezenty?

- Dla ciebie.

- Ty jesteś moim prezentem - stwierdziłem. - Czego więcej mógłbym chcieć?

- Może one też ci się spodobają - powiedziała, zwalniając zamki walizki. - Mam nadzieję, że tak. - Otworzyła walizkę i pokazała mi, że jest pełna rękopisów. Jej prezentem dla mnie były moje dzieła zebrane, moje zebrane poważne dzieła, prawie każde z serca płynące słowo, które wyszło spod pióra świętej pamięci Howarda W. Campbella, jr. Były tam wiersze, opowiadania, sztuki, listy i jedna nie opublikowana książka - moje własne dzieła stworzone przeze mnie samego jako pełnego życia, wolnego i przede wszystkim młodego człowieka.

- Jakie to dziwne uczucie - oznajmiłem.

- Czy lepiej, żebym tego nie przywoziła? - spytała.

- Sam nie wiem. Te kawałki papieru to byłem kiedyś ja. - Wziąłem do ręki maszynopis książki, dziwaczny eksperyment zatytułowany *Pamiętnik monogamicznego Casanovy*. - To powinnaś była spalić - powiedziałem.

- Prędzej bym spaliła własną prawą rękę.

Odłożyłem książkę i wyciągnąłem plik wierszy.

- I cóż ten młody nieznajomy ma do powiedzenia na temat życia? - spytałem i przeczytałem na głos wiersz w języku niemieckim:

*Kuhl und hell der Sonnenaufgang,
leis und suss der Glocke Klang.
Ein Magdlein hold, Krug in der Hand,
sitzt an des tiefen Brunnens Rand.*

W przekładzie? Z grubsza tak:

*Chłodno, jasno - wschodzi słońce,
Cicho, słodko - dzwoni dzwon.
Dziewczę w dłoni trzyma dzban,
Patrzy w studni chłodną toń.*

Potem przeczytałem na głos następny wiersz. Byłem i jestem bardzo kiepskim poetą. Nie układałem tych wierszy po to, żeby wzbudzić zachwyty. Drugi wiersz, jaki przeczytałem, był, jak mi się wydaje, moim przedostatnim wierszem. Pochodził z roku 1937 i miał tytuł *Gedanken uber unseren Abstand vom Zeitgeschehen*, czyli mniej więcej *O nieuczestniczeniu w wydarzeniach współczesnych*.

Brzmiał on tak:

*Eine machtige Dampfwalze naht
und schwartz der Sonne P/ad,
rollt uber geduckte Menschen dahin,
will keiner ihr entfliehn.
Mein Lieb und ich schaun starren Blickes
das Ratsel dieses Blutgeschickes.*

*„Kommt mit herab”, die Menschheit schreit,
„die Walze ist die Geschichte der Zeit!”
Mein Lieb und ich gehn auf die Flucht,
wo keine Dampfwalze uns sucht,
und leben auf den Bergeshohen,
getrennt vom schwarzen Zeitgeschehen.
Sollen wir bleiben mit den andern zu sterben?
Doch nein, wir zwei wollen nicht verderben!
Nun is's vorbei!- Wir sehn mit Erbleichen
die Opfer der Walze, verfaulte Leichen.*

W przekładzie:

*Wielki walec drogowy z żelaza i stali
Zaćmił słońce i widać go było z daleka.
Ludzie przed nim na twarz padali, padali,
Nikt z tych, którzy padali, nie myślał uciekać.
Stałem z moją dziewczyną; w milczącym zdumieniu
Patrzyliśmy, jak dzieje się krwawe misterium.
„Padnij!- wołali ludzie. - Padajcie na ziemię!
Kolos, który nadciąga, to Machina Dziejów!”
Zbiegłem z moją dziewczyną daleko, daleko,
Walec nas nie dopędził, nie zmiażdżył trybami.
Zbiegliśmy na szczyt góry, gdzie już tylko niebo.
Lęk, ludzie i historia zostały za nami.
A może trzeba było pozostać i zginąć?
Może - lecz nam się jeszcze umierać nie chciało.
Poszliśmy tam, gdzie Walec Historii nas minął:
Żniwo Historii - Boże! jak ono śmierdziało!*

- Jak to się stało - zwróciłem się do Helgi - że masz to wszystko?

- Kiedy przyjechałam do Berlina Zachodniego, poszłam do teatru, żeby zobaczyć, czy teatr stoi, czy został tam ktoś ze znajomych, czy ktoś wie coś o tobie. - Nie musiała wyjaśniać, o jaki teatr chodzi. Mówiła o małym teatrze, który wystawiał moje sztuki w

Berlinie, gdzie Helga tak często grywała główne role.

- Wiem, że przetrwał przez większość wojny - powiedziałem. - Czy istnieje nadal?

- Istnieje. Kiedy spytałam o ciebie, nie umieli nic powiedzieć. A kiedy im opowiedziałam, kim byłeś kiedyś dla tego teatru, ktoś przypomniał sobie, że w magazynie jest kufer z twoim nazwiskiem.

- I w środku było to. - Przesunąłem rękę nad papierami. Przypomniałem sobie teraz ten kufer, przypomniałem sobie, jak go zamykałem na początku wojny, przypomniałem sobie, że pomyślałem o tym kufurze jako o trumnie dla młodego człowieka, którego żegnam na zawsze.

- Czy masz kopie tych rzeczy? - spytała.

- Nie. Ani słowa.

- Nie piszesz już?

- Nie ma nic takiego, co chciałbym ludziom powiedzieć.

- Po tym wszystkim, co widziałeś i przez co przeszedłeś? - spytała.

- Właśnie to wszystko, co widziałem i przez co przeszedłem, sprawia, że napisanie czegokolwiek jest dla mnie niemożliwe. Zatraciłem zdolność do logicznych wypowiedzi. Bełkocę do cywilizowanego świata, a on odpowiada mi tym samym.

- Był jeszcze jeden wiersz, twój ostatni. Zapisany ołówkiem do brwi na wewnętrznej stronie wieka.

- Naprawdę?

Wyrecytowała mi ten wiersz:

*Hier liegt Howard Campbells Geist geborgen,
frei von des Körpers qudlenden Sorgen.
Sein leerer Leib durchstreift die Welt,
und kargen Lohn dafür erhdl.
Triffst du die beiden getrennt allerwdrts
verbrenn den Leib, doch schbone dies, sein Herz.*

A w tłumaczeniu?

*Tu spoczywa dusza Howarda Campbella
Wolna od cielesnych smutków i wesela.
Ciało jego puste po świecie się szwenda,*

*Marnie mu się wiedzie, ciężka to włóczega.
Gdy to ciało lub duszę spotkasz w poniewierce,
Ciało spal, lecz tego nie pal - bo to jego serce.*

Rozległo się pukanie do drzwi.

Pukał George Kraft i wpuściłem go.

Był roztrzęsiony, gdyż zginęła mu jego fajka z kukurydzianej kolby. Po raz pierwszy widziałem go bez fajki i po raz pierwszy przekonałem się, jak bardzo jego równowaga uzależniona jest od tej fajki. Był tak zdenerwowany, że głos mu się łamał.

- Ktoś ją ukradł albo strącił za jakiś mebel, albo... nie mam pojęcia, po co ktoś ją ruszał? - Spodziewał się, że Helga i ja podzielimy jego zdenerwowanie, że też uznamy zniknięcie fajki za najważniejsze wydarzenie dnia.

Był nieznośny.

- Po co komu była moja fajka? - zawodził. - Co komu z niej przyjdzie? - Składał i rozkładał ręce, mrugał, pociągał nosem, zachowując się jak narkoman w stanie głodu narkotycznego, mimo że nigdy niczego nie palił w tej zaginionej fajce. - Powiedzcie mi tylko - powtarzał - po co komu była moja fajka?

- Nie wiem, George - odparłem, tracąc cierpliwość.

Jak ją znajdziemy, to damy ci znać.

- Czy mógłbym jej sam poszukać? - spytał.

- Proszę bardzo.

I przewrócił mieszkanie do góry nogami, brzęcząc garnkami i patelniami, trzaskając drzwiczkami od kredensu, grzebiąc hałaśliwie pogrzebaczem pod kaloryferami.

Skutkiem tej jego działalności było zbliżenie między Helgą a mną, stopienie lodów, które w innej sytuacji zajęłoby znacznie więcej czasu.

Staliśmy obok siebie, buntując się przeciwko inwazji na nasze dwuosobowe państwo.

- To nie była jakaś szczególnie cenna fajka, prawda? - spytałem.

- Dla mnie była - odpowiedział George.

- Kup sobie nową - poradziłem.

- Ja chcę tamtą - powiedział. - Jestem do niej przyzwyczajony i to ma być ta fajka. -

Otworzył pudło na chleb i zajrzał do środka.

- Może zabrali ją sanitariusze? - spytałem.

- Po co mieliby to robić?

- Może myśleli, że to była fajka zmarłego - powiedziałem. - Może włożyli mu ją do

kieszeni.

- To niemożliwe! - krzyknął Kraft i wybiegł z pokoju.

Rozdział sześćset czterdziesty i trzeci...

Jedną z rzeczy, które Helga miała w swojej walizce, była, jak już wspomniałem, moja książka. W rękopisie, bo nigdy nie miałem zamiaru jej publikować. Uważałem, że nie ma szans na publikację, chyba jako pornografia.

Nazywało się to *Pamiętnik monogamicznego Casanovy*. Opowiadałem w niej o moich podbojach tych setek kobiet, jakimi była moja żona, moja Helga. Było to niezdrowe, obsesyjne, niektórzy powiedzieliby, szalone. Był to dziennik, zapis dzień po dniu przez pierwsze dwa lata wojny naszego życia erotycznego z wyłączeniem wszystkiego innego. Nie ma w nim ani jednego słowa wskazującego na stulecie albo kontynent, na którym powstał. Jest mężczyzna w wielu nastrojach i kobieta w wielu nastrojach. W niektórych wczesnych zapisach pojawiają się szkicowo dekoracje. Dalej nie ma nawet dekoracji.

Helga wiedziała, że prowadzę ten szczególny dziennik. Był to dla mnie jeden ze sposobów na utrzymanie ostrości naszych doznań seksualnych. Ta książka była nie tylko sprawozdaniem z pewnego eksperymentu, lecz sama stanowiła część eksperymentu, świadomego eksperymentu mężczyzny i kobiety, którzy chcieli przedłużyć w nieskończoność wzajemną fascynację seksualną...

Więcej.

Być dla siebie nawzajem wystarczającym powodem do życia, choćby życie poza tym nie dawało im żadnej satysfakcji. Dobrze to, jak sędzę, ujmuje motto książki. Jest to wiersz Williama Blake'a zatytułowany *Odpowiedź na pytanie*.

Co mężczyzna w kobiecie najwyżej ocenia?

Obietnicę Spełnienia.

Co w mężczyźnie kobieta najwyżej ocenia?

Obietnicę Spełnienia.

Mógłbym tutaj skorzystać z okazji i dodać do *Pamiętnika* ostatni, 643 rozdział z opisem nocy, którą spędziliśmy z Helga, w nowojorskim hotelu po tyloletnim rozstaniu.

Pozostawiam smakowi i poczuciu taktu redaktora zastąpienie niewinnymi kropkami wszystkiego, co mogłoby razić czytelnika.

Pamiętnik monogamicznego Casanowy. Rozdział 643.

Byliśmy rozdzieleni przez szesnaście lat. Moje pożądanie tej nocy skupiło się początkowo w czubkach palców. Inne części mojego ciała... które zostały zaspokojone później, zostały zaspokojone w sposób rytualny, całkowicie... do klinicznej wprost perfekcji. Żadna część nie mogła się uskarżać i żadna część ciała mojej żony nie mogła się, jak sądzę, uskarżać na lekceważenie albo nieuważne czy pośpieszne potraktowanie. Ale czubki palców miały tej nocy pierwszeństwo...

Co wcale nie znaczy, że okazałem się... starym człowiekiem, który musi polegać, jeżeli chodzi o zaspokojenie kobiety, wyłącznie na grze wstępnej. Wprost przeciwnie, wykazywałem... gotowość godną siedemnastolatka z... pierwszą dziewczyną.

I taki też zachwyty.

I to właśnie w palcach skupił się ten zachwyty. Chłodne, niestrudzone, przemyślne, jak... badacze... zwiadowcy... harcownicy poruszały się po swoim... placu boju.

I wszystkie wieści, jakie od nich docierały, były pomyślne.

Moja żona była tej nocy... niewolnicą w łóżku... cesarza, jakby oniemiała z wrażenia, jakby nie znającą ani słowa z jego języka. A jednak jakże była wymowna, pozwalając swoim oczom, swojemu oddechowi... wyrażać to, co musiały, nie mogąc ich powstrzymać od wyrażania tego, co wyrażać musiały...

I jakże prosta, jak cudownie znajoma była ta opowieść opowiadana przez jej ciało!... Jak opowieść wiatru o tym, czym jest wiatr, jak opowieść róży o tym, czym jest róża...

Po moich delikatnych, mądrych i wdzięcznych palcach przyszły bardziej pożądliwe instrumenty rozkoszy pozbawione pamięci manier, cierpliwości. Te moja niewolnica przywitała z równą pożądliwością... aż sama Matka Przyroda, która żądała od nas najdziwaczniejszych rzeczy, nie mogła już żądać niczego więcej. Sama Matka Przyroda... ogłosiła koniec zabawy...

Rozwarły się nasze objęcia...

Po raz pierwszy od chwili, kiedy znaleźliśmy się w łóżku, przemówiliśmy do siebie w sposób artykułowany.

- Dzień dobry - powiedziała ona.

- Dzień dobry - odpowiedziałem.

- Witaj w domu - powiedziała ona.

Koniec rozdziału 643.

Rankiem następnego dnia niebo nad miastem było czyste, twarde i jasne, jak zaczarowana kopuła, która może rozprysnąć się od jednego puknięcia niby ogromny szklany klosz.

Moja Helga i ja wyszliśmy z hotelu na ulicę w pełnej gali. Ja byłem szczodry w swojej kurtuazji, Helga była nie mniej hojna w okazywaniu wdzięczności i szacunku. Spędziliśmy cudowną noc.

Nie miałem na sobie ubrania z demobilu. Byłem w ubraniu, które włożyłem po ucieczce z Berlina, po zrzuceniu z siebie munduru Ochotniczego Korpusu Amerykańskiego. Miałem na sobie płaszcz z futrzanym kołnierzem i granatowy garnitur, w którym zostałem wzięty do niewoli. Miałem również, dla fantazji, laskę. Wyrabiałem cuda z tą laską: jakąś rokokową musztrę z bronią, Chaplinowskie młynki, golfowe strzały odpadkami z rynsztoka.

I przez cały czas drobna dłoń Helgi spoczywała na moim lewym ramieniu, pełzając w nieustannej erotycznej eksploracji strefy między wewnętrzną stroną łokcia a szczytem mojego żyłastego bicepsu.

Wyszliśmy, żeby kupić łóżko, takie jak nasze łóżko w Berlinie.

Ale wszystkie sklepy były zamknięte. Nie była to niedziela i nie przychodziło mi do głowy żadne święto. Kiedy doszliśmy do Piątej Alei, wszędzie jak okiem sięgnąć powiewały amerykańskie sztandary.

- Wielki Boże! - powiedziałem z podziwem.

- Co to znaczy? - spytała Helga.

- Może tej nocy wybuchła wojna.

Zacisnęła kurczowo palce na moim ramieniu.

- Chyba nie mówisz poważnie? - odparła. Uważała, że to możliwe.

- Żartowałem. Widocznie jakieś święto.

- Jakie święto?

Nadal nic nie przychodziło mi do głowy.

- Jako twój przewodnik po tym wspaniałym kraju powinienem wyjaśnić ci głębokie

znaczenie tego dnia w życiu naszego narodu, ale nic mi nie przychodzi do głowy.

- Nic? - spytała.

- Wiem dokładnie tyle, co ty. Równie dobrze mógłbym być jakimś księciem z Kambodży.

Czarny człowiek w liberii zmiatał chodnik przed hotelem. Jego granatowo-złoty strój zadziwiająco przypominał mundur Ochotniczego Korpusu Amerykańskiego, aż do takiego szczegółu, jak jasnowłocisty lampas na spodniach. Na piersi miał wyszytą nazwę hotelu. To miejsce nazywało się „Sylwan”, chociaż w pobliżu było tylko jedno młode drzewko, obandażowane i odrutowane.

Spytałem tego człowieka, co to za dzień.

Powiedział mi, że jest Dzień Weterana.

- A którego dziś mamy? - spytałem.

- Jedenastego listopada, proszę pana.

- Jedenasty listopada to Dzień Zawieszenia Broni, a nie Dzień Weterana - powiedziałem.

- Gdzie pan się podziewał? Zmienili to już wiele lat temu.

- Dzień Weterana - powiedziałem do Helgi, kiedy ruszyliśmy dalej. - Był Dzień Zawieszenia Broni, a teraz jest Dzień Weterana.

- Czy to cię denerwuje? - spytała.

- Bo to takie cholernie tandetne, cholernie typowe. To był dzień tych, którzy zginęli w pierwszej wojnie światowej, ale żywi nie potrafili utrzymać swoich brudnych łap z daleka, zachciało im się chwały zmarłych dla siebie. Takie typowe, takie typowe. Jak tylko pojawi się w tym kraju coś autentycznie godnego, rozrywa się to na strzępy i rzuca tłumowi.

- Ty nienawidzisz Ameryki, prawda? - spytała.

- Byłoby to tak samo głupie, jak kochać ją - powiedziałem. - Nie jestem w stanie zdobyć się na stosunek emocjonalny do niej, bo nie interesują mnie nieruchomości. Jest to niewątpliwie moje kalectwo, ale nie potrafię myśleć w kategoriach granic. Te fikcyjne linie są dla mnie równie nierzeczywiste jak elfy i krasnoludki. Nie mogę uwierzyć, że oznaczają koniec lub początek czegoś, co ma rzeczywiste znaczenie dla duszy człowieka. Cnota i występki, rozkosz i cierpienie przekraczają granice, kiedy chcą.

- Bardzo się zmieniłeś.

- Ludzie powinni się zmieniać po wojnach światowych. Inaczej po co by były wojny światowe?

- Może zmieniłeś się tak bardzo, że już mnie nie kochasz - powiedziała. - Może ja się

tak zmieniałam...

- Jak możesz mówić coś takiego po takiej nocy jak ta?

- Właściwie nic sobie nie powiedzieliśmy...

- O czym tu rozmawiać? - odparłem pytaniem. - Nie możesz powiedzieć mi nic takiego, żebym cię zaczął kochać mniej albo więcej. Nasza miłość jest tak głęboka, że słowa nie mogą jej dotknąć. To miłość dusz.

Westchnęła.

- Jakie to piękne... jeżeli prawdziwe. - Zbliżyła dłoń do dłoni tak, że prawie się dotykały. - Nasze zakochane dusze.

- Miłość, która przetrzyma wszystko.

- Czy twoja dusza czuje teraz miłość do mojej duszy? - spytała.

- Niewątpliwie.

- I to uczucie nie mogłoby cię zwieść? - pytała dalej. - Nie możesz się mylić?

- To niemożliwe.

- I nic, co powiem, nie może tego zepsuć?

- Nic.

- To dobrze. Mam ci do powiedzenia coś, co bałam się powiedzieć. Teraz już się nie boję.

- Mów śmiało! - powiedziałem lekkim tonem.

- Ja nie jestem Helgą - wyznała. - Jestem jej młodszą siostrą Resi.

Poligamiczny Casanova...

Po wysłuchaniu tej wiadomości zaprowadziłem ją do najbliższej kawiarni, żebyśmy mogli usiąść. Sufit był wysoko. Światła bezlitosne. Hałas piekielny.

- Dlaczego mi to zrobiłaś? - spytałem.

- Bo cię kocham.

- Jak możesz mnie kochać?

- Zawsze cię kochałam... jeszcze jako zupełnie małą dziewczynka.

Ukryłem twarz w dłoniach.

- To okropne - powiedziałem.

- A ja... ja myślałam, że to było piękne.

- ■ I co teraz? - spytałem.

- Nie może być tak dalej? - zapytała.

- Chryste, jakie to zagmatwane - jęknąłem.

- Okazuje się, że znalazłam słowa, które mogą zabić miłość, tę miłość, której nic nie mogło zabić.

- Sam nie wiem - powiedziałem i pokręciłem głową. - Jaką to dziwną zbrodnię popełniłem?

- To ja popełniłam zbrodnię. Musiałam być szalona. Kiedy uciekłam do Berlina Zachodniego, kiedy dali mi do wypełnienia ankietę, pytali, kim jestem... kogo znam...

- A ta długa historia, którą opowiadałaś o Rosji, o Dreźnie... czy było w niej choć trochę prawdy?

- Fabryka papierosów w Dreźnie to była prawda. Moja ucieczka do Berlina też. A prawie cała reszta nie. Ta fabryka papierosów to była najprawdziwsza prawda... dziesięć godzin dziennie, sześć dni w tygodniu, dziesięć lat.

- Bardzo mi przykro - powiedziałem.

- To mnie jest przykro. Życie było dla mnie zbyt surowe, żebym mogła sobie pozwolić na wyrzuty sumienia. Prawdziwe wyrzuty sumienia są dla mnie równie nieosiągalne jak futro z norek. Jedynie marzenia pomagały mi wytrwać przy tej maszynie dzień po dniu, a nie miałam do nich prawa.

- Dlaczego? - spytałem.

- Bo to były marzenia, że jestem kimś innym.

- Nie ma w tym nic złego.

- Jak to nie! Spójrz na siebie. Spójrz na mnie. Spójrz na naszą miłość. Wyobrażałam sobie, że jestem swoją siostrą Helgą. Helga! Helga! Helga! Oto kim byłam. Piękną aktorką z przystojnym mężem dramaturgiem. Resi, dziewczyna z fabryki papierosów, po prostu nie istniała.

- Mogłaś się wcielić w gorszą postać - powiedziałem.

Resi nabrała teraz odwagi.

- Ja nią jestem. Jestem nią naprawdę. Jestem Helga! Helga! Helga! Uwierzyłeś w to. Czy trzeba lepszego dowodu? Czy byłam dla ciebie Helgą?

- To jest cholernie kłopotliwe pytanie dla dżentelmena.

- Czy mam prawo usłyszeć odpowiedź?

- Tak, masz prawo usłyszeć odpowiedź. Muszę odpowiedzieć tak, chociaż muszę też powiedzieć, że nie jestem najlepszym sędzią. Moje zdolności oceny, moje zmysły i intuicja nie są niewątpliwie takie, jakie być powinny.

- A może są w porządku, może wcale nie dałeś się oszukać.

- Powiedz mi, co wiesz o Heldze? - spytałem.

- Nie żyje.

- Jesteś pewna?

- A może być inaczej?

- Nie wiem.

- Nie miałam od niej ani słowa. A ty?

- Też nie.

- Żywi ludzie odzywają się, prawda? Zwłaszcza, jeżeli kochają kogoś tak, jak Helga kochała ciebie.

- Chyba tak.

- Ja cię kocham tak jak Helga.

- Dziękuję.

- I ja się odezwałam. Zajęło mi to trochę czasu, ale się odezwałam.

- To prawda.

- Kiedy przeszłam do Berlina Zachodniego i dano mi do wypełnienia formularze - imię i nazwisko, zawód, najbliżsi krewni - miałam wybór. Mogłam być Resi Noth, robotnicą z fabryki papierosów bez rodziny. Albo mogłam być Helgą Noth, aktorką, żoną przystojnego, uroczego, znakomitego dramaturga z USA. - Pochyliła się ku mnie. - Powiedz - powiedziała - co miałam wybrać?

Niech mi Bóg przebaczy, ale powtórnie przyjąłem Resi jako moją Helgę.

Z chwilą kiedy otrzymała tę powtórnią akceptację, zaczęła jednak zdradzać w różnych drobiazgach, że jej identyfikacja z Helgą nie jest tak zupełna, jak mówiła. Uznała, że może krok po kroku przyzwyczajać mnie do swojej własnej osobowości.

To stopniowe odsłanianie się, uwalnianie mnie od wspomnień o Heldze zaczęło się, kiedy tylko wyszliśmy z kawiarni. Zadała mi szokująco praktyczne pytanie.

- Czy chcesz, żebym dalej tleniła włosy - spytała - czy mogę wrócić do swojego koloru?

- A jaki jest twój naturalny kolor?

- Miodowy.

- Piękny kolor. Helga miała takie włosy.

- Moje są bardziej rudawe.

- Chętnie je zobaczę.

Szliśmy Piątą Aleją i po chwili spytała mnie:

- Czy napiszesz kiedyś dla mnie sztukę?

- Nie wiem, czy potrafię jeszcze pisać.

- Czy Helga nie inspirowała cię do pisania?

- Nie do pisania, tylko do pisania w taki sposób, w jaki to robiłem.

- Pisałeś z myślą o tym, żeby ona mogła zagrać?

- Tak, pisałem dla Helgi role, które pozwalały jej być na scenie kwintesencją samej siebie.

- Chciałabym, żebyś kiedyś zrobił to samo dla mnie.

- Może spróbuję.

- Kwintesencja Resi. Resi Noth.

Zobaczyliśmy defiladę z okazji Dnia Weterana i po raz pierwszy usłyszałem śmiech Resi. W niczym nie przypominał szeleszczącego śmiechu Helgi. Resi śmiała się ostro, melodyjnie. Rozśmieszyły ją tak majoretki wierzgające pod niebo, kręcące zadkami i wywijające młynki chromowanymi superfallusami.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałam - powiedziała do mnie. - Wojna widocznie kojarzy się Amerykanom z seksem. - Roześmiała się znów i wypięła pierś, żeby sprawdzić, czy nadawałaby się na majoretkę.

Z każdą sekundą stawała się coraz młodsza, coraz weselsza, coraz hałaśliwiej rozbrykana. Białe włosy, które jeszcze tak niedawno kojarzyłem z przedwczesną siwizną, ujawniły teraz swój wiek, mówiąc o tlenieniu i dziewczętach, które uciekają do Hollywood.

Kiedy odwróciliśmy się od defilady, zobaczyliśmy w oknie wystawowym wielkie złoczone łóżko bardzo podobne do tego, które kiedyś mieliśmy z Helgą.

W oknie widać było nie tylko to wagnerowskie łożo, lecz także odbicie Resi i mnie, wyglądaliśmy jak zjawy z defiladą zjaw w tle. Błede zjawy i materialne łożo tworzyły niepokojącą kompozycję. Robiło to wrażenie jakiejś alegorii w stylu wiktoriańskim, niezłego właściwie obrazu do powieszenia nad kontuarem baru z tym przemarszem sztandarów, złotym łóżkiem i parą duchów.

Nie mogę powiedzieć, czego to była alegoria, ale mogę uzupełnić kilka szczegółów. Duch mężczyzny był diablo stary, zagłodzony i nadjedzony przez mole. Duch kobiety był elegancki, pełen życia, wigoru i tak młody, że mógł być jego córką.

25

Sposób na komunizm...

Resi i ja nie spieszyliśmy się do mojego zaszczurzonego poddasza, oglądaliśmy meble, wpadaliśmy na drinki.

W jednym z barów Resi poszła do toalety, zostawiając mnie samego. Zagadał do mnie podpity bywalec barów.

- Czy wie pan, jaki jest sposób na komunizm? - spytał.

- Nie...

- Moralne przebrojenie.

- A cóż to takiego?

- To jest ruch.

- W którą stronę?

- Ruch Moralnego Przebrojenia opiera się na absolutnej uczciwości, absolutnej czystości, absolutnym altruizmie i absolutnej miłości.

- Z całego serca życzę mu powodzenia - powiedziałem.

W innym barze spotkaliśmy osobnika, który twierdził, że potrafi w pełni zaspokoić siedem kobiet w ciągu jednej nocy, pod warunkiem że każda będzie inna.

Boże, w co ci ludzie się bawią!

Boże, w jakim świecie oni się w to bawią!

26

Rozdział upamiętniający szeregowca Irvinga Buchanona i niektórych innych...

Resi i ja wróciliśmy do domu dopiero po kolacji, już po zmroku. Mieliśmy zamiar spędzić jeszcze jedną noc w hotelu. Wróciliśmy dlatego, że Resi chciała pomarzyć o tym, jak urządzi strych, chciała pobawić się w dom.

- Nareszcie mam dom - powiedziała.

- Trzeba dużo czasu i starania, żeby zrobić dom z mieszkania - odparłem i zobaczyłem, że moja skrzynka na listy znów jest zapchana. Nie otworzyłem jej.

- Kto to zrobił? - spytała Resi.

- Co?

- To - powiedziała, wskazując kartkę z moim nazwiskiem na skrzynce. Ktoś przy moim nazwisku dorysował niebieskim atramentem swastykę.

- To coś zupełnie nowego - powiedziałem z niepokojem. - Może lepiej nie idźmy na górę. Może tam czeka ten, kto to zrobił.

- Nie rozumiem.

- Wybrałaś bardzo niewłaściwą chwilę na przyjazd do mnie. Miałem przytulną małą norę, gdzie mogliśmy żyć we dwoje całkiem przyjemnie...

- Co to jest „nora”?

- Dziura w ziemi, bezpieczna i z zamaskowanym wejściem. Ale, do licha, akurat przed twoim przyjazdem mój barłóg został zdemaskowany. - Opowiedziałem jej, jak zostałem wydobyty z zapomnienia. - Teraz ścigają mnie drapieżniki, węsząc świeżo rozkopaną norę.

- Wyjedź za granicę - powiedziała.

- Dokąd?

- Dokąd chcesz. Masz dość pieniędzy, żeby pojechać wszędzie, gdzie zechcesz.

- Wszędzie, gdzie zechcę...

W tym momencie nadszedł łysy, nieogolony grubas z torbą na zakupy. Odepchnął Resi i mnie od skrzynek na listy z ochrypłymi, bez cienia uprzejmości przeprosinami.

- Praszam - powiedział i zaczął czytać nazwiska na skrynkach jak pierwszoklasista, przykładając do każdego nazwiska palec i studiując je bardzo, bardzo długo.

- Campbell! - wykrzyknął wreszcie z wielką radością. - Howard W. Campbell. - Odwrócił się do mnie. - Zna go pan? - spytał oskarżycielsko.

- Nie - odpowiedziałem.

- Nie - powiedział i rozpromienił się złośliwie. - A jest pan do niego podobny jak dwie krople wody. - Wyjął z torby „Daily News”, rozłożył i podał Resi. - Proszę, czy nie wygląda zupełnie jak ten dżentelmen, który jest z panią? - zwrócił się do niej.

- Niech mi pan pokaże. - Wyjąłem gazetę z bezwładnych palców Resi i zobaczyłem swoje jakże stare zdjęcie z porucznikiem O'Hare na tle szubienic w Ohrdruf.

Artykuł pod zdjęciem obwieszczał, że rząd Izraela wytropił mnie po piętnastoletnich poszukiwaniach. Tenże rząd domagał się teraz od Stanów Zjednoczonych mojej ekstradycji w celu postawienia mnie przed sądem w Izraelu. Za co chcieli mnie sądzić? Za współudział w wymordowaniu sześciu milionów Żydów.

Nieznajomy uderzył mnie przez gazetę, zanim zdążyłem coś powiedzieć.

Osunąłem się, uderzając głową o kubel na śmieci.

Łysy stanął nade mną.

- Zanim Żydzi wsadzą cię do klatki w zoo, czy co tam z tobą zrobią, chciałbym się trochę z tobą zabawić.

Potrząsnąłem głową, usiłując odzyskać przytomność.

- Poczujesz, co? - spytał.

- Tak - przyznałem.

- To było za szeregowca Irvinga Buchanona - powiedział.

- Czy to pan jest Buchanon? - spytałem.

- Buchanon nie żyje. Był najlepszym przyjacielem, jakiego miałem w życiu. O pięć mil od plaży Omaha Niemcy ucieli mu jaja i powiesili go na słupie telefonicznym.

Kopnął mnie w żebra, odsuwając jedną ręką Resi.

- To za Anselę Brewera, rozjechanego przez tygrysa pod Aachen.

Kopnął mnie jeszcze raz.

- To za Eddiego McCarty'ego, przeciętego na pół serią z cekaemu w Ardenach. Eddie

miał być lekarzem.

Cofnął swoją wielką nogę, żeby mnie kopnąć, tym razem w głowę.

- A to za... - powiedział i dalej już nic nie usłyszałem. Było to kopnięcie jeszcze za kogoś, kto zginął na wojnie. Straciłem przytomność.

Resi powiedziała mi później, co nieznajomy mówił i jaki prezent miał dla mnie w swojej torbie na zakupy.

- Jestem facetem, który nie zapomniał tej wojny - powiedział. - Może wszyscy inni zapomnieli, ale ja nie. Przyniosłem ci to - powiedział - żebyś mógł zaoszczędzić wszystkim masę zachodu.

I poszedł sobie.

Resi wyrzuciła pętlę do kubła na śmieci, gdzie następnego ranka znalazł ją śmieciarz nazwiskiem Lazlo Szombathy. Szombathy, nawiasem mówiąc, powiesił się na niej, ale to już inna historia.

Wracając do mojej historii.

Odzyskałem przytomność na sfatygowanej kanapie w wilgotnym, przegrzanym pokoju obwieszonym spleśniałymi hitlerowskimi flagami. Stał tam też tekturowy kominek, pomyśl za pięć groszy na uprzyjemnienie świąt Bożego Narodzenia. Były w nim tekturowe brzozowe polana, czerwona żarówka i celofanowe języki wiecznego ognia.

Nad kominkiem wisiał portret Adolfa Hitlera spowity kirem.

Ja sam leżałem rozebrany do oliwkowoszarej bielizny, przykryty kapą imitującą skórę lamparta. Spojrzałem na tę lamparcią skórę i coś wymamrotałem.

- Co mówisz, kochanie? - spytała Resi. Siedziała tuż przy mnie, ale zobaczyłem ją dopiero, kiedy się odezwała.

- Nie mówcie mi tylko - powiedziałem, podciągając lamparcią skórę - że zapisałem się do Hotentotów.

Prawem znalazcy...

Moi tutejsi pomocnicy w zbieraniu materiałów, bystrzy, pełni życia młodzi ludzie, dostarczyli mi fotokopię artykułu z „New York Timesa” o śmierci Lazlo Szombathy’ego, człowieka, który się powiesił na sznurze przeznaczonym dla mnie.

Więc to też mi się nie przyśniło.

Szombathy wykonał swój wielki numer następnej nocy po tym, jak zostałem pobity.

Według „Timesa” przybył do tego kraju po udziale w powstaniu węgierskim przeciwko Rosji. Był, według „Timesa”, bratobójcą, gdyż zastrzelił swojego brata, wiceministra oświaty na Węgrzech.

Przed odejściem w zaświaty Szombathy napisał notatkę i przypiął ją do nogawki spodni. W notatce nie było nic na temat tego, że zabił brata. Skarżył się natomiast, że na Węgrzech był cenionym weterynarzem, a w Ameryce nie dopuszczono go do praktyki. Miał do powiedzenia gorzkie rzeczy na temat wolności w Ameryce. Uważał, że jest to wolność iluzoryczna.

W finałowym fandango paranoi z masochizmem Szombathy na zakończenie swojej notatki napomknął, że wiedział, jak leczyć raka. Amerykańscy lekarze, twierdził, wyśmiewali go, ilekroć usiłował im to powiedzieć.

Tyle na temat Szombathy’ego.

Co zaś do pomieszczenia, w którym się ocknąłem, była to piwnica urządzona przez zmarłego Augusta Krapptauera dla Żelaznej Gwardii Białych Synów Amerykańskiej Konstytucji, piwnica Lionela J.D. Jonesa, doktora stomatologii, doktora teologii. Gdzieś na górze pracowała maszyna drukarska, tłukąc egzemplarze „Głosu Białego Chrześcijanina”.

Z jakiegoś innego pomieszczenia w piwnicy, częściowo dźwiękoszczelnego, dobiegała idiotycznie monotonna pukanina.

Pierwszej pomocy po pobiciu udzielił mi młody doktor Abraham Epstein, mieszkający

w moim domu lekarz, który stwierdził zgon Krapptauera. Z jego mieszkania Resi zadzwoniła do doktora Jonesa po radę i pomoc.

- Dlaczego do Jonesa? - spytałem.

- *Jest* jedyną *znaną* mi w tym kraju osobą, do której mogłam mieć zaufanie. Jest jedyną osobą, o której wiem na pewno, że jest po twojej stronie.

- Cóż by było warte życie bez przyjaciół? - zauważyłem.

Ja tego nie pamiętam, ale Resi mówi mi, że odzyskałem przytomność w mieszkaniu Epsteina. Jones zawiózł mnie i Resi swoją limuzyną do szpitala, gdzie mnie prześwietlono. Opatrzono mi trzy złamane żebra. Potem zostałem przywieziony do piwnicy Jonesa.

- Dlaczego tutaj? - spytałem Resi.

- Tu jesteś bezpieczny.

- Bezpieczny przed kim?

- Przed Żydami.

Czarny Fuehrer Harlemu, szofer Jonesa, wniósł tacę z jajkami, grzanką i parującą kawą. Postawił to przede mną na stole.

- Boli głowa? - spytał.

- Boli - przyznałem.

- Niech pan weźmie aspirynę.

- Dziękuję za dobrą radę - powiedziałem.

- Większość rzeczy na tym świecie się nie sprawdza, ale aspiryna sprawdza się zawsze.

- Czy... Republika Izraela rzeczywiście domaga się... - spytałem Resi z wielkim niedowierzaniem - chce... mnie sądzić za... za to, co jest napisane w gazecie?

- Doktor Jones mówi, że rząd amerykański cię nie wyda - powiedziała Resi - ale że Żydzi przyślą ludzi i porwą cię jak Eichmanna.

- Po taką płótkę? - mruknąłem.

- To nie jest tak, że jeden czy drugi Żyd wziął się na pana - powiedział Czarny Fuehrer.

- Słucham?

- Oni teraz mają swoje państwo. Mają żydowskie okręty wojenne, żydowskie samoloty, żydowskie czołgi. Mają na pana żydowskie wszystko z wyjątkiem żydowskiej bomby wodorowej.

- Kto tam, na litość boską, tak strzela? - spytałem. - Czy nie mógłby poczekać, aż mnie trochę głowa przestanie boleć?

- To twój przyjaciel - powiedziała Resi.

- Doktor Jones?

- Nie, George Kraft.

- Kraft? Co on tu robi?

- On leci z nami - powiedziała Resi.

- Dokąd?

- „Wszystko zostało postanowione. Wszyscy są zgodni, kochanie, że najlepszą rzeczą dla nas będzie opuścić kraj. Doktor Jones wszystko przygotował.

- Co przygotował? - spytałem.

- Jego przyjaciel ma samolot. Jak tylko poczujesz się lepiej, wsiadamy do samolotu, lecimy do jakiegoś cudownego miejsca, gdzie nic o tobie nie wiedzą... i zaczniemy życie od nowa.

Tarcza strzelecka...

Poszedłem zobaczyć się z George'em Kraftem, tam w piwnicy Jonesa. Zostałem go na końcu długiego korytarza, którego drugi koniec był zastawiony workami z piaskiem. Na workach opierała się tarcza strzelnicza w kształcie człowieka.

Tarcza była karykaturą Żyda z cygarem w zębach. Żyd stał na podeptanych krzyżach i małych nagich kobietach. W jednej ręce Żyd trzymał worek pieniędzy z napisem „Banki Międzynarodowe”. W drugiej trzymał rosyjską flagę. Z kieszeni jego ubrania wołali o litość mali ojcowie, matki i dzieci tej samej wielkości, co nagie kobiety pod jego stopami.

Szczegóły te nie były widoczne z końca strzelnicy, ale nie musiałem zbliżać się do tarczy, żeby je zobaczyć.

Sam narysowałem tę tarczę w roku 1941.

Tarcza została wydrukowana w milionach egzemplarzy. Moi przełożeni byli tak zachwyceni, że otrzymałem premię w postaci dziesięciofuntowej szynki, trzydziestu galonów benzyny i tygodniowe bezpłatne wakacje dla mnie i dla mojej żony w Domu Pisarza w Karkonoszach.

Muszę przyznać, że tarcza jest dowodem mojej nadgorliwości, gdyż nie pracowałem dla hitlerowców jako grafik. Przypuszczam, że moje autorstwo jest w tym przypadku nowością nawet dla Instytutu Dokumentacji Zbrodni Wojennych w Hajfie. Mimo to przyznaję, że narysowałem tego potwora, aby jeszcze bardziej podbudować swoją reputację wśród nazistów. Specjalnie przesadziłem, uzyskując efekt, który musiał śmieszyć wszędzie poza Niemcami i piwnicą Jonesa, i narysowałem to znacznie bardziej po amatorsku, niż w rzeczywistości potrafię.

A jednak odniosłem sukces.

Byłem tym sam zaskoczony. Hitlerjugend i rekruci SS strzelali prawie wyłącznie do tego i dostałem nawet podziękowanie za tarczę od Heinricha Himmlera.

„Poprawiło to moją celność o sto procent” - pisał. Jakiż prawdziwy Aryjczyk może patrzeć na ten wspaniały cel i nie czuć żądy mordy?”

Patrząc, jak Kraft strzela do tej tarczy, po raz pierwszy zrozumiałem jej popularność. Jej amatorszczyzna sprawiła, że wyglądała jak rysunek na ścianie publicznej toalety; przywodziła na myśl odór, niezdrowy półmrok, wilgotny pogłos i żalosne odosobnienie kabiny w publicznej toalecie - odpowiadała dokładnie stanowi ducha człowieka na wojnie.

Narysowałem to lepiej, niż myślałem.

Kraft, nie zauważając mojej zawiniętej w lamparcią skórę postaci, wystrzelił. Używał lugera wielkiego jak haubica obłężnicza, ale z wkładką na małokalibrowe pociski i stąd te żalosne, zaskakująco ciche puknięcia. Kraft oddał jeszcze jeden strzał i z worka w sporej odległości od celu pociekła powoli strużka piasku.

- Następnym razem spróbuj otworzyć oczy - poradziłem.

- Tak. Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało.

- Mnie też.

- Może to jednak wyjdzie na dobre. Może wszyscy jeszcze będziemy dziękować Bogu za to, że tak się stało.

- W jaki sposób?

- To nas wybiło z codziennej rutyny.

- Niewątpliwie tak.

- Kiedy wydstaniesz się z tego kraju ze swoją dziewczyną, znajdziesz się w nowym otoczeniu jako inny człowiek, zaczniesz znowu pisać i będziesz pisać dziesięć razy lepiej niż przedtem. Pomyśleć tylko o dojrzałości, jakiej nabierze twoje pisarstwo!

- Teraz za bardzo boli mnie głowa...

- Wkrótce przestanie. Nie jest uszkodzona i wypełnia ją jasne widzenie siebie i świata.

- Uhum.

- A ja też stanę się lepszym malarzem. Nigdy jeszcze nie oglądałem tropików: ta gęsta zawiesina kolorów, ten widzialny i słyszalny żar...

- Skąd się tu wzięły tropiki? - spytałem.

- Myślałem, że tam właśnie lecimy. Resi też chce tam jechać.

- Ty też lecisz?

- Masz coś przeciwko temu?

- Widzę, że rozwijała się tu ożywiona działalność, kiedy spałem.

- Czy jest w tym coś złego? - spytał Kraft. - Czy zaplanowaliśmy coś, co nie byłoby dla twojego dobra?

- George, po co masz się wiązać z nami? Po co masz wchodzić do tej piwnicy z karaluchami? Ty nie masz wrogów, George, a jak zostaniesz z nami, będziesz miał tych samych wrogów, co i ja.

Położył rękę na moim ramieniu i zajął mi głęboko w oczy.

- Howardzie - powiedział - kiedy zmarła moja żona, nie byłem związany z niczym na ziemi. Ja również byłem pozbawionym racji bytu szczątkiem dwuosobowego państwa. A potem odkryłem coś, czego nigdy wcześniej nie znałem, odkryłem, co znaczy prawdziwy przyjaciel. Z radością wiążę mój los z twoim, przyjacielu. Nic innego mnie nie obchodzi. Nic innego ani trochę mnie nie pociąga. Za twoim pozwoleniem moje farby i ja nie marzą o niczym poza tym, żeby być przy tobie, gdziekolwiek los cię zaniesie.

- Oto... oto prawdziwa przyjaźń! - stwierdziłem.

- Myślę, że tak - powiedział George.

Adolf Eichmann i ja...

Spędziłem dwa dni w tej niesamowitej piwnicy jako medytujący inwalida.

Moje ubranie zostało całkowicie zniszczone przy okazji pobicia, otrzymałem więc inne z rezerw domostwa Jonesa.

Dostałem parę lśniących czarnych spodni od ojca Keeleya, srebrzystą koszulę od doktora Jonesa, koszulę, która kiedyś stanowiła część uniformu nie istniejącego już ruchu Amerykańskich Faszystów zwanych, jak można się było domyślać, „srebrnymi koszulami”. A Czarny Fuehrer dał mi ciasną pomarańczową marynarkę sportową, w której wyglądałem jak mała kataryniarza.

Resi Noth i George Kraft otaczali mnie nieustanną troską: nie tylko mnie pielęgowali, lecz także snuli za mnie marzenia i plany. Wielkie marzenie polegało na tym, żeby jak najszybciej wydostać się z Ameryki. Rozmowy, w których mój udział był minimalny, miały charakter jakby loteryjki z nazwami różnych ciepłych miejsc, mających opinię rajy na ziemi. Acapulco... Minorka... Rodos... nawet dolina Kaszmiru, Zanzibar i Andamany.

Wieści ze świata zewnętrznego sprawiały, że dalszy pobyt w Ameryce stawał się mało atrakcyjny, a może nawet niemożliwy. Ojciec Keeley wychodził i kupował gazety kilka razy dziennie, a jako dodatkowe źródło wiedzy mieliśmy gadaninę w radiu.

Republika Izraela zaostrzyła swoje żądania zachęcona pogłoskami, że nie jestem obywatelem amerykańskim, że w istocie nie mam żadnego obywatelstwa. Żądania Izraela były tak sformułowane, żeby nadać im efekt wychowawczy; miały uczyć, że propagandzista w moim rodzaju jest w takim samym stopniu mordercą, jak Heydrich, Eichmann, Himmler czy każdy inny z tej ponurej kompanii.

Możliwe, że tak. Liczyłem na to, że w swoich audycjach będę po prostu śmieszny, ale niełatwo jest być śmiesznym na tym świecie, gdzie tylu ludzi nie zdradza ochoty do śmiechu,

nie zdradza ochoty do myślenia, a za to chętnie wierzy, szczerzy kły i nienawidzi. Zbyt wielu ludzi chciało mi wierzyć!

Możecie się rozplýwać z zachwytu nad urokami bezwarunkowej wiary, a ja uważam skłonność do niej za coś przerażającego i absolutnie podłego.

Niemcy Zachodnie zapytały uprzejmie rząd Stanów Zjednoczonych, czy jestem może ich obywatelem. Sami nie mieli dowodów ani na tak, ani na nie, gdyż wszystkie dokumenty dotyczące mojej osoby spłonęły podczas wojny. W razie gdybym był ich obywatelem, postawiliby mnie przed sądem z równą przyjemnością co Izrael.

W sumie stwierdzali, że jeżeli jestem Niemcem, to oni wstydzą się takiego Niemca.

Rosja Sowiecka w krótkich słowach, które brzmiały jak stalowe kulki sypane na mokry żwir, stwierdzała, że żaden proces nie jest tu potrzebny. Faszysta taki jak ja, twierdzili, powinien zostać rozdeptany jak karaluch.

Ale to, co naprawdę pachniało nagłą śmiercią, to był gniew moich sąsiadów. Co bardziej barbarzyńskie gazety drukowały bez komentarzy listy ludzi, którzy chcieli, żeby mnie obwozić po całym kraju w żelaznej klatce; bohaterów, którzy zgłaszali się na ochotnika do plutonu egzekucyjnego, jakby umiejętność posługiwania się bronią palną stanowiła jakąś rzadkość; ludzi, którzy sami nie planowali żadnej akcji, ale mieli dość zaufania do amerykańskiej cywilizacji, żeby wiedzieć, że znajdą się inni, silniejsi, młodszy, którzy będą wiedzieli, co zrobić.

I ci ostatni słusznie mieli zaufanie. Wątpię, czy kiedykolwiek istniało społeczeństwo, w którym nie byłoby silnych i młodych ludzi skorych do eksperymentów z uśmiercaniem ludzi, pod warunkiem że nie wiąże się to z jakimiś okropnymi karami.

Jak donosiła prasa i radio, słusznie oburzeni ludzie zrobili już, co mogli, w mojej sprawie, włamując się na moje zaszczurzone poddasze, wybijając szyby i niszcząc lub wynosząc moje dobra doczesne. Znienawidzone poddasze znajdowało się teraz przez okrągłą dobę pod strażą policji.

„New York Post” wskazywał w artykule wstępnym, że policja nie jest w stanie zapewnić mi należytej opieki, ponieważ moi wrogowie są zbyt liczni i, co zrozumiałe, morderczo nastawieni. Tu byłby potrzebny, stwierdzał „Post” pesymistycznie, batalion piechoty morskiej, który by mnie strzegł do końca moich dni.

Nowojorski „Daily News” sugerował, że moją największą zbrodnią wojenną było to, iż nie popełniłem samobójstwa, jak przystało dżentelmenowi. Wynikałoby z tego, że Hitler był dżentelmenem.

Ta sama gazeta zamieściła, nawiasem mówiąc, list Bernarda B. O’Hare, tego, który

aresztował mnie w Niemczech, tego, który ostatnio napisał do mnie list z licznymi odpisami.

Chcę tego człowieka dla siebie - pisał o mnie O'Hare. - Należy mi się to. To ja złapałem go w Niemczech. Gdybym wtedy wiedział, że uda mu się wywinąć, rozwalilibym go na miejscu. Jeżeli ktoś zobaczy Campbella przede mną, niech mu powie, że Bernie O'Hare leci po niego z Bostonu najbliższym samolotem.

„New York Times” oświadczył, że tolerowanie, a nawet ochrona wyrzutka takiego jak ja, jest jedną z przykrych konieczności w życiu prawdziwie wolnego społeczeństwa.

Rząd Stanów Zjednoczonych, jak mi powiedziała Resi, postanowił nie wydawać mnie Izraelowi. Nie znaleziono do tego podstaw prawnych.

Rząd Stanów Zjednoczonych obiecał jednak przeprowadzić wnikliwe i jawne dochodzenie w tej zagadkowej sprawie, wyjaśnić kwestię mojego obywatelstwa i stwierdzić, dlaczego nigdy nie zostałem postawiony przed sądem.

Rząd wyraził nawet kwaśno zaskoczenie, że w ogóle znalazłem się na jego terytorium.

„New York Times” zamieścił też moje zdjęcie jako znacznie młodszego człowieka, mój oficjalny portret jako nazisty i idola międzynarodowych fal radiowych. Mogę tylko w przybliżeniu określić rok, w którym to zdjęcie było robione, myślę, że w 1941.

Arndt Klopfer, autor tego zdjęcia, zrobił wszystko, żebym wyszedł na nim jak oleodrukowy Jezus wysmarowany kremem po goleniu. Dodał mi nawet aureolę, umiejętnie rzucając na tło nieostre światło. Ta aureola nie była jakimś specjalnym efektem wymyślonym dla mnie. Każdy, kto szedł do Klopfera, dostawał aureolę, z Adolfem Eichmannem włącznie.

Mogę to stwierdzić z całą pewnością, bez zwracania się o potwierdzenie do Instytutu w Hajfie, gdyż robiłem sobie zdjęcie w studio Klopfera bezpośrednio po Eichmannie. Było to jedyne moje spotkanie z Eichmannem, to znaczy jedyne w Niemczech. Spotkałem się z nim powtórnie tutaj, w Izraelu, zaledwie dwa tygodnie temu, kiedy przewieziono mnie na krótko do więzienia w Tel Awiwie.

O tym spotkaniu: Byłem więziony w Tel Awiwie dwadzieścia cztery godziny. W drodze do mojej celi strażnicy zatrzymali mnie przed celą Eichmanna, żeby usłyszeć, czy będziemy mieli sobie coś do powiedzenia, a jeżeli tak, to co.

Nie poznaliśmy się i strażnicy musieli nas sobie przedstawić.

Eichmann pisał historię swojego życia, podobnie jak ja teraz piszę historię swojego życia. Ten stary oskubany sęp z cofniętą szczęką, który miał się tłumaczyć z sześciu milionów morderstw, obdarzył mnie świętoszkowatym uśmiechem. Był mile zainteresowany

moją pracą, mną osobiście, strażnikami w więzieniu, wszystkim. Spojrzał na mnie ciepło i powiedział:

- Nie mam do nikogo pretensji.
- Oto wzór postawy - odpowiedziałem.
- Mam dla pana pewną radę.
- Chętnie jej wysłucham.
- Niech się pan odpręży - powiedział promiennie, promiennie, promiennie.
- Właśnie dzięki temu tu się znalazłem.
- Życie dzieli się na etapy. Każdy etap różni się od innych i trzeba zdać sobie sprawę, czego się od człowieka oczekuje na każdym etapie. To jest sekret powodzenia w życiu.
- To ładnie, że zdradził mi pan ten sekret.
- Jestem teraz pisarzem. Nigdy nie sądziłem, że zostanę pisarzem.
- Czy mogę panu zadać pytanie osobiste? - spytałem.
- Bardzo proszę - odpowiedział łaskawie. - To jest właśnie etap, na którym się znajduję. Czas myślenia i odpowiadania na pytania. Niech pan pyta, o co pan tylko chce.
- Czy czuje się pan winny zamordowania sześciu milionów ludzi?
- Absolutnie nie - odpowiedział budowniczy Auschwitz, człowiek, który zainstalował przenośniki taśmowe w krematoriach, największy na świecie odbiorca gazu pod nazwą cyklon-B.

Nie znając człowieka zbyt dobrze, postanowiłem poddać go próbie satyry, czemuś, co mnie wydawało się satyrą.

- Był pan tylko żołnierzem wykonującym rozkazy przełożonych, jak wszyscy żołnierze na świecie?

Eichmann odwrócił się do strażnika i zaczął coś do niego mówić w jidysz, szybko i gniewnie. Gdyby mówił powoli, zrozumiałbym go, ale mówił zbyt szybko.

- Co on powiedział? - spytałem strażnika.
- Myśli, że pokazaliśmy panu jego oświadczenie - wyjaśnił strażnik. - Kazał sobie obiecać, że nie pokażemy go nikomu, dopóki nie zostanie ostatecznie ukończony.
- Nie widziałem pańskiego oświadczenia - powiedziałem do Eichmanna.
- To skąd pan zna moją linię obrony? - spytał.

Ten człowiek autentycznie wierzył, że sam wpadł na ten wyświechtany pomysł obrony, choć cały przeszło siedemdziesięciomilionowy naród stosował tę samą obronę już wcześniej. Tak w jego nędznym wyobrażeniu miał wyglądać upodabniający człowieka do bogów akt wynalazczości.

Im dłużej myślę o sobie i o Eichmannie, tym bardziej upewniam się, że on powinien być odesłany do szpitala, a ja reprezentuję ludzi, dla których wymyślono uczciwe i sprawiedliwe sądy.

Jako osoba życzliwa sądowi, który będzie rozpatrywał sprawę Eichmanna, przedkładam swoją opinię, że Eichmann nie potrafi odróżnić dobra od zła, że nie tylko dobro i zło, lecz także prawda i kłamstwo, nadzieja i rozpacz, piękno i brzydota przesypują się przez umysł Eichmanna obojętnie jak śrut przez trąbkę.

Mój przypadek jest inny. Ja zawsze wiem, kiedy kłamię, potrafię wyobrazić sobie okrutne konsekwencje tego, że ktoś uwierzy w moje kłamstwa, wiem, że okrucieństwo jest złe. Ja nie potrafiłbym skłamać i nie zauważyć tego, byłoby to tak samo niemożliwe, jak nieświadome urodzenie kamienia nerkowego.

Jeżeli po tym życiu jest jakieś inne, bardzo bym chciał w tym następnym urodzić się jako ktoś, o kim można szczerze powiedzieć: „Przebaczcie mu, bo nie wie, co czyni”.

Teraz tego o mnie nie można powiedzieć.

O ile wiem, jedyną korzyścią z faktu, że znam różnice między dobrem a złem, jest to, że ja potrafię się czasami śmiać, podczas gdy Eichmannowie nie mają za grosz poczucia humoru.

- Czy nadal pan pisze? - spytał Eichmann tam, w Tel Awiwie.

- Ostatnie dzieło, na specjalne zamówienie archiwów.

- Czy jest pan zawodowym pisarzem?

- Są ludzie, którzy tak uważają.

- Niech mi pan powie, czy wyznacza pan sobie określone godziny na pisanie niezależnie od tego, czy ma pan na to ochotę, czy też czeka pan na przypływ natchnienia?

- Określone godziny - powiedziałem, sięgnawszy pamięcią wstecz.

Odzyskałem nieco szacunku w jego oczach.

- Tak, tak - powiedział, kiwając głową - określone godziny. Ja też do tego doszedłem. Czasami po prostu wpatruję się w czystą kartkę papieru, ale mimo to siedzę tak i patrzę przez cały czas, jaki sobie wyznaczyłem na pracę. Czy alkohol pomaga?

- Według mnie tylko się tak wydaje i tylko przez pierwsze pół godziny. - To również była moja opinia z czasów młodości.

Eichmann postanowił zażartować.

- A jeśli chodzi o te sześć milionów... - powiedział.

- Tak?

- Mógłbym panu kilka odstąpić do pańskiej książki. Nie sądzę, żebym potrzebował aż

tylu.

Składam ten żarcik w darze historii, zakładając, że nie było w pobliżu magnetofonu. Oto przykład dowcipu tego biurokratycznego Dżyngis-chana.

Możliwe, że Eichmann chciał, abym przyznał, że ja też zabiłem masę ludzi swoim gadaniem. Wątpię jednak, żeby stać go było na taką subtelność, mimo że był takim luminarzem. Jestem przekonany, że gdyby doszło co do czego, to z tych przypisywanych mu sześciu milionów nie oddałby mi ani jednego. Przecież gdyby zaczął rozdawać wszystkie te morderstwa, Eichmann jako Eichmannowskie wyobrażenie o Eichmannie przestałby istnieć.

Strażnicy odprowadzili mnie i jedyny kontakt, jaki poza tym miałem z „człowiekiem stulecia”, przybrał formę grypsu przemyconego w tajemniczy sposób z jego więzienia w Tel Awiwie do mojego w Jerozolimie. Kartkę upuściła mi pod nogi w czasie spaceru jakaś nieznana mi osoba. Podniosłem ją, przeczytałem i oto, co w niej było:

„Czy uważa pan, że agent literacki jest absolutnie niezbędny?”

Odpisałem:

Jeżeli się myśli o klubie książki i prawach do adaptacji filmowych, to absolutnie tak”.

30

Don Kichot...

Mieliśmy polecieć do Mexico City, Kraft, Resi i ja. Taki był plan. Doktor Jones miał zapewnić nam nie tylko transport, lecz także komitet powitalny w Mexico City.

Z Mexico City mieliśmy wyprawić się samochodem na poszukiwanie jakiejś zacisznej wioski, w której mieliśmy spędzić resztę naszych dni.

Plan był niewątpliwie czarującym marzeniem. I wydawało mi się nie tylko możliwe, ale wręcz pewne, że będę znów pisał.

Nieśmiało wspomniałem o tym Resi.

Rozpłakała się z radości. Z autentycznej radości? Kto wie. Mogę tylko zaświadczyć, że łzy były mokre i słone.

- Czy ja mam coś wspólnego z tym wspaniałym, niebiańskim cudem? - spytała.

- Wszystko - odparłem, przyciągając ją do siebie.

- Nie, nie, bardzo mało, ale trochę tak, dzięki Bogu, trochę tak. Prawdziwym cudem jest talent, z jakim przyszedłeś na świat.

- Prawdziwym cudem jest to, że potrafisz wskrzeszać z martwych.

- To miłość. Mnie ona też wskrzesiła. Myślisz, że przed naszym spotkaniem byłam żywa?

- Czy o tym mam pisać? W naszej wiosce tam, w Meksyku, nad brzegiem oceanu, czy o tym mam pisać przede wszystkim?

- Tak, tak, kochanie. A ja tak będę o ciebie dbała, jak nikt, kiedy będziesz o tym pisać.

Czy... czy znajdziesz choć trochę czasu dla mnie?

- Tylko popołudnia, wieczory i noce. To wszystko, co będę mógł ci zaoferować.

- Czy zdecydowałaś się już na nazwisko? - spytała Resi.

- Jak to?

- Twoje nowe nazwisko, nazwisko nowego pisarza, którego piękne książki nadchodzą

tajemniczo z Meksyku. Będę panią...

- Señora.

- Senora jak? Senor i Senora jak?

- Ochrcij nas zatem.

- To zbyt poważna sprawa, żeby decydować tak od ręki.

W tym miejscu włączył się Kraft.

Resi poprosiła go, żeby zaproponował pseudonim dla mnie.

- Może Don Kichot? - powiedział. - Wtedy pani byłaby Dulcyneą z Toboso, a ja podpisywałbym swoje obrazy Sancho Pansa.

Nadszedł doktor Jones z ojcem Keeleyem.

- Samolot będzie gotów jutro rano - powiedział. - Czy jest pan pewien, że zniesie pan tę podróż?

- Czuję się już zupełnie dobrze - odparłem.

- Człowiek, który będzie na pana czekał w Mexico City, nazywa się Arndt Klopfer.

Czy potrafi pan to zapamiętać?

- Ten fotograf?

- Zna go pan?

- Robił mi moje oficjalne zdjęcie w Berlinie.

- Ma teraz największy browar w Meksyku.

- Rany boskie, ostatni raz o nim słyszałem, kiedy na jego studio spadła pięćsetfuntowa bomba.

- Wartościowego człowieka niełatwo jest zniszczyć - powiedział Jones. - A teraz ojciec Keeley i ja mamy do pana wielką prośbę.

- Doprawdy?

- Dziś wieczorem odbędzie się cotygodniowe zebranie Żelaznej Gwardii Białych Synów Amerykańskiej Konstytucji. Ojciec Keeley i ja chcemy zorganizować jakąś uroczystość dla uczczenia pamięci Augusta Krapptauera.

- Rozumiem.

- Ojciec Keeley i ja boimy się, że nie będziemy w stanie wygłosić mowy pożegnalnej. Byłoby to dla nas obu zbyt bolesne przeżycie. Zastanawiamy się, czy pan jako słynny mówca, człowiek, że tak powiem, złotousty, przyjąłby zaszczyt wygłoszenia kilku słów.

Nie mogłem odmówić.

- Dziękuję, panowie - powiedziałem. - Mowa pożegnalna?

- Ojciec Keeley ma myśl przewodnią, jeżeli to może się przydać.

- Bardzo. Myśl przewodnia niewątpliwie byłaby bardzo pomocna.

Ojciec Keeley odchrząknął.

- Sądzę - powiedział ten pomyłony stary ksiądz - że myślą przewodnią powinno być:
Jego prawda żyje i zwycięża”.

Jego prawda żyje i zwycięża”...

Żelazna Gwardia Białych Synów Amerykańskiej Konstytucji zasiadła w rzędach rozkładanych krzeseł w kotłowni doktora Jonesa. Gwardzistów było dwudziestu w wieku od szesnastu do dwudziestu lat. Wszyscy byli blondynami. Wszyscy mieli powyżej sześciu stóp wzrostu.

Byli schludnie ubrani, w garnitury, białe koszule i krawaty. Ich przynależność do Gwardii określały jedynie małe złote wstążeczki w dziurkach w prawych klapach marynarek.

Nie zwróciłbym uwagi na ten dziwny szczegół, na dziurki w klapach marynarek, które normalnie nie mają dziurek, gdyby doktor Jones mi o tym nie powiedział.

- W ten sposób rozpoznają się, nawet kiedy nie noszą wstążek. Mogą widzieć, jak ich szeregi rosna, a inni tego nie zauważają.

- Czy muszą zanosić swoje marynarki do krawca i żądać dziurki w prawej klapie?

- Matki im to robią - wyjaśnił ojciec Keeley.

Keeley, Jones, Resi i ja siedzieliśmy na podwyższeniu twarzą do gwardzistów i plecami do pieca. Resi też była na podwyższeniu, ponieważ zgodziła się powiedzieć do chłopców kilka słów o swoich osobistych doświadczeniach z komunizmem za żelazną kurtyną.

- Większość krawców to Żydzi - powiedział Jones. - Nie chcemy zdradzać swoich atutów.

- Poza tym - dodał ojciec Keeley - to dobrze, jeżeli matki się włączają.

Szofer Jonesa, Czarny Fuehrer Harlemu, też wszedł na podwyższenie i zawieszał płócienny transparent na rurach centralnego ogrzewania.

Na transparencie był napis:

„Uczcie się. Bądźcie w swojej klasie pierwsi we wszystkim. Bądźcie silni i czyści. Zachowując swoje poglądy dla siebie”.

- Czy to chłopcy z okolicy? - spytałem Jonesa.

- O, nie - powiedział Jones. - Tylko ośmiu z nich mieszka w Nowym Jorku. Dziewięciu jest z New Jersey, dwóch z Peekskill, ci bliźniacy, i jeden jest aż z Filadelfii.

- Przyjeżdża co tydzień z Filadelfii?

- A gdzie jeszcze mógłby dostać to, co August Krapptauer zapewniał im tutaj?

- Jak prowadzicie rekrutację? - spytałem.

- Za pośrednictwem mojej gazety, ale tak naprawdę, to oni sami się zapisali. Zatraskani, uświadomieni rodzice pisali do „Głosu Białego Chrześcijanina” z zapytaniami, czy nie ma jakiegoś ruchu młodzieżowego działającego na rzecz czystości amerykańskiej krwi. Jeden z najbardziej wstrząsających listów, jaki widziałem, nadszedł od kobiety z Bernardsville, w stanie New Jersey. Zapisała swojego syna do skautingu, nie wiedząc, że to prawdziwe gniazdo czarnuchów i Żydów. Ten chłopiec potem został orlim skautem, poszedł do wojska i służył w Japonii, skąd wrócił z japońską żoną.

- August Krapptauer rozplakał się, kiedy przeczytał ten list - powiedział ojciec Keeley.

- Zrozumiał wtedy, że mimo wieku i zmęczenia musi znowu podjąć pracę z młodzieżą.

Ojciec Keeley zagaił zebranie, wzywając obecnych do modlitwy. Jego modlitwa była konwencjonalna, wzywała do odwagi w obliczu wrogich zastępów.

Jeden tylko element był niekonwencjonalny, coś, z czym się nigdy dotąd nie zetknąłem, nawet w Niemczech. W głębi pomieszczenia stał Czarny Fuehrer z bębniem. Bęben był wytłumiony imitacją lamparciej skóry, której używałem jako okrycia. Po każdym zdaniu modlitwy Czarny Fuehrer wydobywał z bębna przygłuszony odgłos werbla.

Wystąpienie Resi na temat okropności życia za żelazną kurtyną było krótkie i nudne, i tak niezadowolające z wychowawczego punktu widzenia, że Jones musiał jej podpowiadać.

- Większość oddanych komunistów to Żydzi i osobnicy z domieszką krwi orientalnej, prawda? - podpowiedział.

- Słucham? - spytała.

- Oczywiście, że tak - przesądził Jones. - Nie ma co do tego wątpliwości. - I podziękował jej dość chłodno.

A co z George'em Kraftem? Siedział na widowni w ostatnim rzędzie, obok przygłuszonego bębna.

Następnie Jones przedstawił mnie jako człowieka, który nie wymaga przedstawienia. Powiedział, że nie udziela mi jeszcze głosu, ponieważ ma dla mnie niespodziankę.

I rzeczywiście.

Czarny Fuehrer zostawił swój bęben, podszedł do wyłącznika i podczas gdy Jones

mówił, stopniowo przygaszał światło.

Jones w narastających ciemnościach mówił o intelektualnym i moralnym klimacie w Ameryce w latach drugiej wojny światowej. Opowiadał o tym, jak myślący biali patrioci byli prześladowani za swoje ideały i jak w końcu prawie wszyscy gnili w federalnych lochach.

Amerykanie nigdzie nie mieli dostępu do prawdy.

W kotłowni było teraz zupełnie ciemno.

- Prawie nigdzie - powiedział Jones z ciemności. - Bo szczęśliwiec, który posiadał radio z krótkimi falami, miał dostęp do jednego, jedyne go źródła prawdy.

I wtedy w ciemnościach rozległy się szумы i trzaski radia, coś po francusku, coś po niemiecku, kawałek I *Symfonii* Brahmsa jakby wykonanej na fujarce, a potem głośno i wyraźnie:

- Mówi do was z wolnego Berlina Howard W. Campbell, jr., jeden z niewielu pozostałych wolnych Amerykanów. Pragnę pozdrowić moich rodaków, to jest białych Aryjczyków, ze 106 dywizji, zajmującej dziś wieczorem pozycje pod St. Vith. Rodzicom chłopców z tej zielonej dywizji mogę powiedzieć, że na tym odcinku panuje obecnie spokój. Pułki 442 i 444 zajmują pozycje w pierwszej linii, pułk 443 jest w odwodzie.

W ostatnim numerze „Reader’s Digest” ukazał się interesujący artykuł pod tytułem „W okopach nie ma ateistów”. Chciałbym rozszerzyć nieco ten temat i powiedzieć wam, że chociaż ta wojna została wywołana przez Żydów i tylko Żydzi mogą na niej zyskać, w okopach nie ma również Żydów. Piechurzy ze 106 mogą to potwierdzić. Żydzi są zbyt zajęci przeliczaniem towarów i pieniędzy w kwatermistrzostwie albo handlem papierosami i nylonami na czarnym rynku w Paryżu, żeby zbliżyć się do linii frontu bardziej niż na sto mil.

Amerykanie w kraju, rodzice i krewni chłopców z frontu, chcę, żebyście teraz pomyśleli o wszystkich znanych wam Żydach. Pomyślcie dobrze.

A teraz was zapytam: czy wojna ich zubożyła, czy wzbogaciła? Czy jedzą lepiej, czy gorzej od was? Czy nie mają czasem więcej benzyny niż wy?

Z góry znam odpowiedzi na wszystkie te pytania, tak jak i wy je poznacie, jeżeli tylko otworzycie oczy i przez chwilę dobrze się zastanowicie.

I jeszcze jedno pytanie.

Czy znacie choć jedną żydowską rodzinę, która otrzymała telegram z Waszyngtonu, niegdyś stolicy wolnego narodu, czy znacie choć jedną żydowską rodzinę, która otrzymała z Waszyngtonu telegram zaczynający się od słów: „Sekretarz wojny prosił mnie, abym przekazał jego głęboki żal...?”

I tak dalej.

W sumie piętnaście minut Howarda W. Campbella, jr., wolnego Amerykanina, tam w ciemnej piwnicy. Nie chodzi mi o to, żeby pomniejszać swoją hańbę nonszalanckim „i tak dalej”.

Instytut Dokumentacji Zbrodni Wojennych w Hajfie ma nagrania wszystkich audycji Howarda W. Campbella, jr., w komplecie. Jeżeli ktoś zechce przesłuchać te nagrania, zechce wybrać z nich najgorsze rzeczy, jakie powiedziałem, nie mam nic przeciwko temu, żeby dołączyć je do niniejszej relacji jako uzupełnienie.

Nie mogę zaprzeczyć, że je mówiłem. Mogę tylko powiedzieć, że w nie nie wierzyłem, że doskonale wiedziałem, jak idiotyczne, szkodliwe i obrzydliwie żartobliwe są te rzeczy, które mówiłem.

To siedzenie tam w ciemności i słuchanie własnych słów nie było dla mnie jakimś wstrząsającym przeżyciem. Może na sądzie zrobiłoby dobre wrażenie, gdybym powiedział, że oblał mnie zimny pot lub jakąś podobną głupotę. Ale ja zawsze wiedziałem, co robię. Zawsze potrafiłem żyć z tym, co robię. Jak? Dzięki prostemu i tak popularnemu dobrodziejstwu współczesnej ludzkości, jakim jest schizofrenia.

Mimo to w tych ciemnościach wydarzyło się coś, co warto odnotować. Ktoś wsunął mi do kieszeni kartkę i zrobił to z umyślną niezręcznością, żebym poczuł, że mi ją wsunęto.

Kiedy znów zapalono światło, nie potrafiłem się domyślić, kto mógł mi wsunąć tę kartkę.

Wygłosiłem swoją pochwałę Augusta Krapptauera, mówiąc - w co między nami wierzę - że ten rodzaj prawdy, jakiej on był wyznawcą, zawsze będzie towarzyszył ludzkości, jak długo będą ludzie, którzy idą za głosem serca, a nie rozumu.

Otrzymałem gorące brawa od słuchaczy oraz werbel od Czarnego Fuehrera i poszedłem do ustępu przeczytać kartkę.

Była to liniowana kartka wyrwana z małego notesu. Oto co przeczytałem:

„Drzwi do piwnicy z węglem otwarte. Proszę wyjść natychmiast. Czekam w pustym sklepie naprzeciwko. Pilne. Pańskie życie w niebezpieczeństwie. Proszę to połknąć”.

Pod notatką widniał podpis mojej dobrej wróżki, pułkownika Franka Wirtanena.

Rosenfeld...

Mój adwokat tutaj w Jerozolimie, pan Alvin Dobrowitz, powiedział mi, że miałbym wygraną sprawę, gdybym potrafił przedstawić choć jednego świadka, który widział mnie w towarzystwie człowieka znanego mi jako pułkownik Frank Wirtanen.

Z Wirtanenem spotkałem się trzykrotnie: przed wojną, zaraz po wojnie i wreszcie na zapleczu pustego sklepu naprzeciwko rezydencji wielbnego Lionela J.D. Jonesa, doktora teologii i stomatologii. Jedynie podczas pierwszego spotkania, tego na ławce w parku, mógł nas ktoś zobaczyć razem. I ci, którzy nas wtedy widzieli, na pewno nas nie zapamiętali, tak jak nie zapamiętały nas ptaki i wiewiórki.

Po raz drugi widziałem go w Wiesbaden w Niemczech, w jadalni byłej oficerskiej szkoły wojsk inżynieryjnych Wehrmachtu. Na ścianie w tej jadalni był wielki fresk z czołgiem jadącym piękną polną drogą. Na fresku świeciło słońce, niebo było czyste. Ta sielankowa scena miała zostać wkrótce przerwana. W krzakach na pierwszym planie fresku kryła się wesoła mała grupka Robin Hoodów, saperów w stalowych hełmach, których najnowszym żartem było zaminowanie drogi i uzupełnienie szykującej się zabawy działkiem przeciwczołgowym i ręcznym karabinem maszynowym.

Byli wielce rozbawieni.

Skąd się wziąłem w Wiesbaden?

Wyciągnięto mnie 15 kwietnia z obozu jenieckiego Trzeciej Armii koło Ohrdruf, trzy dni po tym, jak schwytał mnie porucznik Bernard B. O'Hare.

Zawieziono mnie do Wiesbaden jepeem pod strażą nie znanego mi z nazwiska porucznika. Nie rozmawialiśmy po drodze. Nie interesowałem go. Przez całą drogę gotował się ze złości na coś, co nie miało żadnego związku ze mną. Został obrażony, zlekceważony, oszukany, spotwarzony, boleśnie dotknięty? Nie wiem.

Tak czy inaczej, nie sądzę, aby na wiele się przydał jako świadek. Wykonywał

polecenie, które go wyraźnie nudziło. Pytał o drogę do obozu, a potem do jadalni. Doprowadził mnie do progu, kazał mi wejść do środka i czekać. I odjechał, zostawiając mnie bez straży.

Wszedłem, choć równie dobrze mogłem pójść sobie w świat.

W opustoszałym wnętrzu siedziała samotnie na stoliku pod freskiem moja dobra wróżka.

Wirtanen był w amerykańskim mundurze: kurtka na zamek błyskawiczny, oliwkowoszare spodnie, koszula rozpięta pod szyją, wojskowe buty. Nie miał broni ani żadnych oznak stopnia lub rodzaju służby.

Był niski, machał nogami, które nie sięgały do podłogi. Miał co najmniej pięćdziesiąt lat, o siedem lat więcej, niż kiedy go widziałem poprzednim razem. Wyłysiał i przytył.

Pułkownik Frank Wirtanen miał nieprzyzwoicie niemowlęco zdrowy wygląd, jaki zwycięstwo i amerykański mundur połowy nadawały tylu starszym mężczyznom.

Rozpromienił się na mój widok, serdecznie uścisnął mi dłoń i powiedział:

- No i co pan powie o tej wojnie, Campbell?

- Wolałbym nie mieć z nią nic wspólnego.

- W każdym razie wyszedł pan z niej cało. Gratuluje. O wielu ludziach nie można tego powiedzieć.

- Wiem - powiedziałem. - Na przykład o mojej żonie.

- Bardzo mi przykro z tego powodu. Dowiedziałem się, że zginęła bez wieści tego samego dnia co pan.

- W jaki sposób?

- Od pana. Była to jedna z informacji, które pan tego dnia przekazał.

Wiadomość, że przekazałem w swojej audycji zaszyfrowaną informację o zaginięciu Helgi, że przekazałem ją, sam o tym nie wiedząc, poruszyła mnie bardziej niż wszystko inne w całej tej aferze. Denerwuje mnie to jeszcze teraz. Sam nie wiem dlaczego.

Chyba trudno mi pogodzić się z myślą, że moje różne osobowości były aż tak od siebie oddzielone.

W tym krytycznym momencie mojego życia, kiedy musiałem dopuścić myśl, że moja Helga nie żyje, chciałbym ją oplakiwać całą niepodzielną duszą. Ale nie. Jedna część mnie mówiła światu o tej tragedii szyfrem. Reszta mnie nawet nie wiedziała, że o tym mówię.

- Czy to była ważna informacja wojskowa? Czy musiałem przekazywać ją z Niemiec, ryzykując głową? - spytałem Wirtanena.

- Oczywiście - powiedział. - Z chwilą, kiedy ją otrzymaliśmy, natychmiast

przystąpiliśmy do akcji.

- Do akcji? - spytałem zdumiony. - Jakiej?

- Poszukiwania kogoś na pana miejsce. Baliśmy się, że popełni pan samobójstwo.

- Powiniennem.

- Ogromnie się cieszę, że pan tego nie zrobił.

- A ja ogromnie żałuję, że tego nie zrobiłem. Można by sądzić, że człowiek, który tyle czasu co ja spędził w teatrze, wie, kiedy bohater powinien umrzeć. Jeżeli ma pozostać bohaterem. - Pstryknąłem palcami. - I tak przepadł cały dramat o Heldze i o mnie, o dwuosobowym państwie. Bo przegapiłem moment wielkiej sceny samobójczej.

- Ja nie mam szacunku dla samobójstwa - powiedział Wirtanen.

- A ja mam szacunek dla formy. Szanuję rzeczy, które mają początek, środek i koniec.

I w miarę możliwości morał.

- Jest szansa, że ona jeszcze żyje.

- Luźny wątek. Bez znaczenia. Sztuka skończona.

- Wspomniał pan o morale - powiedział Wirtanen.

- Gdybym się zabił wtedy, kiedy pan się tego spodziewał, może przyszedłby panu do głowy jakiś morał.

- Musiałbym pomyśleć.

- Nie ma pośpiechu.

- Ja nie jestem przyzwyczajony do tego, żeby rzeczy miały formę... albo morał. Gdyby pan popełnił samobójstwo, powiedziałbym pewnie coś w rodzaju: „Do diabła, i co my teraz zrobimy?” Morał? Jest dość roboty z grzebaniem zmarłych, bez prób wyciągania morału z każdej śmierci. Połowa zabitych nie ma nawet imienia. Może powiedziałbym, że był pan dobrym żołnierzem.

- A byłem?

- Ze wszystkich agentów, którzy byli, że tak powiem, moimi dziećmi, pan tylko wyszedł z wojny na czysto, żywy i do końca pewny. Ostatniej nocy dokonałem małego ponurego rachunku i wyszło mi, że jako agent żywy i kompetentny jest pan jeden na czterdziestu dwóch.

- A co z ludźmi, którzy dostarczali mi informacji?

- Nie żyją. Wszyscy nie żyją. Nawiasem mówiąc, same kobiety. Każda z nich, dopóki nie wpadła, żyła jedynie po to, żeby przekazywać panu informacje. Niech pan tylko o tym pomyśli, Campbell, siedem kobiet, które pan zaspokajał i które zginęły za to, co pan im dawał. I żadna z nich pana nie zdradziła, kiedy została złapana. O tym też niech pan pomyśli.

- Nie mogę powiedzieć, że zapełnił mi pan jakąś delikatną lukę w tematach do przemyślenia. Nie chciałbym pomniejszać pańskiej pozycji jako nauczyciela i filozofa, ale miałem nad czym się zastanawiać i przed naszym radosnym spotkaniem. Co będzie dalej ze mną?

- Już pan znowu zniknął - powiedział Wirtanen. - Trzecia Armia pozbyła się pana, a tu nie będzie żadnego śladu, że pan kiedykolwiek przybył. - Rozłożył ręce. - Gdzie chciałby pan stąd wyjechać i kim chciałby pan być?

- Nie przypuszczam, żeby gdzieś szykowano mi triumfalny powrót.

- Raczej nie.

- Czy wiadomo *coś* o moich rodzicach?

- Z przykrością muszę powiedzieć, że zmarli cztery miesiące temu.

- Oboje?

- Ojciec najpierw, matka dwadzieścia cztery godziny po nim. W obu przypadkach serce.

Popłakałem sobie trochę w związku z tym i potrząsałem głową.

- I nikt im nie powiedział, co ja naprawdę robię? - spytałem.

- Nasza radiostacja w sercu Berlina była ważniejsza niż dobre samopoczucie dwojga starych ludzi.

- Zastanawiam się.

- Ma pan do tego prawo. Ja nie.

- Ilu ludzi wiedziało, co ja robię?

- Te dobre rzeczy czy te złe?

- Te dobre.

- Trzech.

- To wszystko?

- To dużo. Za dużo, prawdę mówiąc. Byłem ja, generał Donovan i jeszcze ktoś.

- Trzech ludzi na całym świecie wiedziało, kim jestem naprawdę. A cała reszta... -

Wzruszyłem ramionami.

- Reszta też wiedziała, kim pan jest - rzucił gniewnie.

- To nie byłem ja - powiedziałem zaskoczony tą gwałtownością.

- Ktokolwiek to był, był jednym z najbardziej odrażających skurwysynów pod słońcem.

Byłem zdumiony. Wirtanen mówił to z autentyczną złością.

- Pan mnie za to obwinia? - spytałem. - A jak inaczej mogłem się utrzymać przy

życiu?

- To pańska sprawa. Bardzo niewielu ludzi potrafiłoby ją rozwiązać tak pomyślnie jak pan.

- Myśli pan, że byłem nazistą?

- Oczywiście, że pan był. Żaden odpowiedzialny historyk nie sklasyfikuje pana inaczej. Czy mogę panu zadać jedno pytanie?

- Proszę.

- Gdyby Niemcy wygrały, podbiły świat... - Przerwał i przekrzywił głowę. - Jestem pewien, że pan już wie, jakie jest moje pytanie.

- Jak bym wtedy żył? Co bym czuł? Co bym robił?

- Właśnie. Przy pańskiej wyobraźni musiał się pan nad tym zastanawiać.

- Moja wyobraźnia nie jest już taka, jak kiedyś. Jedną z pierwszych rzeczy, które odkryłem, zostawszy agentem, było, że nie mogę sobie pozwolić na wyobraźnię.

- Nie będzie odpowiedzi na moje pytanie?

- Chwila jest równie dobra jak każda inna, żeby się przekonać, czy zostało nam choć trochę wyobraźni. Niech mi pan da minutę, dwie do namysłu...

- Niech pan bierze, ile pan chce.

I tak przeniosłem się w nakreśloną przez niego sytuację i resztką mojej wyobraźni dała mi gryząco cyniczną odpowiedź.

- Bardzo prawdopodobne - powiedziałem - że zostałem jakimś hitlerowskim nadwornym poetą pisującym optymistyczne rymowane wstępniaki przedrukowywane w gazetach na całym świecie. I w miarę starzenia się, pod wieczór życia, że tak powiem, może nawet sam zacząłbym wierzyć w to, co wypisywałem w tych rymowankach: że wszystko idzie ku lepszemu. - Wzruszyłem ramionami. - Czy zastrzeliłbym kogoś? Wątpię. Czy zorganizowałbym zamach bombowy? To już bardziej możliwe, choć za mojego życia podłożono wiele bomb i nigdy nie nabrałem przekonania do tej formy załatwiania spraw. Jedno tylko mogę panu zagwarantować: nigdy już nie napisałbym sztuki. Tę umiejętność, jaka ona tam była, straciłem na zawsze. Tak naprawdę, to mógłbym dokonać gwałtownych czynów w obronie prawdy lub sprawiedliwości, tylko gdybym dostał amoku - powiedziałem do swojej dobrej wróżki. - To mogłoby się zdarzyć. W sytuacji, którą pan zasugerował, mógłbym nagle w zwykły dzień popędzić w ataku szału spokojną ulicą ze śmiercionośną bronią w ręku. Ale to, czy popełnione przeze mnie morderstwa wpłynęłyby na poprawę świata, byłoby tylko i wyłącznie kwestią przypadku.

- Czy odpowiedziałem na pańskie pytanie wystarczająco szczegółowo?

- Dziękuję, tak.

- Może mnie pan uznać za nazistę - powiedziałem zmęczony. - Może mnie pan powiesić, jeżeli pan uzna, że to podniesie ogólny poziom moralności. Moje życie nie jest wielkim skarbem. Nie mam żadnych planów na po wojnie.

- Chcę tylko, żeby pan zrozumiał, jak niewiele możemy dla pana zrobić. I widzę, że pan to rozumie.

- Jak niewiele? - spytałem.

- Falszywe dokumenty, kilka fałszywych śladów, transport do miejsca, w którym chciałby pan rozpocząć nowe życie. Trochę gotówki. Nie dużo, ale trochę.

- Gotówki? Ciekawe, w jaki sposób obliczono wartość moich usług?

- Sprawa umowna, tradycja sięgająca co najmniej wojny secesyjnej.

- Tak?

- Żołd szeregowca. Na podstawie mojego oświadczenia ma pan do niego prawo za okres od naszego spotkania w Tiergarten do dnia dzisiejszego.

- To bardzo hojnie.

- Hojność niewiele znaczy w tym interesie. Naprawdę dobrzy agenci nie interesują się w ogóle pieniędzmi. Czy miałyby to dla pana jakieś znaczenie, gdybyśmy wypłacili panu zaległy żołd na przykład generała?

- Nie.

- Albo gdybyśmy nic panu nie zapłacili?

- Ani trochę.

- Pieniądze prawie nigdy nie mają tu znaczenia. Ani patriotyzm.

- Więc co?

- Każdy człowiek musi sam sobie odpowiedzieć na to pytanie. Ogólnie biorąc, szpiegostwo daje każdemu szpiegowi okazję do zwariowania w sposób szczególnie dla niego pociągający.

- To ciekawe.

Klasnął w dłonie, żeby zmienić nastrój.

- Pomówmy lepiej o przejeździe - powiedział. - Dokąd?

- Tahiti? - spytałem.

- Jeżeli pan sobie życzy. Ja jednak proponuję Nowy Jork. Tam może się pan zgubić bez problemu i łatwo znaleźć zajęcie, jeżeli pan zechce.

- Niech będzie Nowy Jork.

- A więc zrobmy zdjęcie do paszportu. Najdalej za trzy godziny będzie pan w

samolocie.

Przeszliśmy razem przez opustoszały plac alarmowy, po którym tu i ówdzie krążyły wiry kurzu. Wymyśliłem sobie, że to duchy dawnych kadetów tej szkoły, zabitych na wojnie, które wracają, żeby wirować i tańczyć na placu alarmowym w sposób zupełnie niewojskowy, nareszcie tak, jak im się podoba.

- Kiedy powiedziałem, że tylko trzy osoby wiedziały o pańskich zaszyfrowanych audycjach... - odezwał się Wirtanen.

- To co?

- Nie pytał mnie pan, kto był trzecią osobą.

- Czy to ktoś, o kim słyszałem?

- Tak. Z przykrością muszę powiedzieć, że już nie żyje. Napadał pan na niego systematycznie w swoich audycjach.

- Naprawdę?

- To ten, którego nazywał pan Franklinem Delano Rosenfeldem. Słuchał pana z uciechą co wieczór.

Komunizm podnosi głowę...

Moje trzecie i, jak wszystko na to wskazuje, ostatnie spotkanie z dobrą wróżką odbyło się, jak już wspomniałem, w pustym sklepie naprzeciwko domu Jonesa, w którym Resi, George Kraft i ja znaleźliśmy schronienie.

Nie spieszyłem się z wejściem do tego ciemnego wnętrza, spodziewając się nie bez powodu wszystkiego: od poczty sztandarowego Legionu Amerykańskiego do plutonu izraelskich spadochroniarzy.

Miałem przy sobie pistolet, jeden z lugerów Żelaznej Gwardii przerobionych na mały kaliber. Miałem go nie w kieszeni, ale w ręku, nabity i odbezpieczony. Obejrzałem z ukrycia front sklepu. Było tam ciemno. Potem krótkimi skokami, kryjąc się za kubłami śmieci, zbliżyłem się do sklepu od tyłu.

Każdy, kto chciałby mnie zaskoczyć, zaskoczyć Howarda W. Campbella, jr., zostałby drobno podziurawiony jak przez maszynę do szycia. I muszę powiedzieć, że polubiłem piechotę, piechotę w ogóle, niezależnie od kraju, przez tę serię skoków i krycia się.

Myślę, że człowiek jest zwierzęciem piechotnym.

Na zapleczu sklepu paliło się światło. Zajrzałem przez okno i zobaczyłem pogodny obrazek. Pułkownik Frank Wirtanen, moja dobra wróżka, siedział znowu na stole, znowu na mnie czekał.

Był teraz bardzo starym człowiekiem, gładkim i łysym jak Budda.

Wszedłem do środka.

- Byłem przekonany, że jest pan już na emeryturze - powiedziałem.

- Jestem na emeryturze od ośmiu lat. Zbudowałem sobie dom nad jeziorem w Maine własnymi rękami, piłą i siekierą. Zostałem odwołany z emerytury jako ekspert.

- Od czego?

- Od pana.

- Skąd to nagle zainteresowanie moją osobą?
- Tego właśnie mam się dowiedzieć.
- To chyba jasne, dlaczego Izraelczycy się mną interesują.
- Jasne. Ale jest dla nas tajemnicą, dlaczego Rosjanie uważają pana za tak łakomy kąsek.
- Rosjanie? - spytałem. - Jacy znów Rosjanie?
- Dziewczyna, Resi Noth, i ten stary malarz występujący jako George Kraft - powiedział Wirtanen. - Oboje są komunistycznymi agentami. Obserwujemy tego rzekomego Krafta od 1941 roku. Pozwoliliśmy dziewczynie wjechać do kraju, żeby się dowiedzieć, co ona chce zrobić.

Alles kaput...

Usiadłem załamany na jakiejś skrzynce.

- Za pomocą kilku trafnie dobranych słów zniszczył pan moje życie - powiedziałem. -

O ileż uboższy jestem teraz niż minutę temu.

Przyjaciół, marzenie i ukochana kobieta - *alles kaput*.

- Przyjaciółka ma pan nadal - powiedział Wirtanen.

- Co pan ma na myśli?

- On jest taki sam jak pan. Może być wieloma ludźmi jednocześnie i wszystkimi szczerze. - Uśmiechnął się. - To jest talent.

- Jakie on miał plany co do mnie? - spytałem.

- Chciał uniemożliwić panu pobyt w tym kraju i przetransportować pana gdzieś za granicę, skąd porwanie pana nie pociągałoby za sobą większych komplikacji międzynarodowych. To on zawiadomił Jonesa, kim pan jest i gdzie pan mieszka, to on podburzył O'Hare i innych patriotów przeciwko panu, a wszystko po to, żeby zmusić pana do wyjazdu.

- Meksyk to było marzenie, którym mnie zaraził.

- Wiem. W Mexico City czeka na pana samolot. Gdyby pan tam poleciał, nie spędziłby pan na ziemi nawet dwóch minut. Natychmiast wystartowałby pan do Moskwy najnowszym odrzutowcem, na koszt firmy.

- Czy doktor Jones też w tym maczał palce?

- Nie, on działał w najlepszej wierze. Jest jednym z niewielu ludzi, którym może pan ufać.

- Po co im byłem potrzebny w Moskwie? Czego Rosjanie mogą chcieć ode mnie, zmurszałego niedobitka z drugiej wojny światowej?

- Chcą pana przedstawić światu jako okazowy egzemplarz faszysty, jednego z tych

zbrodniarzy wojennych, którym nasz kraj udziela schronienia. Mają również nadzieję, że opowie pan o wszelkiego rodzaju powiązaniach między Ameryką a hitlerowcami w początkach reżymu nazistowskiego.

- Dlaczego miałbym coś takiego wygadywać? Czym chcieli mnie do tego zmusić?

- To proste i oczywiste.

- Tortury?

- Raczej nie. Tylko śmierć.

- Nie boję się śmierci.

- To nie chodziłoby o pańską śmierć.

- A o czyją?

- Kobiety, którą pan kocha i która kocha pana - powiedział Wirtanen. - W razie gdyby pan nie wykazywał chęci współpracy, śmierć czekałaby małą Resi Noth.

Czterdzieści rubli ekstra...

- Jej zadaniem było rozkochać mnie w sobie?
- Tak.
- Wykonała je bardzo dobrze - powiedziałem ze smutkiem. - Co wcale nie było trudne.
- Przykro mi, że przynoszę panu takie wiadomości.
- To wyjaśnia kilka tajemnic, co nie znaczy, że mi zależało na ich wyjaśnianiu. Czy wie pan, co ona miała w walizce?
- Pańskie dzieła zebrane.
- To pan też wiedział? Pomyśleć, że zadali sobie tyle trudu, żeby zaopatrzyć ją w takie rekwizyty! Skąd wiedzieli, gdzie szukać tych maszynopisów?
- One nie znajdowały się w Berlinie. Były pod dobrą opieką w Moskwie.
- Jak się tam znalazły?
- Stanowiły koronny dowód w procesie Stiepana Bodowskowa.
- Kto to był?
- Stiepan Bodowskow był kapralem, tłumaczem w oddziałach rosyjskich, które pierwsze wkroczyły do Berlina. W magazynach teatru znalazł kufer z pańskimi dziełami. Zabrał ten kufer jako łup wojenny.
- Też mi łup.
- Okazało się, że był to znakomity łup. Bodowskow dobrze znał niemiecki. Przejrzał zawartość kufra i uznał, że ma w ręku błyskawiczną karierę. Zaczął skromnie, przetłumaczył kilka pana wierszy i wysłał je do czasopisma literackiego. Zostały wydrukowane i pochwalone. Następnie Bodowskow spróbował ze sztuką.
- Z którą?
- Z *Kielichem* - powiedział Wirtanen. - Bodowskow przetłumaczył ją na rosyjski i miał daczę nad Morzem Czarnym, zanim zdążono zdjąć ostatnie worki z piaskiem z okien

Kremla.

- Czy sztuka została wystawiona?

- Nie tylko ją wystawiono, ale jest wystawiana do dzisiaj w teatrach amatorskich i zawodowych. *Kielich* jest przebojem współczesnego teatru rosyjskiego. Jest pan bardziej żywy, niż pan podejrzewał, Campbell.

- Moja prawda żyje i zwycięża - mruknąłem.

- Słucham?

- Nie potrafiłbym nawet streścić panu fabuły tego *Kielicha*.

Wobec tego Wirtanen streścił ją mnie.

- Oszałamiająco czysta dziewica strzeże świętego Graala. Odda go tylko rycerzowi, który będzie równie czysty jak ona. Taki rycerz przybywa i dostaje świętego Graala. Zdobywając Graala, sprawia, że dziewczyna zakochuje się w nim, a on w niej. Czy naprawdę muszę panu, autorowi, opowiadać resztę?

- To jest tak, jakby Bodowskow rzeczywiście napisał tę sztukę, jakbym słyszał o niej po raz pierwszy.

- Rycerz i dziewczyna - podjął Wirtanen - zaczynają mieć nieskromne myśli, wkraczają mimo woli na drogę, która uniemożliwi im jakikolwiek kontakt z Graalem. Bohaterka namawia bohatera, żeby uciekał z Graalem, zanim stanie się go niegodny. Bohater ślubuje odjechać bez Graala, zostawiając bohaterkę w czystości, aby mogła go nadal strzec. Bohater podejmuje decyzję za nich oboje, gdyż oboje zgrzeszyli myślą. Święty Graal znika. Zaskoczeni niepodważalnym dowodem swojej deprawacji, zakochani przypieczętują potępienie nocą miłości. Następnego ranka, przekonani, że czeka ich ogień piekielny, obiecują dać sobie nawzajem tyle szczęścia, że ogień piekielny będzie za nie niską ceną. Wówczas pojawia się przed nimi święty Graal, świadcząc, że Niebo nie pogardza taką miłością jak ich. I potem Graal znika znowu, tym razem na zawsze, a para bohaterów żyje drugo i szczęśliwie.

- Mój Boże, czy ja rzeczywiście coś takiego napisałem?

- Stalin był tym zachwycony - powiedział Wirtanen.

- A inne sztuki?

- Wszystkie wystawione, wszystkie dobrze przyjęte.

- Ale *Kielich* był największym sukcesem Bodowskowa?

- Największym sukcesem była książka.

- Bodowskow napisał książkę?

- Pan napisał książkę.

- Nigdy nie napisałem książki.

- A *Pamiętnik monogamicznego Casanovy*? - spytał Wirtanen.

- To była rzecz nie do publikowania!

- Pewne wydawnictwo w Budapeszcie będzie zdumione, kiedy się o tym dowie. Zdaje się, że wydali tego coś około pół miliona egzemplarzy.

- I komuniści pozwolili na wydrukowanie czegoś takiego oficjalnie?

- *Pamiętnik monogamicznego Casanovy* to interesujący przyczynek do historii Rosji. Nie mógł uzyskać oficjalnie zgody na publikację, a jednocześnie był to taki pociągający, dziwnie moralny kawałek pornografii, tak idealny dla narodu cierpiącego na brak wszystkiego prócz kobiet i mężczyzn, że drukarnia w Budapeszcie została zachęcona do rozpoczęcia druku i jak dotąd nie otrzymała polecenia, żeby przestać. - Wirtanen puścił do mnie oko. - Jednym z niewielu filuternych, żartobliwych i nieszkodliwych przestępstw, jakie Rosjanin może popełnić bez większego ryzyka, jest przemycenie do kraju egzemplarza *Pamiętnika monogamicznego Casanovy*. I dla kogo on to przemyca? Komu pokaże ten nielegalny druk? Temu wypróbowanemu staremu kumplowi, swojej żonie.

- Przez lata - mówił Wirtanen - istniało tylko rosyjskie wydanie. Teraz książka jest dostępna po węgiersku, rumuńsku, łotewsku, estońsku i, co najpiękniejsze, również po niemiecku.

- I Bodowskow jest wymieniony jako autor?

- Wszyscy wiedzą, że autorem jest Bodowskow, choć na książce nie ma nazwiska autora. Wydawca, autor i ilustrator są oficjalnie anonimowi.

- Ilustrator? - spytałem zraniony myślą o obrazkach przedstawiających Helgę i mnie w sytuacjach łóżkowych.

- Czternaście kolorowych plansz - powiedział Wirtanen - czterdzieści rubli ekstra.

Wszystko oprócz kwiku...

- Gdyby chociaż nie dawali ilustracji! - powiedziałem z gniewem do Wirtanena.
- Czy to takie ważne?
- To okaleczenie! Ilustracje muszą kaleczyć tekst. On nie miał być ilustrowany! Z ilustracjami to nie jest już ten sam tekst!

Wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że nie ma pan na to żadnego wpływu. Chyba że chce pan wypowiedzieć wojnę Rosji.

Przymknąłem oczy, uznając swoją bezsilność.

- Wie pan, co się mówi w rzeźniach Chicago na temat świni? - spytałem.

- Nie wiem.

- Chwalą się, że wykorzystują ze świni wszystko prócz kwiku. Ja się teraz czuję jak świnia, którą rozebrano na sztuki, a eksperci znaleźli zastosowanie dla każdego kawałka. Jak Boga kocham, myślę, że wykorzystali nawet mój kwik! Ta część mnie, która chciała głosić prawdę, została przerobiona na wytrawnego łgarza! Kochanek został zmieniony w pornografa! Piękno zostało przekształcone w brzydotę, jaką świat nieczęsto miał okazję oglądać!

- Nawet moje najdroższe wspomnienia zostały teraz przerobione na pokarm dla kotów, klej i wątrobiankę!

- Jakie to wspomnienia? - spytał Wirtanen.

- O Heldze, mojej Heldze - powiedziałem i zapłakałem. - Resi ją zabiła w interesie Związku Sowieckiego. Przez nią zdradziłem te wspomnienia i one nigdy już nie będą takie same. - Otworzyłem oczy. - Pierdolę to wszystko - powiedziałem cicho. - Myślę, że te świni i ja powinniśmy czuć się zaszczytni, iż udowodniono naszą pożyteczność. Z jednego jestem zadowolony.

- Ciekawe, z czego.

- Cieszy mnie ten Bodowski. Cieszę się, że ktoś żył jak artysta z tego, co ja pozostawiłem. Mówił pan, że on był aresztowany i sądzony?

- I rozstrzelany - powiedział Wirtanen.

- Za plagiat?

- Nie, za oryginalność. Plagiat jest śmiesznym wykroczeniem. Cóż złego może być w pisaniu czegoś, co już raz zostało napisane? To prawdziwa oryginalność jest zbrodnią, często wymagającą okrutnej i niezwyklej kary przed ostatecznym *coup de grace*.

- Nie rozumiem.

- Pański przyjaciel Kraft-Potapow dowiedział się, że pan jest autorem wielu utworów, do których przyznaje się Bodowski, i doniósł o tym do Moskwy. Zrobiono rewizję w willi Bodowskova. Pod słomą w stajni znaleziono czarodziejski kufer z pańskimi pracami.

- No i co?

- Bodowski zaczął uzupełniać kufer swoimi własnymi płodami. Policja znalazła liczącą dwa tysiące stron satyrę na Armię Czerwoną, w stylu wyraźnie nie-Bodowskim. Za to nie-Bodowskie zachowanie Bodowski został rozstrzelany.

- Ale dość już o przeszłości! - powiedział Wirtanen. - Niech pan słucha, co mam do powiedzenia na temat przyszłości. Za około pół godziny - powiedział, spoglądając na zegarek - do domu Jonesa wkroczy policja. Dom jest otoczony już teraz. Chciałem pana stamtąd wydostać, bo i bez pana będzie tam wystarczający galimatias.

- Dokąd mam pójść?

- Niech pan nie wraca do mieszkania. Patrioci zdemolowali je całkowicie i prawdopodobnie to samo zrobią z panem, jeżeli pana tam przyłapią.

- Co się stanie z Resi?

- Deportacja i nic więcej. Nie popełniła żadnych przestępstw.

- A Kraft?

- Przyzwoita długa odsiadka. Nic strasznego. Myślę, że i tak woli iść do więzienia, niż wracać do kraju.

- Wielebny Lionel J.D.Jones, doktor stomatologii, doktor teologii wróci do więzienia za nielegalne posiadanie broni i co tam jeszcze z czysto kryminalnych spraw potrafimy do niego przyczepić. Nic nie jest planowane dla ojca Keeleya, przypuszczam więc, że znów stoczy się do rysztoła. Czarny Fuehrer też zostanie puszczony samopas.

- A Żelazna. Gwardia?

- Żelazni Gwardziści wysłuchają sugestywnego wykładu na temat nielegalności w tym

kraju prywatnych armii, morderstw, pogromów, zamieszek ulicznych, zdrady i obalania rządu siłą. Potem zostaną odesłani do domów, żeby podksztalcili swoich rodziców, jeżeli taka rzecz jest w ogóle możliwa.

Znowu spojrzął na zegarek.

- Niech pan już lepiej idzie, oddali się z okolicy.

- Czy mogę spytać, kto jest pańskim człowiekiem w domu Jonesa?

- Może pan spytać, ale chyba pan wie, że panu nie powiem.

- Czy do tego stopnia nie ma pan do mnie zaufania? - spytałem.

- Jakże mógłbym mieć zaufanie do kogoś, kto był tak dobrym agentem jak pan? - powiedział Wirtanen.

Dość tej huśtawki...

Rozstałem się z Wirtanenem.

Ale już po kilku krokach zrozumiałem, że tak naprawdę to chcę znaleźć się z powrotem w piwnicy Jonesa w towarzystwie kochanki i najlepszego przyjaciela.

Nie miałem co do nich złudzeń, ale nic innego w życiu nie miałem.

Wróciłem tą samą drogą, którą wyszedłem, przez piwnicę z węglem.

Resi, ojciec Keeley i Czarny Fuehrer grali w karty.

Nikt nie zauważył mojego zniknięcia.

Żelazna Gwardia Białych Synów Amerykańskiej Konstytucji ćwiczyła w kotłowni oddawanie honorów sztandarowi pod kierunkiem jednego z chłopców.

Jones poszedł na górę pisać, zająć się pracą twórczą.

Kraft, rosyjski superszpieg, czytał „Life” z portretem Wenera von Brauna na okładce. Pismo miał otwarte na środkowej rozkładówce przedstawiającej bagienny krajobraz w epoce gadów.

Grało małe radio. Zapowiedziano piosenkę. Tytuł tej piosenki utkwił mi w pamięci. Nie ma w tym żadnego cudu z absolutną pamięcią. Po prostu ten tytuł pasował do danego momentu. Właściwie zresztą pewnie do każdego momentu. Brzmiał: *Dość tej huśtawki*.

Na moje *żądanie* Instytut Dokumentacji Zbrodni Wojennych w Hajfie odnalazł dla mnie słowa tej piosenki. Oto one:

*Ej, mała, mała, mała,
Jak ty mnie męczysz, szkoda słów,
Tobys na zawsze chciała,
To mi uciekasz znów.
We łbie mi buczy,*

*Dość mam tych sztuczek,
Za nos mnie wodzisz, że aż hej!
Śmiejesz się, kłamiesz,
Serce mi ranisz,
Dość tej huśtawki, na dół zejź!*

- W co gracie? - spytałem.

- W „starą pannę” - powiedział ojciec Keeley. Podchodził do gry z powagą. Chciał wygrać i zobaczyłem, że ma w ręku damę pik, czyli „starą pannę”.

Mógłbym pewnie w tym miejscu przedstawić się w bardziej ludzkim, a więc i w bardziej sympatycznym świetle, gdybym oświadczył, że czułem świerzbienie, mrugałem i mało nie mdlałem z poczucia nierzeczywistości.

Przykro mi, ale tak nie było.

Przyznaję się do okropnej luki w moim charakterze. Wszystko, co widzę, słyszę, czuję, smakuję lub wącham, jest dla mnie rzeczywiste. Jestem do tego stopnia łatwowierną igraszką swoich zmysłów, że nie ma dla mnie nic nierzeczywistego. Ta niezłomna łatwowność nie odstępowała mnie nawet, kiedy byłem bity po głowie, pijany, uczestniczyłem w dziwacznej przygodzie, której nie ma potrzeby tu relacjonować, nawet pod działaniem kokainy.

Kraft pokazał mi tam, w piwnicy Jonesa, zdjęcie von Brauna na okładce „Life’u” i spytał mnie, czy go znałem.

- Von Brauna? - spytałem. - Tomasza Jeffersona epoki kosmicznej? Baron tańczył kiedyś z moją żoną w Hamburgu na urodzinowym przyjęciu u generała Waltera Dornbergera.

- Czy dobrze tańczył?

- Jak Myszka Miki. Tak jak wszyscy wielcy naziści, kiedy musieli tańczyć.

- Czy myślisz, że poznałbyś go dzisiaj?

- Wiem, że on by mnie poznał. Natknąłem się na niego jakiś miesiąc temu na Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy i zawołał mnie po imieniu. Był bardzo zaszokowany, widząc mnie w takim opuszczeniu. Powiedział, że zna wielu ludzi ze świata reklamy, i zaoferował się, że porozmawia w sprawie pracy dla mnie.

- Byłoby to dla ciebie odpowiednie zajęcie.

- Rzeczywiście nie mam jakichś zdecydowanych przekonań, które utrudniałyby mi głoszenie prawd zamówionych przez klienta.

Gra w „starą pannę” dobiegła końca i ojciec Keeley, sam żalosna stara panna, został z

dama pikową.

- No cóż - powiedział Keeley, jakby nieraz wygrywał w przeszłości, jakby wciąż miał przed sobą obiecującą przyszłość - nie można stale wygrywać.

I poszedł z Czarnym Fuehrerem na górę, zatrzymując się co kilka stopni, żeby liczyć do dwudziestu.

Resi, Kraft-Potapow i ja zostaliśmy sami.

Resi podeszła, objęła mnie w pół i przytuliła twarz do mojej piersi.

- Pomyśl tylko, kochanie... - zaczęła.

- Tak?

- Jutro będziemy w Meksyku.

- Uhum - mruknąłem.

- Wyglądasz na zmartwionego.

- Ja zmartwiony?

- Coś cię gnębi?

- Czy wyglądam na zgnębionego? - zwróciłem się do Krafta, który znowu studiował krajobraz bagien.

- Nie - powiedział.

- To moje normalne, codzienne oblicze.

Kraft pokazał nam pterodaktyla szybującego nad bagnami.

- Kto by pomyślał, że takie coś mogło latać - rzucił.

- Kto by pomyślał, że taki zgrzybiały stary przyk jak ja zdobędzie serce pięknej kobiety i będzie miał tak utalentowanego i lojalnego przyjaciela na dodatek.

- Kochać ciebie to dla mnie nic trudnego - powiedziała Resi - bo zawsze cię kochałam.

- Tak sobie tylko myślę...

- Powiedz mi, co myślałeś.

- Może Meksyk to niezupełnie to, o co nam chodzi.

- Zawsze możemy stamtąd pojechać dalej - wtrącił Kraft.

- Może tam na lotnisku w Mexico City - ciągnąłem - moglibyśmy wsiąść do odrzutowca i polecieć...

Kraft odłożył czasopismo.

- Dokąd? - spytał.

- Nie wiem - powiedziałem. - Po prostu polecieć dokądś bardzo szybko. Myślę, że pociąga mnie sama idea ruchu. Zbyt długo siedziałem w jednym miejscu.

- Hm - mruknął Kraft.

- Może do Moskwy - powiedziałem.
- Co? - spytał Kraft, nie wierząc własnym uszom.
- Do Moskwy - powtórzyłem. - Zawsze chciałem zobaczyć Moskwę.
- To coś nowego - powiedział Kraft.
- Nie podoba ci się ten pomysł?
- Ja... będę musiał się zastanowić.

Resi chciała się ode mnie odsunąć, ale ją przytrzymałem.

- Ty się też nad tym zastanów - powiedziałem do niej.
- Jeżeli sobie życzysz - odpowiedziała niepewnym głosem.
- Na Boga! - zawołałem i potrząsnąłem nią, żeby ją wyrwać z odrętwienia. - Im dłużej o tym myślę, tym bardziej mi się to podoba. Wystarczyłoby mi w zupełności, gdybyśmy spędzili w Mexico City nie dłużej niż dwie minuty między samolotami.

Kraft wstał, wykonując nerwowe ruchy palcami.

- Czy to ma być żart? - spytał.
- A jak sądzisz? Taki stary przyjaciel jak ty powinien wiedzieć, czy to są żarty czy nie.
- Myślę, że żartujesz. Co by cię mogło interesować w Moskwie?
- Spróbowałbym odnaleźć pewnego starego znajomego.
- Nie wiedziałem, że masz znajomych w Moskwie.
- Nie wiem, czy on jest w Moskwie, po prostu gdzieś w Rosji. Musiałbym popytać.
- Jak on się nazywa? - spytał Kraft.
- Stiepan Bodowskow, pisarz.
- Ach tak - mruknął Kraft, po czym usiadł z powrotem i wziął do ręki pismo.
- Słyszałeś kiedyś o nim? - spytałem.
- Nie.
- A o pułkowniku łonie Potapowie?

Resi odskoczyła ode mnie, przywarła plecami do najdalszej ściany.

- Znasz Potapowa? - zwróciłem się do niej.
- Nie.
- A ty? - spytałem Krafta.
- Nie. Może mi o nim opowiesz coś bliższego?
- Jest komunistycznym agentem - powiedziałem. - Chce mnie wywieźć do Meksyku, skąd mam być porwany i przewieziony do Moskwy na proces.
- Nieprawda! - zawołała Resi.
- Zamknij się! - powiedział do niej Kraft. Wstał i odrzucił czasopismo. Sięgnął do

kieszoni po mały pistolet, ale ja pierwszy wymierzyłem do niego z luga.

Kazałem mu rzucić pistolet na podłogę.

- Coś takiego - powiedział tonem zdziwienia, jakby był przypadkowym widzem, - Kowboje i Indianie.

- Howardzie... - zaczęła Resi.

- Ani słowa - ostrzegł ją Kraft.

- Kochanie - mówiła Resi przez łzy - nasze marzenie o Meksyku... myślałam, że to się naprawdę spełni. Mieliśmy uciec wszyscy! - Rozłożyła ramiona. - Jutro... - szepnęła. - Jutro... - powtórzyła.

A potem zbliżyła się do Krafta, jakby mu chciała wydrapać oczy. Ale w jej ramionach nie było siły.

- Mieliśmy wszyscy rozpocząć nowe życie - powiedziała do niego drżącym głosem. - Ty też, ty też. Czy sam tego nie chciałeś? Jak mogłeś z takim zapalem mówić o naszym nowym życiu, jeżeli sam go nie pragnąłeś?

Kraft nie odpowiadał.

Resi odwróciła się do mnie.

- Tak, jestem komunistyczną agentką. I on też. To jest pułkownik Iona Potapow. I kazano nam przewieźć cię do Moskwy. Ale ja bym tego nie zrobiła, bo cię kocham, bo miłość, jaką mi dałeś, była jedyną miłością, jakiej zaznałam w życiu.

- Mówiłam ci, że tego nie zrobię, prawda? - zwróciła się do Krafta.

- Mówiła mi - potwierdził Kraft.

- I on zgodził się ze mną - powiedziała Resi. - I wymyślił ten Meksyk, gdzie wszyscy moglibyśmy wyrwać się z pułapki i żyć w spokoju.

- Jak się dowiedziałeś? - spytał Kraft.

- Amerykańscy agenci mieli was na oku od samego początku - powiedziałem. - Dom jest otoczony. Jesteście ugotowani.

Ech, słodka tajemnica życia...

O najściu policji...

O Resi Noth...

O tym, jak umarła...

O tym, jak umarła na moich rękach tam, w piwnicy wielebnego Lionela J.D. Jonesa, doktora stomatologii, doktora teologii.

Było to coś całkowicie nieoczekiwanego.

Resi robiła wrażenie takiej zwolenniczki życia, osoby tak stworzonej do życia... Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że może wybrać śmierć.

Byłem do tego stopnia przeniknięty stereotypami albo pozbawiony wyobraźni - możecie wybrać - aby uważać, że dziewczyna tak piękna, młoda i inteligentna będzie miała zawsze ciekawe życie, niezależnie od tego, dokąd zaprowadzi ją los i polityka. Poza tym, jak jej powiedziałem, nie czekało jej nic gorszego niż deportacja.

- Nic gorszego? - spytała.

- To wszystko. Wątpię, czy nawet będziesz musiała płacić za przejazd.

- Nie będzie ci żal, że wyjeżdżam?

- Jasne, że będzie mi żal. Ale nie mogę zrobić nic, żeby cię zatrzymać. Lada chwila wejdzie tu policja. Nie spodziewasz się chyba, że będę z nimi walczyć?

- Nie będziesz z nimi walczył?

- Jasne, że nie. Jakie miałbym z nimi szanse?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Chcesz powiedzieć, dlaczego nie zginę w obronie miłości jak rycerz ze sztuki Howarda W. Campbella, jr.?

- Właśnie tak. Dlaczego nie mamy umrzeć razem, właśnie tutaj i teraz?

Roześmiałem się.

- Resi, kochanie, masz przed sobą bogate życie.

- Mam bogate życie za sobą, całe w tych niewielu słodkich chwilach spędzonych z tobą.

- To brzmi jak zdanie, które ja sam mógłbym napisać jako młody człowiek.

- Bo to jest zdanie, które napisałeś jako młody człowiek.

- Jako głupi młody człowiek.

- Ja kocham tego młodego człowieka.

- Kiedy go pokochałaś? Jako dziecko?

- Jako dziecko, a potem jako kobieta. Kiedy dano mi wszystko to, co napisałeś, i kazano mi czytać. Wtedy pokochałam cię jako kobieta.

- Przykro mi, ale nie mogę ci pogratulować literackiego gustu.

- Nie wierzysz już, że miłość jest jedyną rzeczą, dla której warto żyć?

- Nie.

- To powiedz mi, po co w ogóle warto żyć? - spytała błagalnie. - To nie musi być miłość. Wszystko jedno co! - Pokazała nędzne otoczenie, podkreślając dramatycznie swój własny obraz świata jako składu rupieci. - Gotowa jestem żyć dla tego krzesła, obrazu, rury od pieca, kanapy, tej rysy na ścianie! Powiedz mi, że mam dla tego żyć, i będę dla tego żyć! - krzyknęła.

Teraz jej bezsilne ręce spoczęły na mnie. Oczy miała zamknięte, płakała.

- To nie musi być miłość - szepnęła. - Powiedz mi tylko, co to ma być.

- Resi... - zacząłem łagodnie.

- Powiedz mi! - krzyknęła i jej ręce, które odzyskały siłę, z czułą gwałtownością szarpały moje ubranie.

- Jestem starym człowiekiem - powiedziałem bezradnie. Był to tchórzliwy wykręt. Nie jestem starym człowiekiem.

- No dobrze, stary człowieku, powiedz mi, po co mam żyć. Powiedz mi, po co ty żyjesz, żebym ja też mogła po to żyć, tutaj albo dziesięć tysięcy kilometrów stąd! Powiedz mi, dlaczego chce ci się żyć, żebym ja też chciała żyć!

I w tym momencie wpadła policja.

Przedstawiciele porządku i prawa wdarli się wszystkimi drzwiami, wymachując rewolwerami, dmąc w gwizdki, świecąc oślepiającymi latarkami w pomieszczeniu, gdzie i tak było dość jasno.

Stanowili całą małą armię i witali okrzykami wszystkie operetkowe diabelskie akcesoria zgromadzone w piwnicy. Pokrzykiwali jak dzieci wpuszczone do pokoju z choinką.

Tuzin z nich, wszyscy młodzi, rumiani i cnotliwi, otoczyło Resi, Krafra-Potapowa i mnie, odebrali mi lugera i obmacali nas, bezwładnych jak szmaciane lalki, w poszukiwaniu broni.

Dalsi uczestnicy obławy ukazali się na schodach, popychając przed sobą wielbego doktora Lionela J.D. Jonesa, Czarnego Fuehrera i ojca Keeleya.

Doktor Jones zatrzymał się w połowie schodów i zwrócił się do swoich prześladowców.

- Robiłem tylko to - powiedział majestatycznie - co wy powinniście robić.

- A co my powinniśmy robić? - spytał człowiek wyglądający na agenta FBI. Widać było, że to on dowodzi obławą.

- Bronić Republiki - powiedział Jones. - Dlaczego nas prześladowacie? Staramy się tylko uczynić nasz kraj silniejszym! Połączcie się z nami i zajmijmy się ludźmi, którzy chcą nas osłabić!

- To znaczy kim? - spytał agent FBI.

- Czy muszę wam to mówić? - odpowiedział pytaniem Jones. - Czy nie odkryliście tego sami w swojej pracy? Żydami! Katolikami! Murzynami! Azjatami! Unitarianami! Świeżymi imigrantami, którzy nie mają pojęcia o demokracji, którzy idą na pasku socjalistów, komunistów, anarchistów, Antychrysta i Żydów!

- Dla pańskiej informacji - powiedział agent FBI z chłodnym triumfem - jestem Żydem.

- To tylko dowodzi słuszności tego, co mówiłem!

- W jaki sposób?

- Żydzi wciskają się wszędzie! - powiedział Jones, uśmiechając się z miną niepokonanego logika.

- Mówi pan o katolikach i Murzynach - powiedział człowiek z FBI - a występuje pan tu w najlepszej komitywie z katolikiem i Żydem.

- Co w tym dziwnego?

- Czy ich pan nie nienawidzi?

- Oczywiście, że nie - powiedział Jones. - Wszyscy wierzymy w te same podstawowe prawdy.

- Ciekawe jakie? - spytał agent.

- Że nasz dumny niegdyś kraj wpada w ręce złych ludzi. - Skinął głową, a w ślad za nim ojciec Keeley i Czarny Fuehrer. - I zanim wróci na właściwe tory, muszą potoczyć się głowy.

Nigdy nie widziałem bardziej pogładowej demonstracji totalitarnego umysłu, umysłu, który można by porównać do systemu kół zębatach, w którym na oślep wypilowano część zębów. Taka szczerbata maszyna do myślenia, napędzana przeciętną albo nawet niższą od przeciętnej osobowością, obraca się z szarpaną, zgrzytliwą, hałaśliwą bezsensownością jakiegoś piekielnego zegara z kukułką.

Głównodowodzący agent doszedł do błędnego wniosku, że tryby w umyśle Jonesa są w ogóle wytarte.

- Pan jest zupełnie zwariowany - powiedział.

Jones nie był zupełnie zwariowany. Zaskakującą rzeczą

w klasycznym umyśle totalitarnym jest to, że każdy tryb, choć uszkodzony, może mieć na swoim obwodzie ciąg nieuszkodzonych zębów, nienagannie utrzymywanych i działających. Stąd diabelski zegar z kukułką chodzi idealnie przez osiem minut i trzydzieści trzy sekundy, potem skacze o czternaście minut do przodu, idealnie odmierza czas przez sześć sekund, skacze o dwie sekundy, chodzi idealnie przez dwie godziny i jedną sekundę, potem skacze o rok.

Tymi brakującymi zębami są oczywiście proste, oczywiste prawdy, najczęściej dostępne i zrozumiałe nawet dla dziesięciolatków.

Świadome spilowywanie części zębów na trybach, uparte obywanie się bez pewnych oczywistych fragmentów informacji... i oto gospodarstwo domowe tak pełne sprzeczności, jak to złożone z Jonesa, ojca Keeleya, Vice-Bundesfuehrera Krapptauera i Czarnego Fuehrera, mogło egzystować we względnej harmonii.

Dzięki temu mój teść mógł łączyć w jednym umyśle obojętność dla niewolnic i miłość do błękitnej wazy.

Dzięki temu Rudolf Hoess, komendant Auschwitz, mógł w obozowych głośnikach przeplatać wspaniałą muzykę wezwaniami po nosicieli trupów...

W ten sposób hitlerowskie Niemcy nie potrafiły dostrzec różnicy między kulturą a wodowstrętem.

Tylko w ten sposób potrafię się zbliżyć do wyjaśnienia kohort, całych narodów wariatów, które oglądałem za swojego życia. Taka próba mechanicznego wyjaśnienia jest u mnie zapewne odbiciem wpływu ojca, którego synem byłem. Jestem. Kiedy się nad tym zastanawiam, co zdarza mi się rzadko, dochodzę do wniosku, że jestem jednak synem inżyniera.

Ponieważ nikt się nie kwapi, żeby mnie pochwalić, zrobię to sam i powiem, że nigdy nie majsterkowałem przy trybach mojej maszyny do myślenia, jaka ona tam jest. Na pewno

brak mi jakichś zębów, Bóg jeden wie, bez niektórych się urodziłem i te nigdy nie wyrosną. Inne zęby zostały starte przez zmiany biegów historii...

Ale nigdy świadomie nie zniszczyłem ani jednego zęba w trybach mojej maszyny do myślenia. Nigdy sobie nie powiedziałem: „Bez tego faktu mogę się obyć”.

Howard W. Campbell, jr., się chwali! Jest jeszcze życie
w tym starym chłopie! A póki jest życie... Póty jest życie.

Resi Noth schodzi ze sceny...

- Jeżeli czegoś żałuję - powiedział doktor Jones do człowieka z FBI - to tego, że mam tylko jedno życie, które mogę oddać za ojczyznę.

- Postaramy się wygrzebać parę innych rzeczy, których będzie pan mógł żałować - powiedział szef operacji.

Teraz przypędzono z kotłowni Żelazną Gwardię Białych Synów Amerykańskiej Konstytucji. Część gwardzistów wpadła w histerię. Paranoja wpajana im od lat przez rodziców nareszcie się sprawdziła. Oto byli prześladowani!

Jeden z młodzieńców dzierżył amerykański sztandar. Wywijał nim, objając orłem na końcu drzewca o rury pod sufitem.

- To jest sztandar waszego kraju! - krzyczał.

- Wiemy o tym - powiedział szef obławy. - Zabierzcie mu to!

- Ten dzień przejdzie do historii! - stwierdził Jones.

- Każdy dzień przechodzi do historii - powiedział szef. - W porządku, gdzie jest ten, który występuje jako George Kraft?

Kraft podniósł rękę. Zrobił to prawie z radością.

- Czy to jest sztandar pańskiego kraju? - spytał go człowiek z FBI złośliwie.

- Musiałbym mu się bliżej przyjrzeć - powiedział Kraft.

- Jak się czuje człowiek, którego długa i błyskotliwa kariera dobiega kresu? - spytał szef.

- Każda kariera ma swój kres - odparł Kraft. - To jest coś, co od dawna wiedziałem.

- Może kiedyś nakręcą film o pańskim życiu - powiedział szef.

Kraft uśmiechnął się.

- Może. Zażądam dużych pieniędzy za prawa autorskie.

- Rzecz w tym, że jest tylko jeden aktor, który mógłby naprawdę zagrać tę rolę -

powiedział szef. - Mogą być trudności z zaangażowaniem go.

- Tak? - powiedział Kraft. - A któż to taki?

- Charlie Chaplin - powiedział szef. - Kto inny mógłby zagrać szpiega, który był bez przerwy pijany od 1941 do 1948 roku? Kto jeszcze mógłby zagrać rosyjskiego szpiega, który stworzył siatkę złożoną prawie wyłącznie z amerykańskich agentów?

Poza Krafta opadła, ukazując go nagle jako bladego i pomarszczonego staruszka.

- To nieprawda! - zawołał.

- Może pan spytać swoich przełożonych, jeśli mi pan nie wierzy - powiedział szef.

- Oni wiedzą? - spytał Kraft.

-■ W końcu się połapali - powiedział szef. - Jechał pan do siebie, żeby dostać kulę w tył głowy.

- Dlaczego mnie uratowaliście? - spytał Kraft.

- Może pan to uważać za sentymentalizm.

Kraft przemyślał swoją sytuację i przyszła mu z pomocą schizofrenia.

- Wszystko to mało mnie obchodzi - powiedział i odzyskał swoją zwykłą pozę.

- Dlaczegoż to? - spytał szef.

- Bo jestem malarzem. To jest dla mnie najważniejsze.

- Niech pan nie zapomni zabrać farb do więzienia - powiedział szef i przeniósł swoją uwagę na Resi. - Pani oczywiście jest Resi Noth? - spytał.

- Tak - przyznała.

- Czy jest pani zadowolona z krótkiego pobytu w naszym kraju?

- Co mam odpowiedzieć? - spytała Resi.

- Co tylko pani chce. Jeżeli ma pani jakieś skargi, przekażę je odpowiednim władzom.

Staramy się zwiększyć napływ turystów z Europy, rozumie pani.

- To bardzo śmieszne - powiedziała bez cienia uśmiechu. - Żałuję, że nie mogę panu nic śmiesznego odpowiedzieć. Dla mnie to nie jest śmieszna chwila.

- Przykro mi to słyszeć - odparł szef lekko.

- Wcale panu nie jest przykro. Ja jestem tu jedyną osobą, której jest przykro. - Przykro mi, że nie mam po co żyć. Jedyne, co mam, to miłość do pewnego mężczyzny, ale on mnie nie kocha. Jest tak wypalony, że nie potrafi już kochać. Nie zostało w nim nic prócz ciekawości i pary oczu.

- Nie potrafię powiedzieć nic zabawnego - powiedziała Resi - ale mogę wam pokazać coś ciekawego.

Wyglądało to, jakby Resi dotknęła palcem warg. W rzeczywistości wsunęła do ust

kapsułkę z cyjankiem.

- Zobaczycie kobietę, która umiera z miłości - powiedziała.

I padła w moje ramiona martwa jak głąz.

40

Znowu na wolności...

Zostałem zatrzymany razem ze wszystkimi. Wypuszczono mnie po niecałej godzinie dzięki, jak sądzę, interwencji mojej dobrej wróżki. Miejsce, w którym mnie tak krótko trzymano, było nie oznakowanym biurem w Empire State Building.

Jakiś agent zwiózł mnie windą na dół, wyprowadził na ulicę i wypuścił w normalny nurt życia. Zrobiłem może pięćdziesiąt kroków chodnikiem i stanąłem jak wryty.

To nie poczucie winy tak mnie sparaliżowało. Nauczyłem się nigdy nie poczuwać do winy.

To nie było obezwładniające poczucie straty. Nauczyłem się niczego nie pożądać.

To nie był lęk przed śmiercią. Nauczyłem się myśleć o śmierci jak o przyjaciółce.

To nie była rozpaczliwa wściekłość na niesprawiedliwość. Nauczyłem się, że człowiek może z równym powodzeniem rozglądać się za diamentową koroną w rynsztoku co za sprawiedliwą karą i nagrodą.

To nie była myśl, że nikt mnie już nie kocha. Nauczyłem się żyć bez miłości.

To nie była myśl, że Bóg jest okrutny. Nauczyłem się niczego od Niego nie oczekiwać.

Sparaliżował mnie fakt, że nie miałem absolutnie powodu, żeby się poruszać w jakimkolwiek kierunku. Jediną rzeczą, która skłaniała mnie do poruszania się przez tyle martwych i bezcelowych lat, była ciekawość.

Teraz nawet ona zgasła.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo tak stałem sparaliżowany.

Jeżeli miałem się jeszcze kiedyś ruszyć, ktoś inny musiał mi dostarczyć powodu.

Znalazł się ktoś taki.

Policjant przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, a potem podszedł i powiedział:

- Czy nic panu nie jest?

- Nie - powiedziałem.
 - Stoi pan tu od dawna.
 - Wiem.
 - Czekają pan na kogoś?
 - Nie.
 - Lepiej niech się pan stąd oddali.
 - Dobrze, proszę pana.
- I oddaliłem się.

41

Chemikalia...

Poszedłem pieszo od Empire State Building do swojego starego domu w Greenwich Village, do starego domu Resi i Krafta.

Przez całą drogę paliłem papierosy i zacząłem się czuć jak robaczek świętojański.

Spotykałem wiele innych robaczków świętojańskich. Czasami ja pierwszy dawałem radosny czerwony sygnał, czasami one. Zostawiałem coraz dalej za sobą morski szum i zorzę polarną centrum miasta.

Zrobiło się późno. Zacząłem odbierać sygnały robaczków świętojańskich uwieczonych na wyższych piętrach.

Gdzieś zawodziła syrena karetki, ta płaczka za pieniądze podatników.

Kiedy doszedłem wreszcie do mojego budynku, do mojego domu, wszystkie okna były ciemne z wyjątkiem jednego na pierwszym piętrze, jednego okna w mieszkaniu młodego doktora Abrahama Epsteina.

On też był robaczkiem świętojańskim.

On świecił, ja odpowiadałem.

Gdzieś ruszył motocykl, co zabrzmiało jak seria fajerwerków.

Czarny kot przeszedł między mną a bramą.

- Ralf? - powiedziałem.

W hallu było ciemno. Lampa pod sufitem nie reagowała na włącznik. Zapaliłem zapalkę i zobaczyłem, że wszystkie skrzynki na listy zostały wypatroszone.

W migotliwym świetle zapalki i bezkształtnym otoczeniu pogięte, wyszczerzone drzwiczki skrzynek na listy mogłyby być drzwiami cel więziennych w jakimś płonącym mieście.

Moja zapalka przyciągnęła uwagę policjanta.

- Co pan tu robi? - spytał.

- Mieszkam tutaj - powiedziałem. - Tu jest mój dom.

- Ma pan dowód tożsamości?

Dałem mu jakąś legitymację i powiedziałem, że mieszkam na poddaszu.

- To pan jest powodem tego całego zamieszania - stwierdził. Nie miał do mnie pretensji. Po prostu był zadowolony.

- Skoro pan tak twierdzi.

- Jestem zdziwiony, że pan wrócił - powiedział.

- Znowu sobie pójdę.

- Nie mogę panu kazać odejść. Jestem tylko zdziwiony, że pan wrócił.

- Czy mogę iść na górę? - spytałem.

- To pański dom - powiedział. - Nikt nie może zabronić panu wstępu do niego.

- Dziękuję.

- Nie musi mi pan dziękować. To jest wolny kraj i wszyscy mają takie same prawa do ochrony. - Powiedział to sympatycznym tonem. Robił mi wykład z wychowania obywatelskiego.

- Tak powinien wyglądać dobrze rządzony kraj - powiedziałem.

- Nie wiem, czy pan sobie żartuje czy nie, ale to prawda.

- Nie żartuję. Daję panu słowo honoru. - Ta prosta przysięga na honor zadowoliła go.

- Mój ojciec zginął na Iwo Jima - oświadczył.

- Bardzo mi przykro - powiedziałem.

- Myślę, że po obu stronach ginęli wartościowi ludzie.

- Sądzę, że to prawda.

- Myśli pan, że będzie jeszcze jedna?

- Nie rozumiem?

- Jeszcze jedna wojna.

- Myślę, że tak.

- Ja też - powiedział. - Czy to nie świństwo?

- Znalazł pan odpowiednie słowo.

- Co może zrobić pojedynczy człowiek?

- Każdy robi coś małego i oto rezultat - powiedziałem.

Westchnął ciężko.

- Wszystko się sumuje. Ludzie sobie z tego nie zdają sprawy. - Pokręcił głową. - Co ludzie powinni robić?

- Przestrzegać prawa - powiedziałem.

- Nawet tego nie chcą robić, przynajmniej połowa z nich. Żeby pan wiedział, na co ja się napatrzę i czego nasłucham. Czasami opadają mi ręce.

- Każdy ma takie chwile.

- Myślę, że to częściowo zależy od chemii.

- Jak to? - spytałem.

- Na przykład nastroje przygnębienia. Podobno teraz stwierdzono, że to głównie wpływy chemikaliów.

- Nie wiem - powiedziałem.

- Czytałem o tym. To jedno z ostatnich odkryć.

- To bardzo ciekawe.

- Mogą dać człowiekowi pewne chemikalia, po których zwariuje. To jedna z rzeczy, nad którymi teraz pracują. Może wszystko zależy od chemikaliów.

- Bardzo możliwe.

- Może ludzie dlatego tak różnie się zachowują w różnych czasach, że w różnych krajach spożywają różne chemikalia.

- Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

- Bo jak inaczej wytłumaczyć, że ludzie tak się zmieniają. Mój brat był w Japonii i mówi, że nigdy nie spotkał sympatyczniejszych ludzi, a przecież Japończycy zabili naszego ojca! Niech pan się nad tym przez chwilę zastanowi.

- Dobrze - powiedziałem.

- To muszą być chemikalia, prawda?

- Rozumiem, co ma pan na myśli.

- Jasne - powiedział. - Niech pan się nad tym jeszcze zastanowi.

- Dobrze - zgodziłem się.

- Ja ciągle myślę o tych chemikaliach. Czasami myślę, że powinienem wrócić do szkoły i dowiedzieć się wszystkiego, co ostatnio odkryto na temat chemikaliów.

- Myślę, że powinien pan to zrobić - powiedziałem.

- Może, kiedy dowiemy się czegoś więcej o związkach chemicznych, nie będą już potrzebni policjanci ani wojny, ani domy wariatów, nie będzie rozwodów, pijaków, młodocianych przestępców ani upadłych kobiet.

- To byłoby niewątpliwie bardzo miłe.

- To jest możliwe.

- Wierzę panu - powiedziałem.

- Sądząc z tego, co teraz robią, wszystko jest możliwe, jeżeli tylko się do tego

zabiorą... Zgromadzą pieniądze, najlepsze umysły i wezmą się do roboty. Muszą zrobić program priorytetowy.

- Jestem za tym - powiedziałem.

- Niech pan tylko popatrzy, jak niektóre kobiety prawie wariują raz w miesiącu. Wyzwalają się pewne związki chemiczne i kobiety nie mogą nic na to poradzić. Czasami jakiś związek chemiczny wyzwoli się po porodzie i matka zabija własne dziecko. Coś takiego zdarzyło się tydzień temu na moim piętrze.

- To okropne - powiedziałem. - Nie wiedziałem.

- To najbardziej nienaturalna rzecz, jaką kobieta może zrobić, a jednak ona to zrobiła. Jakieś związki chemiczne we krwi zmusiły ją do tego, choć wiedziała, że nie powinna tego robić, i wcale nie chciała.

- Tak - mruknąłem.

- Człowiek zastanawia się, dlaczego świat jest taki zły - oznajmił - a tu, proszę, mamy klucz do całej sprawy.

Bez gołębicy i bez przymierza...

Poszedłem na górę, na moje zaszczurzone poddasze, poszedłem dębowo-gipsowym ślimakiem klatki schodowej.

Podczas gdy dawniej słup powietrza otoczony schodami niósł w sobie melancholijny ładunek pyłu węglowego, zapachów kuchennych i potu instalacji wodnych, teraz powietrze było czyste i rześkie. Wszystkie szyby w moim mieszkaniu zostały wybite. Wszystkie ciepłe gazy zostały wysane z klatki schodowej przez moje okna jak przez komin.

Ten nastrój starego, zatęchłego budynku nagle otwartego na oścież, zakażonej atmosfery przekłutej i oczyszczonej nie był mi obcy. Znałem go z Berlina. Helga i ja byliśmy dwukrotnie zbombardowani. W obu wypadkach schody ocalały.

Za pierwszym razem weszliśmy po schodach do pozbawionego dachu i okien domu, poza tym cudem nienaruszonego. Za drugim razem weszliśmy po schodach donikąd, dwa piętra powietrza zamiast domu.

Obie chwile na tych potrzaskanych schodach pod gołym niebem były wspaniałe.

Ich wspaniałość naturalnie nie trwała długo, gdyż jak każda ludzka rodzina byliśmy przywiązani do naszych gniazd i potrzebowaliśmy ich. Ale w każdym razie przez minutę czy dwie czuliśmy się z Helgą jak Noe i jego żona na górze Ararat.

A potem znowu zaryczały syreny alarmowe i uświadomiliśmy sobie, że jesteśmy zwykłymi ludźmi, bez gołębicy i przymierza z Bogiem, i że potop wcale się nie skończył, ale dopiero się zaczyna.

Pamiętam, jak zesliśmy z Helgą z tych potrzaskanych schodów sterczących w niebo do podziemnego schronu i wielkie bomby tupały nad naszymi głowami. Chodziły i chodziły, i chodziły, i zdawało się, że nigdy nie odejdą.

Na ławce naprzeciw nas siedzieli mężczyzna i kobieta z trojgiem dzieci. I ta kobieta zaczęła mówić do sufitu, do bomb, do samolotów, do nieba i do Boga Wszechmogącego nad

tym wszystkim.

Zaczęła cicho, nie zwracając się do nikogo w schronie.

- No, dobrze - mówiła - jesteśmy tutaj. Akurat tutaj. I słyszymy Cię tam, na górze. Słyszymy, jak się gniewasz. - Nagle podniosła głos. - Dobry Boże, jak bardzo się na nas gniewasz! - krzyknęła.

Jej mąż, wynędzniały cywil z opaską na oku i ze znaczkiem nazistowskiego związku nauczycieli w klapie, powiedział do niej coś ostrzegawczo. Nie słyszała go.

- Czego chcesz od nas? - mówiła do sufitu i do tego, co było powyżej. - Powiedz, czego od nas żądasz, i my to zrobimy!

- Poddajemy się! Mamy dosyć! - krzyknęła i wielka ulga i szczęście odmalowały się na jej twarzy. - Możesz już przestać - krzyknęła i roześmiała się. - Poddajemy się! To już koniec! - Odwróciła się, żeby przekazać tę dobrą nowinę dzieciom.

Wtedy mąż ją znokautował.

Potem jedynooki nauczyciel posadził ją na ławce i oparł o ścianę. Po czym podszedł do najwyższej rangą osoby, tak się złożyło, że był to wiceadmirał.

- To kobieta... histeria... one wpadają w histerię... ona tak nie myśli... ona ma złoty Medal za Macierzyństwo... - mówił do wiceadmirała.

Wiceadmirał nie okazał zaskoczenia ani zniecierpliwienia. Natychmiast wszedł w rolę i udzielił rozgrzeszenia.

- Nic się nie stało - oznajmił. - To zrozumiałe. Nie ma o czym mówić.

Nauczyciel z nabożnym podziwem pomyślał o systemie, który potrafi wybaczać słabości.

- Heil Hitler - powiedział z ukłonem.

- Heil Hitler - odpowiedział wiceadmirał.

Nauczyciel przystąpił teraz do cucenia żony. Miał dla niej dobrą wiadomość - że jej przebaczone, że wszyscy rozumieją.

A przez cały czas bomby chodziły i chodziły nad naszymi głowami i żadne z trojga dzieci nauczyciela nawet nie mrugnęło okiem.

I pomyślałem sobie, że nigdy już nie mrugnie.

I ja też.

Już nigdy.

Święty Jerzy i smok...

Drzwi na moje zaszczerzone poddasze zostały wyrwane z zawiasów i znikły gdzieś bez śladu. Na ich miejsce dozorca przyczepił pinezkami mój jednoosobowy namiot i przybił na krzyż kilka desek. Na tych deskach napisał złotą farbą do kaloryferów, która odbijała blask mojej zapalki.

„Nic tam nie ma”.

Mimo to ktoś oderwał dolny róg brezentu, zaopatrując moje zaszczerzone poddasze w mały trójkątny otwór z klapką jak w indiańskim namiocie.

Wsunąłem się do środka.

Przekręcenie kontaktu nic nie dało. Jedyne światło wpadało przez kilka ocalałych szyb. Wybite zostały zastąpione papierem, szmatami, ubraniami i pościelą. Jedyne światło, jakie wpadało do środka, było niebieskie.

Wyrzałem przez tylne okno przy piecyku i zobaczyłem w skróconej perspektywie czar małego prywatnego ogrodu, małego Raju utworzonego z dwóch połączonych podwórek. Nikt się w nim nie bawił.

Nie było tam nikogo, kto by zawołał, tak jak tego pragnąłem.

„Zbite szklanki”.

Coś się poruszyło, zaszeleściło w mroku mojego poddasza. Wyobraziłem sobie, że to odgłos szczura.

Mylilem się.

To szeleścił Bernard B. O'Hare, człowiek, który tak dawno temu wziął mnie do niewoli. Był to odgłos mojej osobistej Furii, człowieka, który uznał, że nienawiść do mnie i prześladowanie mnie jest jego najszczytniejszym powołaniem.

Nie chciałem go obrazić, porównując szelest, jaki wywołał, z odgłosem szczura. Nie myślę o nim jako o szczurze, chociaż jego postępowanie w stosunku do mnie było równie

natarczywe i niezrozumiałe, co hałaśliwe harce szczurów za ścianą mojego poddasza. Nie znałem tego O'Hare i nie chciałem go znać. Fakt, że to on zaaresztował mnie wtedy w Niemczech, nie miał dla mnie najmniejszego znaczenia. To nie on był moją Nemezis. Moja gra była dawno skończona, zanim O'Hare doprowadził mnie do aresztu. Dla mnie był on po prostu jednym z wielu zbieraczy śmieci niesionych wiatrem na szlakach wojny.

O'Hare miał o wiele ciekawszy pogląd na nasz związek. Po pijanemu w każdym razie widział siebie jako świętego Jerzego, a mnie jako smoka.

Kiedy go ujrzałem w ciemnościach mojego poddasza, siedział na odwróconym do góry dnem cynkowanym wiadrze. Miał na sobie mundur Legionu Amerykańskiego. Miał też butelkę whisky. Widocznie czekał na mnie od dłuższego czasu, pijąc i paląc. Był pijany, ale mundur miał w największym porządku. Krawat prosto, furażerka na głowie pod właściwym kątem. Widać było, że ten mundur jest dla niego ważny i miał być ważny również dla mnie.

- Wie pan, kto ja jestem? - odezwał się.

- Wiem.

- Nie jestem już taki młody, jak kiedyś. Ale niewiele się zmieniłem, prawda?

- Nie - powiedziałem. Opisałem go wcześniej w tej relacji jako chudego młodego wilka. Kiedy go zobaczyłem u siebie na poddaszu, nie wyglądał zdrowo: blady, sflaczały, z przekrwionymi oczami. Stał się bardziej kojotem niż wilkiem. Pomyślałem, że powojenne lata nie były dla niego okresem pomyślnego rozkwitu.

- Spodziewał się pan mnie? - spytał.

- Uprzedził mnie pan, że mogę pana oczekiwać - powiedziałem. Musiałem być grzeczny i ostrożny. Przypuszczałem, i słusznie, że przyszedł z zamiarem zrobienia mi krzywdy. To, że miał na sobie ten bardzo schludny mundur i że był niższy i znacznie lżejszy ode mnie, sugerowało, że ma przy sobie jakąś broń, najprawdopodobniej rewolwer.

Wstał chwiejnie z wiadra, demonstrując, jak bardzo jest pijany. Przewrócił przy tym wiadro. Wyszczrzył zęby.

- Czy straszę cię czasem we śnie? - spytał.

- Bardzo często. - Było to oczywiście kłamstwo.

- Zdziwiony jesteś, że nikogo więcej nie przyprowadziłem?

- Bardzo.

- Dużo ludzi chciało przyjść ze mną. Cała kupa chciała przyjechać z Bostonu. A dziś po południu, już tu w Nowym Jorku, porozmawiałem w barze z nieznanymi facetami i oni też pytali, czy mogą przyjść.

- Hm - mruknąłem.

- I wiesz, Campbell, co im powiedziałem?

- Nie.

- Powiedziałem im: „Żałuję, chłopcy, ale to jest przyjęcie tylko dla Campbella i dla mnie. Tak musi być, tylko nas dwóch, sam na sam”.

- Hm.

- „Ta sprawa ciągnie się od lat - powiedziałem im - i jest zapisane w gwiazdach, że Howard Campbell i ja spotkamy się jeszcze po tylu latach!” A ty tak nie uważasz?

- Jak?

- Że to jest zapisane w gwiazdach. Że musieliśmy spotkać się tutaj, w tym pokoju, i żaden z nas nie mógł tego uniknąć, choćby się starał.

- Możliwe - powiedziałem.

- Akurat kiedy człowiek myśli, że życie nie ma żadnego sensu, uświadamia sobie nagle, że ma przed sobą jasny cel.

- Rozumiem, co pan ma na myśli.

Zatoczył się, ale zaraz odzyskał równowagę.

- Wiesz, jak zarabiam na życie? - spytał.

- Nie.

- Dyspozytor furgonetek z mrożonym kremem.

- Rzeczywiście?

- Cała flotylla furgonetek wyrusza do fabryk, na plaże i mecze piłkarskie, wszędzie tam, gdzie jest dużo ludzi. - Zdawało się, że O'Hare zapomniał o mnie na chwilę, porażony ponuro myślami o zadaniach wysyłanych przez siebie furgonetek. - Maszyna z kremem stoi w furgonetce - mruczał. - Tylko dwa smaki, czekoladowy i waniliowy. - Dokładnie takim samym tonem Resi opowiadała mi o potwornej bezsensowności swojej pracy w fabryce papierosów w Dreźnie.

- Kiedy wojna się skończyła - powiedział O'Hare - spodziewałem się, że po piętnastu latach będę czymś więcej niż dyspozytorem furgonetek z mrożonym kremem.

- Każdego z nas spotkai w życiu jakiś zawód - zauważyłem.

O'Hare nie zareagował na tę nieśmiałą próbę wyciągnięcia ręki. Zajęty był wyłącznie sobą.

- Miałem być doktorem, miałem być prawnikiem, pisarzem, architektem, inżynierem, dziennikarzem. Cały świat stał przede mną otworem - mówił. - A potem się ożeniłem. Żona od razu zaczęła rodzić dzieci i otworzyłem z kumpłem cholerny sklep z pieluchami, kumpel uciekł z forszą, a żona dalej rodziła dzieci. Po pieluchach były żaluzje, a kiedy interes z

żaluzjami zbankrutował, wlałem w ten mrożony krem. A żona przez cały czas rodziła dzieci, cholerny samochód stale nawalał, inkasenci pchali się drzwiami i oknami, a hordy termitów wylażyły spod boazerii każdej wiosny i jesieni.

- Bardzo mi przykro - powiedziałem.

- Zadawałem sobie pytanie, co to wszystko znaczy? Co ja w tym robię? Po co to wszystko?

- Dobre pytania - powiedziałem i przysunąłem się bliżej pogrzebacza.

- Wtedy ktoś przysłał mi numer tej gazety z artykułem o tobie. - O'Hare odtworzył na mój użytek okrutne podniecenie, jakiego dostarczył mu ten artykuł. - I wtedy nagle zrozumiałem, po co żyję i co jest najważniejszą rzeczą, jaką powinienem zrobić. - Zrobił krok w moją stronę, oczy miał wybałuszone.

- Oto przychodzę, Campbell, widmo przeszłości.

- Dzień dobry panu - powiedziałem.

- Wiesz, czym ty dla mnie jesteś, Campbell?

- Nie.

- Jesteś wcieleniem zła. Jesteś absolutną kwintesencją zła.

- Dziękuję.

- Masz rację, to jest coś w rodzaju komplementu. Zazwyczaj zły człowiek ma w sobie coś dobrego, niewiele mniej dobrego niż złego. Ale ty... ty jesteś wcielonym złem. Dobrego jest w tobie tyle, co w diable.

- Może zatem jestem diabłem?

- Nie myśl, że nie brałem tego pod uwagę.

- Co chce pan ze mną zrobić? - spytałem.

- Rozerwać cię na strzępy - powiedział, kołysząc się w tył i w przód i poruszając barkami, żeby je rozluźnić. - Jak Boga kocham, udowodnię ci, że urodziłem się po to, żeby cię rozerwać właśnie dzisiaj. - Nazwał mnie tchórzem. Nazwał mnie nazistą. I wreszcie nazwał mnie najbardziej obraźliwym słowem w języku angielskim.

Wtedy przetrąciłem mu pogrzebaczem prawą rękę.

Był to jedyny akt przemocy, jakiego dokonałem w swoim długim życiu. Spotkałem się z O'Hare sam na sam i zwyciężyłem. Okazało się to bardzo łatwe. Był tak zamroczony alkoholem i fantazjami na temat triumfu dobra nad złem, że nie oczekiwał z mojej strony obrony.

Kiedy do niego dotarło, że został uderzony, że smok ma zamiar stawić czoło świętemu Jerzemu, był wielce zaskoczony.

- Więc tak chcesz grać... - powiedział.

A potem ból skomplikowanego złamania przeniknął jego system nerwowy i łzy napłynęły mu do oczu.

- Wynoś się - powiedziałem. - A może chcesz, żebym ci przetrącił drugą rękę albo rozwalił łeb? - Przyłożyłem koniec pogrzebacza do jego prawej skroni. - I zanim odejdiesz, dawaj ten rewolwer, nóż czy co tam masz.

Pokręcił głową. Bolało go tak, że nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Nie masz broni?

Jeszcze raz pokręcił głową.

- Uczciwa walka - wybełkotał. - Uczciwa.

Obmacałem mu kieszenie i nie znalazłem żadnej broni.

Święty Jerzy chciał rozerwać smoka gołymi rękami!

- Ty nieszczęsny, głupi, pijany, jednoręki skurwysynu! - zawołałem. Zerwałem namiot zasłaniający drzwi wejściowe, kopnąłem w przybite na krzyż deski i wypchnąłem O'Hare na schody.

Zatrzymał się na poręczy i spojrzał w dół na kuszącą spiralę i krąg pewnej śmierci na jej dnie.

- Nie jestem twoim przeznaczeniem ani diabłem! - powiedziałem. - Spójrz tylko na siebie! Przyszedłeś zabić mnie gołymi rękami, a teraz odchodzisz w nie większej chwale niż człowiek potrącony przez autobus. I to jest cała chwała, na jaką zasługujesz! Jak każdy człowiek, który walczy z czystym złem.

- Jest mnóstwo rzeczy, o które warto walczyć, ale nie ma żadnego powodu, żeby ślepo nienawidzić i wyobrażać sobie, że Bóg Wszechmogący nienawidzi razem z tobą. Gdzie jest zło? To ta niemądra część każdego człowieka, która chce nienawidzić bez ograniczeń, która chce nienawidzić i mieć Boga po swojej stronie. To ta część każdego człowieka, dla której wszelka forma brzydoty jest tak pociągająca.

- To ta skretyniała część każdego z nas, która feruje wyroki, wymierza kary i dąży do wojny.

Czy to moje słowa, czy upokorzenie, alkohol czy szok pourazowy spowodowały, że O'Hare zwymiotował, nie wiem. Wiem, że zwymiotował. Puścił tego pawia środkiem klatki schodowej przez całe cztery piętra.

- Posprzątaj to - powiedziałem.

Spojrzał na mnie oczami pełnymi nie rozcieńczonej nienawiści.

- Ja cię jeszcze dostanę w swoje ręce, bratku - powiedział.

- Bardzo możliwe - odparłem - ale to nie zmieni twojego bilansu bankructw, mrożonego kremu, nadmiaru dzieci i braku pieniędzy. Jeżeli tak bardzo chcesz być żołnierzem w służbie Boga, spróbuj Armii Zbawienia.

I O'Hare poszedł.

„Kambul”...

Wszyscy więźniowie znają to uczucie, kiedy człowiek budzi się i zastanawia, dlaczego jest w więzieniu. Odpowiedź, jaką wypracowałem dla siebie na takie okazje, brzmi: Jestem w więzieniu, bo nie potrafiłem się zmusić do przejścia lub przeskoczenia przez rzygowiny pewnego faceta. Mam na myśli rzygowiny Bernarda B. O’Hare w hallu przy wejściu na schody.

Opuściłem moje poddasze wkrótce po nim. Nic mnie tam nie trzymało. Wziąłem sobie stamtąd pamiątkę zupełnie przypadkowo. Kiedy wychodziłem, kopnąłem w progu coś, co potoczyło się na podest schodów. Schyliłem się i zobaczyłem pionek z kompletu figur, które wyrzeźbiłem z trzonka od szczotki.

Schowałem go do kieszeni. Mam go do dziś. Kiedy wkładałem go do kieszeni, dotarł do mnie smród z tego, co zrobił O’Hare.

W miarę, jak schodziłem, smród stawał się coraz gorszy.

Kiedy doszedłem do drzwi młodego doktora Abrahama Epsteina, człowieka, który spędził dzieciństwo w Auschwitz, smród mnie zatrzymał.

Zanim się zorientowałem, co robię, pukałem do drzwi doktora Epsteina.

Doktor otworzył mi w szlafroku i pizamie. Stopy miał bose. Na mój widok zeszywniał.

- Słucham - powiedział.

- Czy mógłbym wejść?

- Czy to sprawa lekarska? - spytał. Drzwi były zamknięte na łańcuch.

- Nie - powiedziałem. - Osobisto-polityczna.

- Czy nie może pan z tym poczekać?

- Wolałbym nie.

- Niech mi pan powie, o co chodzi.

- Chcę jechać do Izraela i stanąć przed sądem.

- Co?

- Chcę być sądzony za moje zbrodnie przeciwko ludzkości. Pojadę dobrowolnie.

- Dlaczego przychodzi pan z tym akurat do mnie?

- Myślałem, że może zna pan kogoś... kogoś, kto chciałby być o tym powiadomiony.

- Nie jestem przedstawicielem Izraela. Jestem Amerykaninem. Jutro znajdzie pan sobie tylu Izraelczyków, ilu pan zechce.

- Chciałbym oddać się w ręce kogoś, kto przeszedł Auschwitz.

To go rozzłościło.

- Niech pan sobie znajdzie kogoś, kto cały czas myśli o Auschwitz! - zawołał. - Pełno jest takich, co o niczym innym nie myślą. Ja nigdy o tym nie myślę!

I zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Znowu skamieniałem, nie mogąc zrealizować jedyne go celu, jaki potrafiłem przed sobą postawić. To, co Epstein powiedział o możliwości znalezienia Izraelczyków rano, było niewątpliwie prawdą...

Ale przede mną była jeszcze cała noc, a ja nie mogłem się ruszyć z miejsca.

Epstein rozmawiał w mieszkaniu z matką. Mówili po niemiecku.

Słyszałem jedynie urywki rozmowy. Epstein opowiadał matce, co się zdarzyło.

Jedną z rzeczy, które usłyszałem, a która zrobiła na mnie wrażenie, było to, jak wymawiali moje nazwisko, brzmienie mojego nazwiska.

„Kambul” - powtarzali raz po raz. To był w ich wykonaniu Campbell.

To było to nie rozcięzione zło we mnie, zło, które odczuły na sobie miliony ludzi, to była ta odrażająca kreatura, którą dobrzy ludzie chcieli zabić i przysypać ziemią.

„Kambul”.

Matkę Epsteina tak poruszył Kambul i to, co on teraz wymyślił, że podeszła do drzwi. Jestem przekonany, że nie spodziewała się zobaczyć Kambula we własnej osobie. Chciała tylko spojrzeć z pogardą i zdumieniem na miejsce, w którym stał przed chwilą.

Otworzyła drzwi, podczas gdy syn stał za jej plecami i mówił, żeby tego nie robiła. Omal nie zemdląła na widok samego Kambula, Kambula w stanie katalepsji.

Epstein odsunął ją i zrobił krok do przodu, jakby chciał się na mnie rzucić.

- Co pan sobie wyobraża? - spytał. - Niech się pan natychmiast stąd wynosi!

Kiedy się nie poruszyłem, nie odezwałem, nawet nie mrugnąłem, nawet, zdawało się, nie oddychałem, zaczął pojmować, że to jednak jest sprawa lekarska.

- O, jak pragnę Boga! - poskarżył się.

Niby posłuszny robot pozwoliłem się wprowadzić do środka. Zabrał mnie do kuchni i posadził przy białym stole.

- Czy pan mnie słyszy? - spytał.

- Tak.

- Czy pan wie, kto ja jestem... kim pan jest?

- Tak.

- Czy zdarzyło się to już kiedyś z panem?

- Nie.

- Panu potrzebny jest psychiatra, a ja nie jestem psychiatrą.

- Powiedziałem panu, co mi jest potrzebne. Niech pan sprowadzi kogoś, ale nie psychiatrę. Niech pan sprowadzi kogoś, kto chce mnie postawić przed sądem.

Epstein i jego matka, bardzo stara kobieta, kłócili się o to, co ze mną zrobić. Jego matka natychmiast zrozumiała moją chorobę, zrozumiała, że to mój świat jest chory, a nie ja.

- Ty już kiedyś widziałeś takie oczy - powiedziała do syna po niemiecku. - Nie po raz pierwszy widzisz człowieka, który nie potrafi się ruszyć, dopóki ktoś mu nie powie, dokąd ma iść, który czeka na kogoś, kto mu powie, co ma robić, który zrobi wszystko, co mu ktoś każe zrobić. Widziałeś tysiące takich w Auschwitz.

- Nie pamiętam - powiedział Epstein sztywno.

- Dobrze - powiedziała jego matka - za to ja pamiętam. Doskonale pamiętam każdą minutę.

- I jako ktoś, kto pamięta, mówię ci, że powinien dostać to, o co prosi. Sprowadź kogoś.

- Kogo mam sprowadzić? - spytał Epstein. - Nie jestem syjonistą. Jestem antysyjonistą. Nawet to nie. Nigdy się nad tym nie zastanawiam. Jestem lekarzem. Nie znam nikogo, kto jeszcze szuka zemsty. Mam dla takich tylko pogardę. Niech pan stąd idzie. Przyszedł pan pod zły adres.

- Sprowadź kogoś - powiedziała matka.

- Wciąż jeszcze chcesz się mścić? - spytał.

- Tak - powiedziała.

Zbliżył swoją twarz do mojej.

- A pan naprawdę chce zostać ukarany?

- Chcę być osądzony.

- Wszystko to gra - powiedział wściekły na nas oboje. - Nic z tego nie wynika!

- Sprowadź kogoś - poleciła matka.

Epstein podniósł obie ręce.

- Dobrze! Dobrze! Zadzwoń do Sama. Powiem mu, że może zostać wielkim syjonistycznym bohaterem. On zawsze chciał zostać wielkim syjonistycznym bohaterem.

Nigdy nie dowiedziałem się, jak nazywał się Sam. Doktor Epstein zadzwonił do niego z pokoju, a ja zostałem w kuchni z jego starą matką.

Stara Epsteinowa usiadła twarzą do mnie, oparła łokcie o stół i wpatrywała się we mnie z melancholijnym zainteresowaniem i zadowoleniem.

- Wykręcili wszystkie żarówki - powiedziała po niemiecku.

- Słucham?

- Ludzie, którzy włamali się do pańskiego mieszkania, wykręcili wszystkie żarówki na schodach.

- Hm - mruknąłem.

- W Niemczech tak samo.

- Proszę?

- To była jedna z tych rzeczy... kiedy SS albo gestapo przychodziło i zabierało kogoś.

- Nie rozumiem.

- Inni ludzie przychodzili do takiego domu, żeby zrobić coś patriotycznego. I zawsze robili to samo. Zawsze ktoś wykręcał żarówki. - Pokręciła głową. - Taka dziwna rzecz i zawsze ktoś to robił.

Doktor Epstein wrócił do kuchni, otrzepując ręce.

- W porządku - powiedział. - Wkrótce będzie tu trzech bohaterów: krawiec, zegarmistrz i pediatra, cali szczęśliwi, że będą mogli odegrać role izraelskich komandosów.

- Dziękuję panu - powiedziałem.

Przyszli za jakieś dwadzieścia minut. Nie mieli broni ani żadnych podstaw, żeby reprezentować Izrael ani kogokolwiek poza sobą. Jediną ich legitymacją była i moja hańba, i moja gotowość poddania się komuś, prawie wszystko jedno komu.

Mój areszt polegał na tym, że resztę nocy spędziłem w łóżku, w mieszkaniu krawca. Tak akurat wypadło. Rano ci trzej przekazali mnie za moją zgodą przedstawicielom Izraela.

Kiedy przyszli po mnie do mieszkania doktora Epsteina, zapukali do drzwi bardzo głośno.

Gdy tylko ich usłyszałem, poczułem ogromną ulgę.

- Jak się pan teraz czuje? - spytał doktor Epstein, zanim ich wpuścił.

- Dziękuję, dobrze - powiedziałem.

- I nadal chce pan iść?

- Tak.

- On musi iść - powiedziała stara Epsteinowa. A potem nachyliła się ku mnie przez stół i zanuciła coś po niemiecku w taki sposób, że zabrzmiało to jak urywek piosenki zapamiętanej ze szczęśliwego dzieciństwa.

To, co zanuciła, było komendą, jaką słyszała z głośników w Auschwitz... wielokrotnie w ciągu dnia przez lata.

- *Leichentrager zu Wache* - zaintonowała.

- Piękny język, prawda?

Tłumaczenie?

Tragarze trupów na wartownię.

Oto co mi zanuciła ta stara kobieta.

45

Żółw i zajac...

Jestem więc w Izraelu z własnej woli, chociaż cela jest zamknięta, a strażnicy są uzbrojeni.

Moja opowieść dobiegła końca i rychło w czas, bo jutro rozpoczyna się proces. Zajac historii jeszcze raz przegania żółwia sztuki. Skończył się czas pisania. Muszę podjąć na nowo przygodę.

Jest wielu świadków oskarżenia. I ani jednego świadka obrony.

Oskarżyciel ma zamiar zacząć, jak mi mówią, od odegrania najgorszych moich wystąpień radiowych, najbardziej bezwzględny świadkiem oskarżenia będę więc ja sam.

Bernard B. O'Hare przyjechał na własny koszt i zadreczę oskarżenie natarczywą bzdurnością wszystkiego, co ma do powiedzenia.

Jest tu również Heinz Schildknecht, niegdyś mój najbliższy przyjaciel, człowiek, któremu ukradłem motocykl. Mój adwokat mówi, że Heinz jest pełen zapiekłej złości i że, o dziwo, będzie wiarygodnym świadkiem. Skąd to poważanie dla Heinza, który przecież pracował ze mną biurko w biurko w Ministerstwie Propagandy i Oświecenia Publicznego?

Niespodzianka: Heinz jest Żydem, członkiem antyhitlerowskiego podziemia w czasie wojny i agentem Izraela po wojnie.

I potrafi to udowodnić.

Brawo, Heinz!

Lionel J.D. Jones, doktor stomatologii, doktor teologii, oraz Iona Potapow alias George Kraft nie mogą przybyć na mój proces, jako że obaj przebywają w amerykańskim federalnym zakładzie karnym. Obaj jednak przysłali zeznania na piśmie.

Zeznania doktora Jonesa i Krafta-Potapowa niewiele mi pomogą, oględnie mówiąc.

Doktor Jones zeznał pod przysięgą, że jestem bohaterem i męczennikiem za świętą sprawę nazizmu. Stwierdza też, że jestem posiadaczem najdoskonalszego aryjskiego

uzębienia, jakie widział poza zdjęciami Hitlera.

Kraft-Potapow zeznał pod przysięgą, że wywiad rosyjski nie znalazł najmniejszego dowodu, że byłem amerykańskim agentem. Wystąpił też z opinią, że jestem zaciekle nazistą, ale nie powinienem być pociągnięty do odpowiedzialności za swoje czyny jako polityczny idiota, jako artysta, który nie odróżnia marzeń od rzeczywistości.

Trzej osobnicy, którzy mnie aresztowali w mieszkaniu doktora Epsteina - krawiec, zegarmistrz i pediatra - mają do zaoferowania sądowi jeszcze gorszy kit niż Bernard B. O'Hare.

Howardzie W. Campbell, jr., oto twoje życie! *

Mój izraelski adwokat, pan Alvin Dobrowitz, kazał tutaj przesłać całą moją nowojorską korespondencję w nieuzasadnionej nadziei, że znajdzie w niej jakiś dowód mojej niewinności.

Hej ho!

Dziś przyszły trzy listy.

Otworzę je teraz, przekazując kolejno ich treść.

Nadzieja, powiadają, nigdy nie gaśnie w sercu człowieka. W każdym razie nie gaśnie ona w sercu Dobrowitza, który pewnie dlatego jest taki drogi.

Jedyną, czego potrzeba, żebym był wolnym człowiekiem, mówi pan Dobrowitz, to najmniejszy dowód, że taka osoba jak Frank Wirtanen istnieje, i że ten Wirtanen zrobił ze mnie amerykańskiego szpiega.

Ale wracajmy do dzisiejszych listów.

Pierwszy zaczyna się dość przyjaźnie od słów: „Drogi Przyjacielu”, mimo całego zła, jakie rzekomo wyrządziłem. Zakłada, że jestem nauczycielem. Wyjaśniłem już, zdaje się, wcześniej, jak moje nazwisko trafiło na listę pracowników oświaty i jak zacząłem otrzymywać listy reklamujące materiały pomocnicze w procesie kształcenia młodzieży.

Ten list pochodzi od firmy „Kształcące Gry i Zabawy”.

Drogi Przyjacielu (zwracają się do mnie w jerozolimskim więzieniu „Kształcące Gry i Zabawy”). Czy nie pragniesz kształtować twórczego otoczenia swoich uczniów w ich domach? To, co dzieje się z nimi po wyjściu ze szkoły, ma niemalże znaczenie. Masz dziecko pod swoją opieką przeciętnie przez 25 godzin w tygodniu, podczas gdy rodzice kierują nim przez 45 godzin. Postępowanie rodziców w ciągu tego czasu może utrudniać lub ułatwiać twoją pracę.

* Aluzja do popularnego programu w telewizji amerykańskiej, w którym z relacji znajomych odtwarza się postać jakiegoś człowieka (przyp. tłum.).

Wierzimy, że zabawki proponowane przez „Kształcące Gry i Zabawy” będą autentycznie przedłużać w domu proces kształcenia, którym kierujesz jako wychowawca.

W jaki sposób nasze zabawki mogą to osiągnąć?

Nasze zabawki mogą zaspokoić fizyczne potrzeby rozwijającego się dziecka. Nasze zabawki pomagają dziecku odkrywać i rozumieć życie w domu i w społeczności. Nasze zabawki wyzwalają możliwości indywidualnej ekspresji, których może brakować w grupowym życiu szkolnym.

Nasze zabawki pomagają dziecku wyzbyć się agresywności...

Na co odpowiadam:

Drodzy Przyjaciele! Jako ktoś, kto gruntownie przebadał życie zarówno w domu, jak i w społeczności, używając do tego celu żywych ludzi w autentycznych sytuacjach, wątpię, aby jakakolwiek zabawka mogła przygotować dziecko choćby do jednej milionowej części tego, co je uderzy w zęby, czy będzie do tego przygotowane czy nie.

Osobiście uważam, że dziecko powinno zacząć eksperymentować z rzeczywistymi ludźmi w rzeczywistych społecznościach, w miarę możliwości od momentu urodzenia. Jeżeli z jakiegóż przyczyny materiały te są niedostępne, wówczas należy używać gier i zabawek.

Ale nie miłych, gładkich, przyjemnych i posłusznych zabawek z waszej broszurki, przyjaciele! W zabawkach naszych dzieci nie ma prawa być nic harmonijnego, bo wyrosną przygotowane na spokój i porządek i zostaną zjedzone żywcem.

Co do wyzbywania się agresywności, to jestem temu stanowczo przeciwny. Dzieci będą potrzebowały jak najwięcej agresywności, żeby ją w sobie wyzwolić w dorosłym świecie. Wymieńcie choć jednego wielkiego człowieka w historii, który nie przeszedł przez burzliwe dzieciństwo z szeroko otwartym zaworem bezpieczeństwa.

Pozwólcie sobie powiedzieć, że dzieciom, które przebywają przeciętnie przez dwadzieścia pięć godzin tygodniowo pod moją opieką, nie grozi utrata bystrości w ciągu tych godzin, które spędzają z rodzicami. Dzieci nie zajmują się wprawdzie ustawianiem rzeźbionych zwierzątek na arce Noego, za to, wierzcie mi, przez cały czas podglądają żywych dorosłych, dowiadując się, o co oni walczą, czego pożądamy i jak zaspokajają swoje pożądamy, dlaczego i jak kłamią, od czego i w jaki sposób wariują i tak dalej.

Nie potrafię powiedzieć, w jakich dziedzinach te moje dzieci będą odnosić sukcesy, ale mogę im wszystkim zagwarantować, że dadzą sobie radę wszędzie w cywilizowanym świecie.

Wasz zwolennik realistycznej pedagogiki

Howard W. Campbell, jr.

A drugi list?

Ten też zwraca się do Howarda W. Campbella, jr., jako do „Drogiego Przyjaciela”, dowodząc, że autorzy przynajmniej dwóch z trzech dzisiejszych listów nie żywią do Howarda W. Campbella, jr., żadnej urazy. List pochodzi od maklera giełdowego z Toronto w Kanadzie i zwraca się do mnie jako do kapitalisty.

Namawia mnie, żebym zakupił akcje kopalni tungstenu w Manitobie. Zanim to zrobię, musiałbym wiedzieć coś więcej o tej firmie. Przede wszystkim musiałbym wiedzieć, czy ma zdolne i godne zaufania kierownictwo.

Nie ma frajera.

Trzeci list? Jest adresowany do mnie tutaj, w więzieniu.

I jest to rzeczywiście ciekawy list.

Warto go przytoczyć w całości:

Drogi Howardzie,

dyscyplina całego życia rozpada się jak legendarne mury Jerycha. Kim jest Jozue i jaką melodię grają jego trąby? Chciałbym to wiedzieć. Muzyka, która zrobiła wyłom w tak starych murach, nie jest głośna. Jest cicha, nieostra i osobliwa.

Czyżby to był głos mojego sumienia? Wątpię. Nie wyrzuciłem Ci przecież krzywdy.

Myślę, że to musi być chętką starego żołnierza na małą zdradę. Niniejszy list stanowi zdradę.

Naruszam tutaj swoje bezpośrednie i niedwuznaczne rozkazy, rozkazy, jakie wydano mi w interesie Stanów Zjednoczonych Ameryki. Zdradzam Ci moje prawdziwe nazwisko i identyfikuję się jako człowiek, którego znalazłeś pod nazwiskiem „Frank Wirtanen”.

Nazywam się Harold J. Sparrow.

W dniu przejścia na emeryturę miałem stopień pułkownika armii Stanów Zjednoczonych.

Miałem numer służbowy 0-61134.

Istnieję. Można mnie zobaczyć, usłyszeć i dotknąć prawie codziennie w pobliżu jedyne domu nad jeziorem Coggin, sześć mil na zachód od Hinkleyville,

w stanie Maine.

Potwierdzam i potwierdzę pod przysięgą, że zwerbowałem Cię jako amerykańskiego agenta i że kosztem osobistego poświęcenia, które okazało się całkowite, stałeś się jednym z najbardziej skutecznych agentów w drugiej wojnie światowej.

Jeżeli Howard W. Campbell, jr., ma być sądzony przez siły zadufanego w sobie nacjonalizmu, to niech to będzie walka na całego!

*Szczerze oddany
„Frank”*

Wkrótce więc znowu mam być wolnym człowiekiem, chodzić, gdzie zechcę.

Na myśl o tym robi mi się niedobrze.

Sądzę, że dzisiejszej nocy powieszę Howarda W. Campbella, jr., za zbrodnie, jakie popełnił przeciwko samemu sobie.

Wiem, że tak zrobię.

Mówią, że człowiek wieszany słyszy wspaniałą muzykę.

Szkoda, że podobnie jak mój ojciec, a w przeciwieństwie do matki, mam drewniane ucho. Mimo to mam nadzieję, że muzyka, którą usłyszę, nie będzie *Białym Bożym Narodzeniem* w wykonaniu Binga Crosby'ego.

Żegnaj, okrutny świecie!

Auf wiedersehen?